

ZNIKNIĘCIE PIĘKNEJ DZIEWCZYNY URUCHAMIA SPIRALĘ ZBRODNI...

**R O S S
MACDONALD
OKRUTNĄ
WYBRZEŻE**





ROSS MACDONALD

Ross Macdonald, najwybitniejszy (obok Raymonda Chandlera) amerykański autor powieści detektywistycznych, był mistrzem precyzyjnie skonstruowanej intrygi. Jego nasycona psychologiczną głębią twórczość daleko wykraczała poza granice gatunku, stanowiąc inspirację dla wielu sław współczesnej prozy kryminalnej, jak Jonathan Kellerman i Harlan Coben. Bohater Macdonalda, prywatny detektyw Lew Archer, znalazł idealnego odtwórcę w Paulu Newmanie, który zagrał go w ekranizacjach *Ruchomego celu* i *Basenu topielców*.

Detektyw Lew Archer poszukuje Hester Campbell, blond piękności zatrudnionej w ekskluzywnym Channel Club w Malibu jako instruktorka pływania. Jej tajemniczym zniknięciem interesują się dosłownie wszyscy – porzucony w Kanadzie mąż, bogaci członkowie klubu i młodzi ludzie uwikłani w podejrzane interesy. Czy zniknięcie dziewczyny ma związek z morderstwem popełnionym w klubie przed osiemnastoma miesiącami, którego sprawcy nigdy nie wykryto? Śledztwo prowadzone przez Archera uruchamia nową spiralę przemocy i zbrodni...

ISBN 978-83-7359-581-1



9 788373 595811

**R O S S
MACDONALD
OKRUTNE
WYBRZEŻE**

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
THE BARBAROUS COAST

Copyright © Ross Macdonald 1956

Copyright renewed © The Margaret Millar
Charitable Remainder Unitrust 1984

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wy-
dawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Grzegorz
Kołodziejczyk 2007

Redakcja: Jacek Ring

Zdjęcie na okładce: Claire Artman/zefa/Corbis

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-581-1

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.książki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Stanleya Tenny'ego

ROZDZIAŁ 1

Channel Club stoi na skale na południowym krańcu plaży nazywanej Malibu. Widoczne nad podłużnymi brązowymi budynkami ogrody terasowe pięły się ku autostradzie niczym pokryte wzorzystym dywanem schody. Teren otaczało wysokie ogrodzenie z siatki zwieńczone trzema nitkami drutu kolczastego i zamaskowane oleandrami.

Zatrzymałem samochód przed bramą i nacisnąłem klakson. Z kamiennej budki strażniczej wychynął mężczyzna w granatowym mundurze i oficjalnie wyglądającej czapce z daszkiem. Wysuwały się spod niej czarne krzaczaste włosy nakrapiane siwizną podobną do opiłków żelaza. Mimo że miał pokiereszowane uszy i nos spłaszczony od uderzeń, jego oblicze tchnęło łagodną siłą, którą widuje się na twarzach sędziwych Indian. Miał śniadą skórę.

— Przecież widzę, że pan jedziesz — zagadnął przyjaźnie. — Nie trzeba trąbić, bo uszy bołą.

— Przepraszam.

— Nie ma sprawy. — Podeszedł kotyszącym się krokiem i oparł się konfidencjonalnie o drzwiczki samochodu. Jego brzuch

wylewał się spod paska, przy którym dojrzałem kaburę.
— Co pana sprowadza, kierowniku?

— Pan Bassett po mnie zadzwonił. Nie powiedział, o co chodzi. Nazywam się Archer.

— Taak, czeka na pana. Jedź pan prosto przed siebie. Szeef będzie w gabinecie.

Ochroniarz odwrócił się do bramy z grubych prętów, pobrzękując kluczami. Jakiś młody dryblas wyskoczył pomiędzy oleandrów i przemknął obok mojego samochodu. Był w granatowym garniturze, bez kapelusza, i miał rozwiane różowe włosy. Biegł prawie bezgłośnie na palcach w stronę otwierającej się bramy.

Strażnik obrócił się nad podziw żwawo jak na swój wiek i chwycił tamtego ręką w pasie. Mężczyzna zwinął się i pchnął ochroniarza na słup. Rzucił coś niezrozumiale gardłowym głosem, a potem strącił łokciem ochroniarzowi czapkę z głowy.

Ten oparł się plecami o słup i sięgnął po broń. Miał małe zamglone oczy przypominające oczka kartofla. Z nosa poleciała mu krew i pociekła na niebieską koszulę opinającą wypukłość brzucha. Wysiadłem z samochodu.

Młody osiłek stał w bramie z głową zwróconą w bok. Jego twarz wyglądała jak profil wycięty ze sklejki; wytrzeszczone oko spoglądało na ochroniarza.

— Idę do Bassetta i mnie nie zatrzymasz.

— Kulka w bebechy zatrzyma cię jak nic — odparł rzeczowo strażnik. — Spróbuj się ruszyć, a naciśnę spust. To jest teren prywatny.

— Powiedz Bassettowi, że chce się z nim widzieć.

— Już mówiłem, ale on nie wyraża chęci. — Ochroniarz ruszył w stronę intruza z wysuniętą lewą ręką. W prawej pewnie trzymał pistolet. — A teraz podnieś czapkę, podaj mi ją i zjeżdżaj stąd.

Tamten stał przez chwilę bez ruchu. Potem schylił się, podniósł czapkę, otarł ją od niechcenia, i oddał właścicielowi.

— Przepraszam, nie chciałem pana uderzyć. Nie mam nic przeciwko panu.

— Ja nie mogę powiedzieć tego samego, chłopcze. — Ochroniarz wyrwał czapkę z dłoni intruza. — A teraz znikaj, zanim strącę ci łepetynę.

Dotknąłem ramienia nieproszonego gościa. Było grube i muskularne.

— Będzie lepiej, jak go posłuchasz.

Odwrócił się do mnie, przesuwając dłonią po szczęce, mocnej i wydatnej. Cienkie brwi i pozbawione wyrazu usta sprawiały jednak, że jego twarz wydawała się bezkształtna. Uśmiechnął się do mnie drwiąco.

— A ty kto? Też goryl Bassetta?

— Nie znam Bassetta.

— Słyszałem, jak o niego pytasz.

— Wiem tyle, że jak będziesz ubliżał ludziom i wpychał nos tam, gdzie nie trzeba, to ci go spłaszczą. Albo jeszcze gorzej.

Mężczyzna zacisnął prawą pięść, spojrział na nią, a potem na mnie. Przesunąłem się lekko, gotów sparować cios i odpowiedzieć na atak.

— Czy to jest groźba? — spytał.

— Przyjacielskie ostrzeżenie. Nie wiem, co ci dolega. Radzę ci odejść i o wszystkim zapomnieć...

— Nie odejdę, dopóki nie spotkam się z Bassettem.

— I na miłość boską nie trącaj starszych facetów.

— Przeprosiłem — odparł mężczyzna, czerwieniąc się lekko.

Ochroniarz podszedł do niego z tyłu i szturchnął go lufą broni.

— Przeprosiny odrzucone. Kiedyś kładłem jedną ręką dwóch takich jak ty. Odejdiesz czy mam ci zademonstrować?

— Odejdę, ale nie może mi pan zabronić stania na publicznej drodze. A on prędzej czy później będzie musiał się stąd ruszyć.

— Co masz do Bassetta? — spytałem.

— Nie będę o tym mówił z obcym. Wolę pogadać z Bassettem. — Spojrzał na mnie, zagryzając wargę. — Powie mu pan, że muszę się z nim zobaczyć? Że to dla mnie bardzo ważne?

— Mogę mu przekazać. A od kogo ta wiadomość?

— Jestem George Wall z Toronto. — Mężczyzna zrobił pauzę. — Chodzi o moją żonę. Powiedz mu pan, że nie odejdę, dopóki się z nim nie spotkam.

— Tak ci się wydaje — wtrącił ochroniarz. — A teraz zmiataj stąd, zrób sobie spacer.

George Wall ruszył wolnym krokiem, pokazując swoją niezależność. Długi cień powłókł się za nim i po chwili zniknął za zakretem. Ochroniarz odłożył broń i wierzchem dłoni otarł zakrwawiony nos. Później ją polizał, jak gdyby żał mu było marnować białka.

— Ten gość to cyklopata czy jakoś tak. Pan Bassett nawet go nie zna.

— Czy to w jego sprawie Bassett mnie wezwał?

— Może, ja tam nie wiem — odparł ochroniarz, wzruszając ramionami.

— Od dawna się tu kręci?

— Odkąd stanąłem na bramie. Coś mi się widzi, że nocował w krzakach. Powinienem kazać go zgarnąć, ale pan Bassett się nie zgodził. Szef ma za miękkie serce. Mówi, żebym sam się nim zajął, bo nie potrzeba nam kłopotów z władzą.

— Już pan się nim zajął.

— Jasna sprawa. Kiedyś położyłbym dwóch takich naraz.
— Napiął muskuły prawej ręki i poklepał je z podziwem. Po-
słał mi łagodny uśmiech. — Byłem bokserem, i to niezłym.
Tony Torres. Słyszał pan kiedyś moje nazwisko? Kogut z
Fresno.

— Słyszałem. Wytrzymał pan sześć rund z Armstrongiem.

— Zgadza się. — Ochroniarz skinął poważnie głową. —
Stary już byłem, miałem ze trzydzieści pięć albo sześć lat.
Nogi nie chciały nieść. Gdyby nie to, wytrzymałbym dziesięć
rund. Czułem się dobrze, tylko te nogi. Widział pan tę walkę?

— Słyszałem przez radio. Chodziłem jeszcze do szkoły,
nie było mnie stać na bilet.

— Co pan może wiedzieć? — rzekł z rozrzewnieniem. —
Ha, słyszał przez radio.

ROZDZIAŁ 2

Postawiłem samochód na asfaltowym parkingu przed głównym budynkiem. Nad wejściem wisiała do góry nogami choinka pomalowana na jasnoczerwono. Gmach był zbudowany z kamienia i drewna i przykryty płaskim dachem. Modernistyczna prostota stylu nie pozwalała zobaczyć, jaki jest duży, dopóki nie znalazłem się w środku. Przez szybę w drzwiach holu widać było pięćdziesięciometrowy basen znajdujący się między skrzydłami budynku. Dalej rozpościerał się błękitny ocean.

Drzwi były zamknięte na klucz. Jediną ludzką istotą w polu widzenia był czarnoskóry chłopak, którego sylwetkę na pół; przecinały wąskie białe szorty. Czyścił dno basenu podwodnym odkurzaczem z długim uchwytem. Zastukałem w drzwi monetą.

Chłopak usłyszał mnie i zbliżył się truchtem. Zlustrował mnie ciemnymi inteligentnymi oczyma, które posiadały umiejętność dzielenia ludzi na dwie kategorie: bogatych i niebogatych. Zdaje się, że zostałem zaliczony do tej drugiej grupy.

— Jeśli chce pan coś sprzedać, to źle pan trafił — rzekł,

otwierając drzwi. — Sezon się skończył, a pan Bassett jest w podłym nastroju. Przed chwilą mnie ochrzanił. A to przecież nie moja wina, że wrzucili tropikalne rybki do basenu.

— Kto wrzucił?

— Ci, co tu byli wczoraj wieczorem. Biedne skubańce nie przeżyły w chlorowanej wodzie, więc musiałem ich zebrać odkurzaczem.

— Gości?

— Tropikalne rybki. Wyłowili je z akwarium i machnęli do basenu. Ludziska uchłają się na imprezie i zapominają o przyzwoitości. A pan Bassett odbija sobie wszystko na mnie.

— Nie miej mu tego za złe. Moi klienci zawsze są w podłym nastroju, kiedy mnie wzywają.

— Pan jest przedsiębiorcą pogrzebowym czy coś w tym rodzaju?

— Coś w tym rodzaju.

— Tak sobie pomyślałem. — Chłopak uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. — Moja ciotka robi w tym biznesie. To nie dla mnie. Aż mi ciarki chodzą po grzbiecie. Ale jej się podoba.

— To dobrze. Bassett jest właścicielem tego przybytku?

— Nie, tylko kierownikiem. Gada tak, jakby wszystko do niego należało, ale właścicielami są członkowie.

Poszedłem za nim galerią oświetloną zielonymi światłami odbijającymi się w wodzie. Chłopak miał klinowaty tułów ratownika wodnego. Zapukał do szarych drzwi z napisem „Kierownik”. Odpowiedział mu wysoki głos przypominający skrzywienie kredy o tablicę.

— Kto tam?

— Archer — odpowiedziałem ratownikowi.

— Pan Archer do pana.

— Dobrze. Chwileczkę.

Ratownik mrugnął do mnie i odszedł, klapiąc stopami o terakotę. Zamek szczęknął i drzwi lekko się uchyliły. W szczelinie, nieco poniżej poziomu mojej twarzy, ukazała się twarz z bladymi oczami, trochę za szeroko rozstawionymi i wybałuszonymi jak u ryby. Z wąskich niczym staropanieńskie ust wyrwało się westchnienie:

— Tak się cieszę, że pan jest. Proszę wejść.

Gospodarz zarygłował za mną drzwi i przesadnym nerwowym gestem wskazał mi krzesło przed swoim biurkiem. Usiadł, otworzył skórzany mieszek i zaczął nabijać okazały cybuch fajki ciemnymi liśćmi angielskiego tytoniu. To wraz z tweedową marynarką od Harrisa, oksfordzkimi spodniami, półbutami na grubej podeszwie i jego akcentem ze Wschodniego Wybrzeża pasowało do siebie. Mimo że miał dobrze ufarbowane brązowe włosy i rumianą skórę nadającą twarzy nienaturalnie młody wygląd, oceniłem, że dobija do sześćdziesiątki.

Rozejrzałem się po gabinecie. Był pozbawiony okien i oświetlony przez niewidoczne świetlówki; dopływ powietrza zapewniała klimatyzacja. Meble były ciężkie i utrzymane w ciemnych kolorach. Na ścianach wisały zdjęcia jachtów pod pełnymi żaglami, spadochroniarzy w powietrzu i tenisistów składających sobie gratulacje z wymuszonymi uśmiechami. Na biurku stało kilka książek trzymany pionowo przez podpórki w kształcie słoni, wykonanych z czarnego polerowanego kamienia.

Bassett zapalił fajkę zapalniczką i zza zasłony niebieskiego dymu powiedział:

— Jak rozumiem, panie Archer, jest pan wykwalifikowanym pracownikiem ochrony.

— Chyba mam kwalifikacje. Nieczęsto biorę tego rodzaju zlecenia.

— Ale ja zrozumiałem... Dlaczego nie?

— Bo to oznacza pomieszkiwanie przy najgorszych szajbusach. Zwykle biorą ochroniarza, bo nie mają się do kogo odezwać. Albo dręczą ich halucynacje.

Bassett uśmiechnął się krzywo.

— To, zdaje się, nie jest komplement. I chyba nie miał być?

— Szuka pan ochroniarza?

— Sam nie wiem. — Zrobił pauzę, po czym dodał ostrożnie: — Dopóki sytuacja się nie wyklaruje, trudno mi stwierdzić, czego mi potrzeba. I z jakiego powodu.

— Kto podał panu moje nazwisko?

— Któryś z członków klubu wymienił je przy jakiejś okazji. Joshua Severn, ten producent telewizyjny. Może to pana zainteresuje, że uważa pana za wymiatacza.

— Aha. — Kłopot z pochlebstwami polega na tym, że trzeba za nie płacić tą samą monetą. — Czemu potrzebuje pan detektywa, panie Bassett?

— Już panu wyjaśnię. Pewien młody jegomość zagroził mojej... zagroził mojemu bezpieczeństwu. Szkoda, że nie słyszał pan, co wygadywał przez telefon.

— Rozmawiał pan z nim?

— Przez chwilę, wczoraj wieczorem. W środku imprezy — naszego dorocznego przyjęcia pogwiazdkowego — zadzwonił z Los Angeles. Zapowiedział, że przyjedzie tu i mnie napadnie, jeśli nie podam mu pewnej informacji. Bardzo mnie to wyprzewadziło z równowagi.

— O jaką informację chodzi?

— Nie znam jej. Myślę, że ten człowiek zaczął się gdzieś na mnie i czeka. Impreza skończyła się bardzo późno, resztę nocy spędziłem tutaj. Rano zadzwonił ochroniarz z bramy i oznajmił, że jakiś młody mężczyzna chce się ze mną widzieć. Zabroniłem go wpuszczać. Tuż potem, kiedy już zebrałem myśli, zatelefonowałem do pana.

— Czego pan właściwie ode mnie oczekuje?

— Żeby się pan go pozbył. Na pewno zna pan sposoby. Oczywiście nie chodzi mi o zastosowanie przemocy, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. — Oczy Bassetta błyszczały bladło między warstwami dymu. — A może się okazać konieczne. Ma pan broń?

— W samochodzie. Nie jest do wypożyczenia.

— Ależ naturalnie. Źle mnie zrozumiałeś, starsuszu. Może niejasno się wyraziłem. Nikt tak jak ja nie brzydzi się przemocą. Chciałem powiedzieć, że mógłbyś użyć pistoletu jako... mm... narzędzia perswazji. Nie mógłbyś go po prostu odstawić na dworzec albo lotnisko i wsadzić do samolotu?

— Nie. — Wstałem.

Bassett podszedł za mną do drzwi i złapał mnie za rękę. Nie spodobała mi się ta poufałość. Strząsnąłem jego dłoń.

— Słuchaj, Archer, nie jestem bogaczem, ale mam trochę odłożonej gotówki. Zapłacę ci trzysta dolarów za pozbycie się tego faceta.

— Pozbycie się?

— Bez użycia przemocy, rzecz jasna.

— Przykro mi, ale nic z tego.

— Pięćset.

— Wykluczone. To, czego pan ode mnie oczekuje, prawo stanu Kalifornia określa mianem uprowadzenia.

— Boże drogi, nie to miałem na myśli. — Bassett był autentycznie zszokowany.

— Proszę to przemyśleć. Jak na człowieka na takim stanowisku ma pan mgliste pojęcie o prawie. Niech policja się nim zajmie. Wspomniał pan, że ten mężczyzna panu groził.

— Tak. Ściśle rzecz biorąc, mówił o wychłostaniu. Ale nie można iść na policję i poskarżyć się na coś takiego.

— Oczywiście, że można.

— Ja nie mogę. To takie staroświeckie. Stałbym się pośmiewiskiem całego Południa. Ty chyba nie pojmujesz aspektu towarzyskiego, staruszku. Jestem szefem i sekretarzem bardzo, ale to bardzo ekskluzywnego klubu. Sama śmietanka mieszkańców wybrzeża powierza mi z ufnością swoje pociechy, swoje młode córki. Nie mogę się nawet otrzeć o skandal. Kalpurnia, wiesz.

— A gdzie tu skandal?

Pan Kalpurnia wyjął fajkę z ust i puścił koślawe kółko z dymu.

— Chciałem uniknąć zagłębiania w szczegóły. Nie spodziewałem się, że zostanę przesłuchany na tę okoliczność. Ale cóż. Coś trzeba zrobić, zanim dojdzie do poważnych szkód.

Sposób, w jaki dobierał słowa, irytował mnie i nie kryłem tego. Popatrzył na mnie znacząco. Jego spojrzenie spadło między nami jak kamień.

— Mogę ci zaufać... tak naprawdę zaufać?

— Byleby to było w granicach prawa.

— Wielkie nieba, ależ naturalnie. Jestem trochę w kropce, choć nie z własnej winy. Nie chodzi o to, co zrobiłem, tylko o to, że ludzie mogą pomyśleć, że coś zrobiłem. Widzi pan, ma to pewien związek z kobietą.

— Z żoną George'a Walla?

Twarz Bassetta rozeszła się w szwach. Usiłował ściągnąć ją w całość wokół ustnika fajki, którą wetknął sobie do ust. Mimo to wargi wygięły się jak haczyki obok kącików.

— Zna ją pan? Czy wszyscy już o tym wiedzą?

— Wszyscy się niedługo dowiedzą, jeśli Wall będzie się tu kręcił. Wpadliśmy na siebie przy bramie wjazdowej...

— Boże drogi, więc on jest na terenie.

Bassett przemierzył niezgrabnie gabinet. Wysunął szufladę biurka i wyciągnął pistolet średniego kalibru.

— Niech pan to schowa — poradziłem. — Jeśli martwi się pan o swoją opinię, strzelanina rozwali ją w drobny mak. Wall stał za bramą i chciał wejść. Nie udało mu się. Przekazał mi wiadomość dla pana: nie ruszy się stąd, dopóki się pan z nim nie spotka. Koniec.

— Człowieku, czemuś nic nie mówił? Traciliśmy tu czas.

— Pan tracił.

— Dobrze już. Nie kłóćmy się. Musimy się go pozbyć, zanim zjawią się członkowie klubu.

Zerknął na zegarek przypasany do nadgarstka i niechętnie skierował lufę broni na mnie.

— Odłóż broń, Bassett. Jest pan zbyt wzburzony.

Położył pistolet na arkuszu ozdobnego papieru i uśmiechnął się do mnie z zawstydzaniem.

— Przepraszam. Nerwy mnie troszkę ponoszą. Nie przywykłem do takich melodramatycznych konfrontacji.

— O co ten cały szum?

— Wall ubzdurał sobie, że skradłem mu żonę.

— A zrobił pan to?

— Daj pan spokój. Ta dziewczyna mogłaby być moją córką. — Oczy Bassetta zwilgotniały od zakłopotania. — Moje relacje z nią zawsze były nieskazitelne.

— Zatem zna ją pan?

— Oczywiście. Od lat, znacznie dłużej niż George Wall. Już jako nastolatka przychodziła na basen ćwiczyć skoki do wody. Zresztą nie tak dawno jeszcze nią była. Ma dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa lata.

— Kim ona jest?

— Nazywa się Hester Campbell, uprawia skoki do wody. Może pan o niej słyszał. Parę lat temu była o włos od tytułu mistrzyni kraju. A potem znikła z pola widzenia. Rodzina się stąd wyprowadziła, a ona przestała brać udział w zawodach

amatorskich. Nie miałem pojęcia, że wyszła za mąż, dopóki znów się tu nie pojawiła.

— Kiedy to było?

— Pięć czy sześć miesięcy temu. Sześć miesięcy temu, w czerwcu. Zdaje się, że coś jej się nie ułożyło. Przez jakiś czas jeździła z zespołem akrobatów wodnych, potem straciła pracę i została na lodzie. W Toronto poznała młodego Kanadyjczyka piszącego o sporcie i w desperacji wyszła za niego. Zdaje się, że im się nie układało. Zostawiła go po niespełna roku i wróciła tutaj. Zażywała środki pobudzające i była wyczerpana psychicznie. Naturalnie udzieliłem jej wszelkiej możliwej pomocy. Przekonałem zarząd, żeby mogła dawać lekcje skoków. Nieźle sobie radziła, póki trwał sezon. A kiedy straciła uczniów, powiem szczerze, że wspomogłem ją trochę finansowo. — Bassett rozłożył bezradnie ręce. — Jeśli to zbrodnia, to jestem przestępcą.

— Skoro to wszystko, to nie wiem, czego się pan obawia.

— Nie rozumie pan, w jakiej jestem sytuacji... Muszę się zmagać z wrogością i intrygami. Wśród członków klubu istnieje frakcja, która chce się mnie pozbyć. Gdyby George Wall zdołał przedstawić mnie jako stręczyciela młodych kobiet wykorzystującego ośrodek...

— Jak mógłby to osiągnąć?

— Gdyby doprowadził do rozprawy sądowej, tak jak się odgrażał. Jakiś adwokat pozbawiony skrupułów mógłby mi coś zarzucić. Ta dziewczyna powiedziała, że chce rozwodu, a ja nie byłem stuprocentowo dyskretny. Widziano mnie w jej towarzystwie więcej niż raz. Szczerze mówiąc, kilka razy ugościłem ją kolacją. — Bassett lekko się zaczerwienił. — Gotowanie to jedno z moich hobby. Teraz mam świadomość, że postąpiłem nieroztropnie, zapraszając ją do domu.

— Wall nie może tego wykorzystać. Nie żyjemy w epoce wiktoriańskiej.

— Niektóre kręgi wciąż w niej tkwią. Pan po prostu nie rozumie, w jak niezręcznej sytuacji się znalazłem. Obawiam się, że wystarczyłoby postawienie zarzutu.

— Czy pan aby nie przesadza?

— Mam nadzieję, że przesadzam. Ale tego nie czuję.

— Radzę panu rozmówić się szczerze z Wallem. Niech pan przedstawi mu fakty.

— Próbowałem wczoraj wieczorem w trakcie rozmowy telefonicznej. Nie chciał mnie słuchać. Tego faceta zżera zazdrość. Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że ukrywam jego żonę.

— Ale tak nie jest?

— Skądże znowu. Nie widziałem jej od początku września. Ulotniła się nagle bez słowa pożegnania i podziękowania. Nawet nie zostawiła tymczasowego adresu.

— Uciekła z jakimś mężczyzną?

— To bardzo prawdopodobne — potwierdził Bassett.

— Proszę to powiedzieć Wallowi. Osobiście.

— O nie. To wykluczone. Ten facet jest obłąkany, rzuciłby się na mnie.

Bassett w zdenerwowaniu przesunął palcami po włosach. Były wilgotne na skroniach, od uszu płynęły strużki potu. Wyjął z kieszeni marynarki złożoną chusteczkę i otarł twarz. Zrobiło mi siego trochę żal. Nic tak nie boli jak tchórzostwa.

— Dam sobie z nim radę. Niech pan zadzwoni do ochroniarza. Jeśli Wall tam jest, pójdę i go sprowadzę.

— Tutaj?

— A ma pan jakieś lepsze miejsce?

— Chyba faktycznie muszę się z nim spotkać — rzekł Bassett po chwili nerwowego milczenia. — Lepiej żeby nie miotał się w publicznym miejscu. Kilku członków klubu zjawi się na basenie lada chwila.

Głos Bassetta nabierał religijnego zabarwienia przy każdej wzmiance o członkach klubu, tak jakby należeli do wyższej rasy, byli nadludźmi lub aniołami zemsty, a on stał na krawędzi ziemskiego raj. Niechętnie podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

— Tony? Mówi Bassett. Czy ten młody maniak wciąż się tam kręci?... Jesteś pewny? Absolutnie pewny?... To dobrze. Daj mi znać, jeśli znów się pokaże. — Odłożył słuchawkę.

— Poszedł sobie?

— Na to wygląda. — Bassett głęboko odetchnął otwartymi ustami. — Torres mówi, że odszedł jakiś czas temu. Ale byłbym wdzięczny, gdyby został pan jeszcze jakiś czas, tak na wszelki wypadek.

— Dobrze. Tak czy inaczej kosztuje to pana dwadzieścia pięć dolarów.

Bassett pojął aluzję i wyjął pieniądze z szuflady. Z drugiej wyciągnął elektryczną maszynkę do golenia i lusterko. Usiadłem, a on zaczął golić twarz i szyję. Maleńkimi nożyczkami wyskubał sobie włoski z nosa i brwi. Właśnie takie sytuacje sprawiają, że nie znoszę ochroniarzkiej roboty.

Zerknąłem na książki zgromadzone na biurku. Przewodnik finansowy firmy Dun and Bradstreet, informator o południowej Kalifornii, almanach filmowy z ubiegłego roku i gruby tom oprawiony w zielone sukno, zatytułowany, o dziwo, Rodzina Bassett. Otworzyłem księgę na stronie tytułowej i dowiedziałem się, że zawiera genealogię i opis dokonań potomków Williama Bassetta, który wylądował w Massachusetts w roku tysiąc sześćset trzydziestym czwartym; kronika obejmowała czasy aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Autorem był Clarence Bassett.

— Nie sądzę, żeby ta pozycja pana zainteresowała — odezwał się Bassett — ale dla członka rodziny stanowi ciekawą

opowieść. Napisał ją mój ojciec, poświęcił na to schyłkowe lata życia. Nie wszyscy wiedzą, że mieliśmy kiedyś w Nowej Anglii rodzimą arystokrację: gubernatorów, profesorów, duchownych, ludzi interesu.

— Słyszałem takie pogłoski.

— Przepraszam, nie chcę pana zanudzać — rzekł Bassett lżejszym, niemal autoironicznym tonem. — Co ciekawe, jestem ostatnim w mojej gałęzi rodu, który nosi nazwisko Bassett. To jedyny powód, dla którego żałuję, że nie jestem żonaty. Ale też nigdy nie był ze mnie typ prokreacjonisty.

Nachyliwszy się nad lusterkiem, Bassett zaczął wyciskać wągra z jednej z bliźniaczych linii odchodzących od podstawy nosa. Wstałem i zacząłem oglądać fotografie rozwieszane na ścianach. Zatrzymałem się przed zdjęciem przedstawiającym troje skoczków, mężczyznę i dwie dziewczyny, skaczących równocześnie z wieży. Ich ciała zawisły na tle jasnego letniego nieba, wygięte w identycznej pozycji, w najwyższym punkcie paraboli skoku, tuż przedtem, nim grawitacja upomniała się o swoje prawa i ściągnęła ich ku ziemi.

— Hester to ta z lewej — powiedział Bassett.

Sylwetka dziewczyny przypominała strzałę. Wiatr rozwiał jej włosy i odciągnął od owalnej plamy twarzy. Dziewczyna po prawej stronie była brunetką; z wypiętymi piersiami prezentowała się równie efektownie. Mężczyzna miał ciemną skórę, czarne kręcone włosy i mięśnie, które wyglądały jak wykute z brązu.

— Jedno z moich ulubionych zdjęć — oznajmił Bassett. — Zrobione parę lat temu, kiedy Hester przygotowywała się do mistrzostw kraju.

— Tutaj?

— Tak. Pozwalaliśmy jej ćwiczyć na naszej wieży, wspominałem już o tym.

— Kim jest tych dwoje obok niej?

— Ten chłopak był u nas ratownikiem. Dziewczyna to przyjaciółka Hester. Pracowała w barze, ale Hester trenowała ją na skoczka.

— Nadal tu pracuje?

— Niestety, nie. — Twarz Bassetta się wydłużyła. — Miała na imię Gabrielle. Zginęła.

— W czasie skoku?

— Nie. Została zastrzelona.

— Zamordowano ją?

Bassett skinął poważnie głową.

— Kto to zrobił?

— Nie ujęto sprawcy i wątpię, czy to się kiedykolwiek uda. Minęły już prawie dwa lata. To było w marcu zeszłego roku.

— Może pan powtórzyć, jak miała na imię?

— Gabrielle. Nazywała się Gabrielle Torres.

— Była krewną Tony'ego?

— Tak. Jego córką.

ROZDZIAŁ 3

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Bassett wzdrygnął się jak spłoszony koń.

— Kto tam?

Pukanie się powtórzyło. Podszedłem do drzwi.

— Niech pan nie otwiera — jęknął Bassett.

Przekręciłem klucz i uchyliłem drzwi na kilka cali, przypierając je stopą i ramieniem. Na korytarzu stał George Wall. Jego twarz w odbitym świetle była zielonkawoszara. Przez rozerwany materiał spodni wyzierała biała skóra nogi.

— On tu jest? — wydyszał mi w twarz.

— Jak pan się tu dostał?

— Przeskoczyłem przez płot. Jest Bassett?

Spojrzałem na Bassetta, który skulił się za biurkiem; nad blatem widać było tylko białka oczu i czarny pistolet.

— Nie wpuszczaj go pan. Niech pan mu nie pozwoli mnie dotknąć.

— Nie dotknie pana. Proszę odłożyć broń.

— Ani mi się śni. Będę się bronił, jeśli zajdzie potrzeba.

Odwrociłem się plecami do tego wcielenia strachu z palcem na spuście.

— Słyszał go pan. Ma spluwę.

— Nic mnie to nie obchodzi. Muszę się z nim rozmówić. Hester jest tutaj?

— Idzie pan złym tropem. Bassett nie widział jej od miesięcy.

— To jasne, że tak mówi.

— Ja też to mówię. Pracowała tu latem, ale wyjechała we wrześniu.

Wall spojrzął na mnie badawczo. Jego język przesunął się po górnej wardze niczym czerwony ślimak.

— Czemu Bassett nie chciał mnie przedtem wpuścić, jeśli Hester tu nie ma?

— Zagroził mu pan pobiciem, prawda? To nie było dyplomatyczne.

— Nie mam czasu na dyplomację. Jutro muszę lecieć do domu.

— Świetnie.

Wall wsunął ramię w szczelinę. Poczułem jego ciężar napierający na drzwi.

— Niech pan go trzyma z dala ode mnie! — zapiał Bassett.

Stał tuż za mną. Odwróciłem się plecami do drzwi, wyrwałem mu pistolet z dłoni i wsunąłem do kieszeni. Był zbyt zły i przestraszony, żeby się odezwać. Obróciłem się twarzą do Walla, który wciąż napierał na drzwi, lecz nie z całej siły. Wyglądał na skołowanego. Położyłem dłoń na jego klatce piersiowej, odepchnąłem i przytrzymałem. Ciało stawiało opór niczym kamienny posąg.

Po schodach holu zszedł niski mężczyzna o szerokich ramionach. Ruszył w naszą stronę zamaszystym, niemal defiladowym krokiem, zerkając na basen i morze jak na swoją

własność. Wiatr mierzwił czuprynę jego srebrnych włosów. Poczucie ważności i sadyto kłębiły się pod doskonale skrojoną marynarką z granatowej flaneli. Nie zwracał najmniejszej uwagi na kobietę sunącą kilka kroków za nim.

— Boże drogi, to państwo Graffowie — szepnął mi do ucha Bassett. — Nie możemy pozwolić, żeby pan Graff był świadkiem szarpaniny. Niech Wall wejdzie do środka, prędko!

Wpuściłem Walla. Basset stanął w drzwiach, cały w uśmiechach i ukłonach. Graff wciągnął powietrze nosem. Miał brązową, opaloną twarz.

— Bassett, załatwiłeś na wieczór jedzenie i orkiestrę?

— Tak, panie Graff.

— Jeśli chodzi o drinki, będziemy pić zwykłego bourbona z baru, a nie z moich prywatnych zapasów. To barbarzyńcy, i tak nikt nie zauważy różnicy.

— Tak jest, panie Graff. Przyjemnego pływania.

— Zawsze jest przyjemne.

Towarzysząca Graffowi kobieta poruszała się niepewnie, jakby blask słońca ją niepokoił. Miała czarne włosy zaczesane surowo do tyłu od szerokiego płaskiego czoła, którego linia biegła równolegle do grzbietu nosa o greckim kształcie. Twarz była blada i martwa z wyjątkiem ciemnych, błyszczących jak latarnie oczu, w których skupiła się cała jej energia i uczucie. Miała na sobie gładki czarny sweter przypominający strój żałobny.

Bassett życzył jej dobrego dnia. Kobieta z zaskakującymżywieniem odpowiedziała, że dzień jest piękny jak na grudzień. Mąż pomaszzerował w stronę cabañas. Kobieta podążyła za nim niczym spóźniony cień. Bassett odetchnął z ulgą.

— Czy to był ten Graff z firmy Helio-Graff? — spytałem.

— Tak.

Bassett prześliznął się obok Walla, usiadł jednym poślądkiem na rogu biurka i trzęsącymi się rękami zaczął nabijać fajkę. Wall nadal tkwił przy drzwiach. Na jego twarzy pojawiły się czerwone plamy, a lodowate spojrzenie oczu wcale mi się nie podobało. Stałem pomiędzy nimi, obserwując ich na przemian niczym sędzia tenisowy.

— Nie wyłgasz się z tego, musisz wiedzieć, gdzie ona jest — warknął gardłowym głosem Wall. — Płaciłeś za jej lekcje tańca.

— Ja płaciłem za lekcje tańca? — Zdziwienie Bassetta wydawało się prawdziwe.

— W Anton School of Ballet. Rozmawiałem wczoraj z Antonem. Powiedział, że brała u niego lekcje i zapłaciła twoim czekiem.

— Więc na to przeznaczyła pieniądze, które jej pożyczyłem.

Wall skrzywił połowę ust.

— Masz gotową odpowiedź na wszystko, prawda? Dlaczego pożyczałeś jej pieniądze?

— Bo ją lubię.

— Nie wątpię. Gdzie ona teraz jest?

— Mówię szczerze, nie mam pojęcia. Wyjechała stąd we wrześnie. Od tej pory nie widziałem panny Campbell.

— Ona nazywa się Wall, pani George'owa Wall. Jest moją żoną.

— Faktycznie zaczynam tak podejrzewać, staruszk. Ale kiedy u nas była, posługiwała się panińskim nazwiskiem. Rozumiałem to tak, że chciała wziąć z tobą rozwód.

— Kto ją do tego namówił?

Bassett posłał mu zbolale spojrzenie.

— Jeśli chcesz znać prawdę, próbowałem jej to wyperswadować. Radziłem, żeby wróciła do ciebie do Kanady. Ale ona miała inne plany.

— Jakie mianowicie?

— Myślała o karierze — odparł Bassett z odcieniem ironii. — Wychowała się tu, na Południu, i miała we krwi filmową gorączkę. A skoki do wody pozwoliły jej zasmakować światła reflektorów. Naprawdę starałem się ją od tego odwieść. Ale obawiam się, że moje wysiłki nie zrobiły na niej wrażenia. Była zdecydowana, by znaleźć ujście dla swojego talentu. I to zdaje się tłumaczy lekcje tańca.

— Ma talent? — spytałem.

— Ona uważa, że tak — odparł Wall.

— Oddajmy jej sprawiedliwość — rzekł ze zmęczonym uśmiechem Bassett. — Jest ładną dziewczyną, może się rozwinie...

— A więc płaciłeś za jej lekcje tańca.

— Pożyczałem jej pieniądze. Nie wiedziałem, jak je wydaje. Ulotniła się niespodziewanie, wspomniałem o tym Archerowi. Jednego dnia żyła spokojnie w Malibu, dawała lekcje skoków, nawiązywała dobre kontakty, a następnego zniknęła z pola widzenia.

— O jakich kontaktach pan mówi? — zapytałem.

— Wielu członków naszego klubu jest przemysłowcami.

— Czy mogła odejść z którymś z nich?

Bassett zmarszczył czoło.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nie próbowałem jej tropić. Jeśli postanowiła odejść, nie miałem prawa się wtrącać.

— Aleja mam prawo — wycedził niskim głosem Wall.

— I myślę, że łżesz. Wiesz, gdzie jest moja żona, i próbujesz mnie spławić.

Wysunął szczękę; jego twarz zrobiła się brzydka i niekształtna. Odsunął się od drzwi. Widziałem, że zaciska pięści; kostki jego palców pobielaly.

— Niech pan się zachowuje jak dorosły — rzuciłem.

— Muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest i co się z nią stało.

— Wolnego, George. — Bassett skierował na niego fajkę jak pistolet, wydmuchując obłok dymu.

— Nie nazywaj mnie George. Przyjaciele tak do mnie mówią.

— Nie jestem twoim wrogiem, staruszk.

— I nie nazywaj mnie staruszką.

— A więc młodzieńcze, jeśli to cię zadowoli. Chciałem powiedzieć, że przykro mi, że coś takiego nas poróżniło. Naprawdę żałuję. Nie wyrządziłem ci żadnej krzywdy, wierz mi, i naprawdę dobrze ci życzę.

— To dlaczego nie chcesz mi pomóc? Powiedz prawdę: czy Hester żyje?

Bassett spojrział na niego z przestachem.

— Czemu pan uważa, że pańska żona nie żyje? — zapytałem.

— Bo się bała. Hester obawiała się, że ktoś ją zabije.

— Kiedy to było?

— Przedwczoraj w nocy. W noc Bożego Narodzenia. Zadzwoiła do Toronto. Była bardzo zdenerwowana, płakała do słuchawki.

— O czym mówiła?

— Ktoś zagroził, że ją zabije, nie powiedziała kto. Chciała wyjechać z Kalifornii. Zapytała, czy jestem gotów przyjąć ją z powrotem. Byłem gotów i tak jej powiedziałem. Ale zanim zdążyliśmy cokolwiek ustalić, połączenie zostało przerwane. Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

— Skąd dzwoniła?

— Z Anton Ballet School przy Sunset Boulevard. Rozmowa była na koszt odbiorcy, więc mogłem ustalić, skąd wybrano mój numer. Przyleciałem najwcześniej, jak mogłem, i wczoraj spotkałem się z Antonem. Nie wiedział o rozmowie

telefonicznej, tak w każdym razie twierdził. Tego wieczoru wydawał przyjęcie dla uczniów, panował spory zamęt.

— Pańska żona wciąż bierze u niego lekcje?

— Nie wiem. Tak przypuszczam.

— W takim razie Anton powinien mieć jej adres.

— Mówi, że nie ma. Podała mu tylko adres Channel Club. — Wall posłał Bassettowi podejrzliwe spojrzenie. — Jesteś pewien, że Hester tu nie mieszka?

— Nie bądź śmieszny, Wall. Nigdy tutaj nie mieszkała. Możesz to sprawdzić, bardzo proszę. Wynajmowała domek w Malibu, znajdę adres, jeśli chcesz. Właścicielka mieszka tu niedaleko, możesz z nią pomówić. Nazywa się Sarah Lamb, jest moją starą przyjaciółką i pracownicą. Powołaj się na mnie.

— Żeby mogła mi naopowiadać głupot? — rzucił Wall.

Bassett wstał i zbliżył się do niego ostrożnie.

— Może raczyłybyś posłuchać głosu rozsądku, staruszku? Przyjaźniłem się z twoją żoną. To niesprawiedliwe, żebym cierpiał za swoje dobre uczynki. Nie zamierzam tracić całego dnia na kłótnie z tobą. Muszę przygotować ważną imprezę na dziś wieczór.

— To nie mój kłopot.

— Nie, a twoje kłopoty nie są moimi. Ale mogę ci coś zaproponować. Pan Archer jest prywatnym detektywem. Chętnie zapłacę mu z własnej kieszeni za pomoc w odnalezieniu twojej żony. Pod warunkiem że przestaniesz mnie nękać. Czy to uczciwa propozycja?

— Jesteś prywatnym detektywem? — zapytał Wall. Skinąłem głową.

Wall spojrzął na mnie powątpiewająco.

— Gdybym miał pewność, że to nie zмова... Od dawna znasz Bassetta?

— Widzę go dzisiaj pierwszy raz w życiu. Nawiasem mówiąc, nie uprzedzono mnie o tym układzie.

— Przecież tym właśnie pan się zajmuje, nieprawdaż? — rzucił gładko Bassett. — Ma pan jakieś obiekcje?

Nie miałem żadnych poza tym, że wyczuwałem kłopoty. Poza tym ostatni rok był trudny i trochę dał mi w kość. Spojrzałem na buntowniczo różową czuprynę George'a Walla. Był urodzonym mąciwodą, niebezpiecznym dla siebie i prawdopodobnie dla innych. Może jeśli będę mu deptał po piętach, uchronię go od tarapatów, w które się pakuje. Marzyciel ze mnie.

— Co pan na to, Wall?

— Przydałaby mi się pańska pomoc — rzekł powoli. — Ale wołałbym sam panu zapłacić.

— Absolutnie wykluczone! — zaprotestował Bassett. — Musisz mi pozwolić coś zrobić. Mnie też zależy na tym, żeby Hester dobrze się wiodło.

— Na to wygląda — zauważył ponuro Wall.

— Rzućcie monetę — doradziłem. — Reszka, płaci Bassett, orzełek, płaci Wall.

Podrzuciłem miedziaka i przyklepałem do blatu biurka. Wypadł orzełek, co oznaczało, że należałem do George'a Walla. Albo on do mnie.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy wyszliśmy z gabinetu, Graff kołysał się na wznak na wodzie. Jego brązowe cielsko sterczało nad powierzchnię jak garbaty grzbiet żółwia z Galapagos. Pani Graff, ubrana od stóp do głów, siedziała sama w nasłonecznionym kącie. Jej czarna sukienka, włosy i oczy zdawały się niwelować blask słońca. Twarz i ciało tej kobiety nosiły piętno wyjątkowości, pojawiające się w miejsce urody u ludzi długo i głęboko cierpiących.

Wzbudziła moje zainteresowanie, ale ja nie byłem dla niej interesujący. Nawet nie podniosła wzroku, kiedy przechodziliśmy.

Zaprowadziłem Walla do mojego samochodu.

— Lepiej się schyl, kiedy podjedziemy do bramy. Timy może do ciebie wygarnąć.

— Chyba nie mówisz tego poważnie.

— Czemu nie? Stare zabijaki łatwo się wkurzają, zwłaszcza gdy któremuś rozkwasi się nos.

— Zrobiłem to niechcący. To było beznadziejnie głupie.

— Faktycznie. Dwa razy w ciągu jednego ranka omal nie doprowadziłeś do tego, że ktoś cię zastrzelił. Bassett był

wystarczająco przestraszony, a Tony dostatecznie wściekły. Nie wiem, jak jest w Kanadzie, ale w tych stronach nie można za bardzo się ciskać. Niejeden na pierwszy rzut oka Bogu ducha winny człowiek trzyma gnata w szufladzie.

Wall spuścił głowę.

— Przykro mi.

Przypominał teraz nastolatka, który szybko urósł, ale jeszcze nie dojrzał. Mimo to nawet go polubiłem. Miał zadatki na dobrego człowieka, tylko musiał pożyć dostatecznie długo.

— Mnie nie przepraszaj. Być może ratujesz swoje życie.

— Ale mnie jest naprawdę przykro. Na myśl o Hester z tym starym gamoniem... Chyba straciłem głowę.

— To ją znajdź. I na miłość boską zapomnij o Bassetcie. Trudno go uznać za wilka.

— Dawał jej pieniądze. Sam się do tego przyznał.

— Otóż to, przyznał się. Teraz pewnie ktoś inny płaci jej rachunki.

— Zabiję go, kimkolwiek jest — wycedził Wall.

— Nic podobnego nie zrobisz.

Wall siedział, milcząc uparcie; podjechaliśmy do bramy. Była otwarta. Tony zamachał do mnie i spojrzał groźnie na Walla.

— Zatrzymaj się — powiedział George. — Chcę go przeprosić.

— Nie. Zostań w aucie.

Skręciłem w lewo na Coast Highway. Autostrada pięła się po brązowych skałach, a później stopniowo opadła ku morzu. Pojawiły się domki wyglądające jak wagony niekończącego się, zdezelowanego pociągu towarowego.

— Wiem, jakie okropne zrobiłem na tobie wrażenie — wyrzucił z siebie George. — Zwykle tak się nie zachowuję. Nie przeżę mięśni i nie straszę wszystkich dookoła.

— To pocieszające.

— Naprawdę. Po prostu... Mam za sobą zły rok.

Opowiedział mi o tym. Zaczęło się od kanadyjskiej wystawy narodowej w sierpniu ubiegłego roku. Pracował jako dziennikarz sportowy w „Star” w Toronto; miał pisać o sportach wodnych. Hester była jednym z czołowych skoczków do wody. Ta dyscyplina nigdy nie interesowała George'a — zajmował się futbolem — ale w Hester było coś szczególnego, otaczał ją jakiś niezwykły blask. Odwiedził ją po pracy i gdzieś zaprosił.

Trzeciego wieczoru w czasie pokazów zbyt wcześnie wyszła z dwuipółkrotnego salta, uderzyła płasko w wodę i nieprzytomną wyciągnięto ją z basenu. Odwieziono ją do szpitala, zanim George zdołał dobiec do karetki. Nazajutrz nie pojawiła się na pokazie. Znalazł ją w końcu w hoteliku przy Yonge. Miała podbite, nabiegłe krwią oczy. Powiedziała, że skończyła ze skokami. Straciła pewność siebie.

Długo płakała na jego ramieniu. George nie wiedział, jak ją pocieszyć.

To było jego pierwsze doświadczenie z kobietą, oprócz kilku niewartych wzmianki eskapad z kolegami z boiska. Tej samej nocy poprosił ją, żeby za niego wyszła. Rano przyjęła oświadczenia. Wzięli ślub trzy dni później.

Może nie był z Hester tak szczery, jak powinien. Z łatwości, z jaką przychodziło mu wydawanie forsy, wywnioskowała że ma jej mnóstwo. Może napomknął, że jest ważną postacią w kręgach dziennikarskich w Toronto, i tu minął się z prawdą. Był nieopierzonym pisklęciem tuż po studiach i zarabiał dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo.

Hester nie było łatwo przyzwyczać się do życia w dwupokojowym mieszkaniu przy Spadina Avenue. Miała kłopoty z oczami, przez dłuższy czas słabo widziała. Nie mogła

wychodzić na dwór. Przestała dbać o włosy, malować się, nawet myć twarz. Nie chciała dla niego gotować. Mówiła, że straciła urodę, karierę i wszystko, co nadawało jej życiu wartość.

— Nigdy nie zapomnę ostatniej zimy — rzekł George Wall.

Powiedział to tak dobitnie, że odwróciłem się do niego. Nie spojrział mi w oczy. Z nieobecnym wyrazem twarzy patrzył obok mnie na niebieski Pacyfik. Zimowe słońce lśniło na pomarszczonej powierzchni jak folia.

— To była ostra zima — ciągnął. — Śnieg chrząścił pod stopami, włosy zamarały w nosie. Szyby pokryły się grubą warstwą lodu. Piec olejowy w piwnicy ciągle się psuł. Hester zaprzyjaźniła się z dozorczynią, panią Bean, która mieszkała obok. Zaczęła z nią chodzić do kościoła jakiejś dziwacznej malutkiej sekty, której wyznawcy zbierali się w starym budynku przy Bloor. Po powrocie do domu słyszałem, jak rozmawiają w sypialni o odkupieniu, reinkarnacji i takich tam. Wieczorem pewnego dnia po wyjściu pani Bean Hester oznajmiła mi, że to, co się dzieje, jest karą za jej grzechy. Właśnie dlatego popełniła błąd przy skoku i ugrzęzła ze mną w Toronto. Twierdziła, że musi się oczyścić, by w następnym wcieleniu móc żyć na wyższym poziomie. Mniej więcej przez miesiąc spałem na kanapie. Jezu, ale mi było zimno. W Wigilię obudziła się w środku nocy i oświadczyła, że jest oczyszczona. Chrystus ukazał jej się we śnie i przebaczył jej wszystkie winy. Z początku nie wziąłem tego poważnie, no bo jak? Próbowałem żartować, wykpić to. Wtedy ona powiedziała mi na czym polegały jej grzechy.

George zamilkł.

— A na czym polegały?

— Nie chcę o tym mówić — odparł zduszonym głosem Wall Spojrzałem na niego kątem oka. Miał zaczerwienione ucho i policzek.

— W każdym razie doszliśmy do jakiegoś porozumienia. Hester dała sobie spokój z tą pseudoreligią. Za to nagle odbiło jej na punkcie tańca. Chciała tańczyć całą noc i przez cały dzień spać. Nie mogłem wytrzymać takiego tempa. Musiałem chodzić do pracy i wzbudzać w sobie entuzjazm dla koszykówki, hokeja i innych dzieciennych rozrywek. Hester zaczęła wychodzić sama do Village.

— Zdawało mi się, że mieszkaliście w Toronto.

— Toronto ma własne Village, bardzo podobne do nowojorskiego, tyle że o wiele mniejsze. Hester zadała się z paczką maniaków baletu. Zaczęła uczęszczać na całego na lekcje tańca do niejakiego Padraica Dane'a. Obcięła krótko włosy i przekłuła uszy, żeby nosić kolczyki. Nosila białe koszule z jedwabiu i szarawary. Ciągłe robiła entrechaty czy jak to się tam nazywa. Odzywała się do mnie po francusku — chociaż wcale nie znała francuskiego — a kiedy nie rozumiałem, milkła. Siedziała i patrzyła na mnie przez piętnaście czy dwadzieścia minut bez zmrużenia oczu. Jakbym był meblem, dla którego szukała lepszego miejsca. A może wtedy w ogóle już dla niej nie istniałem. Znasz coś takiego?

Owszem, znałem. Miałem kiedyś żonę i właśnie w takim milczeniu ją utraciłem. Nie zdradziłem tego jednak George'owi. On zaś mówił dalej, słowa wylewały się z jego ust, jakby były od dawna zamrożone i roztopiły się w kalifornijskim słońcu. Tego dnia pewnie obnażyłby duszę przed żelaznym słupem albo drewnianym indiańskim totemem.

— Teraz wiem, do czego dążyła. Odzyskiwała pewność siebie. W ten obłąkańczy, niezrozumiały sposób zbierała się w sobie, żeby ze mną zerwać. Ta ferajna, z którą się włóczyła, Paddy Dane i reszta gnomów, zachęcała ją do tego. Nie rozumiem, jak mogłem tego nie widzieć. Wiosną wystawił coś w rodzaju baletu w małym teatrzyku, w którym kiedyś

Był kościół. Hester zagrała główną rolę męską. Poszedłem to zobaczyć i nic nie skumałem. Chodziło chyba o rozdwojoną osobowość, która zakochuje się w sobie. Później usłyszałem, jak wciskali jej brednie na ten temat. Tłumaczyli, że marnuje czas w Toronto z takim nieudacznikiem jak ja. Że powinna wyjechać do Nowego Jorku albo wrócić do Hollywood. Pokłóciliśmy się tej nocy, kiedy wreszcie przyszła do domu. Oznajmiłem jej bez ogródek, że musi dać sobie spokój z tymi ludźmi i ich bzdurnymi pomysłami. Powiedziałem jej, że ma zrezygnować z lekcji tańca i aktorstwa, siedzieć w domu, ubierać się jak normalna kobieta, zajmować mieszkaniem i od czasu do czasu ugotować przyzwoity obiad.

George roześmiał się nieprzyjemnie. Jego śmiech zabrzmiał jak zgrzyt skorup stłuczonego naczyńia.

— Zasłużyłem na tytuł wielkiego znawcy kobiecej duszy. Kiedy wyszedłem do pracy, Hester wyjęła z konta pieniądze, które odłożyłem na dom, i wsiadła do samolotu do Chicago. Dowiedziałem się tego na lotnisku. Nawet nie zostawiła listu; zdaje się, że to była kara za moje grzechy. Nie miałem pojęcia, dokąd wyjechała. Zapytałem paru jej znajomych z Village, ale oni też nie wiedzieli. Olała ich tak samo jak mnie. Nie wiem, jak przeżyłem następne pół roku. Nie byliśmy długo małżeństwem i nie zbliżyliśmy się do siebie tak, jak powinni się zbliżyć mąż i żona. Ale ja ją kochałem i wciąż Kocham. Chodziłem ulicami i przeżywałem wstrząs za każdym razem, kiedy zobaczyłem dziewczynę z jasnymi włosami. Ilekroć dzwonił telefon, byłem pewien, że to Hester. I pewnego wieczoru się nie pomyliłem. To był wieczór Bożego Narodzenia, przedwczoraj. Siedziałem sam w mieszkaniu, usiłując o niej nie myśleć. Czuję się jak kandydat do załamania nerwowego. W każdym miejscu na ścianie widziałem jej twarz. I nagle zadzwonił telefon, to była Hester. Tak jak ci już wcześniej

wspomniałem, powiedziała, że ktoś groził jej śmiercią, i że chce wyjechać z Kalifornii. Możesz sobie wyobrazić, co poczułem, kiedy rozmowę przerwano. Chciałem zadzwonić na posterunek kalifornijskiej policji, ale nie mogłbym wiele powiedzieć. Sprawdziłem więc tylko numer i wsiałem do pierwszego samolotu.

— Dlaczego nie zrobiłeś tego pół roku temu?

— Nie wiedziałem, gdzie jej szukać. Nie napisała do mnie.

— Na pewno snuleś jakieś przypuszczenia.

— Tak, pomyślałem, że prawdopodobnie przyjedzie tutaj. Ale jakoś nie miałem ochoty jej tropić. Przez pewien czas byłem skołowany. Prawie sobie wmówiłem, że Hester wie o sobie lepiej bez mnie. — Po chwili milczenia dodał: — Może naprawdę tak jest.

— Wystarczy ją zapytać. Ale najpierw musimy ją odnaleźć.

ROZDZIAŁ 5

Wjechaliśmy w ślepą uliczkę między autostradą a oceanem. Koła zadudniły na dziurawym asfalcie. Domki wyglądały na zniszczone i zaniedbane, ale prawie wszystkie samochody stojące na jezdni były nowe. Kiedy zgasilem silnik, słyszałem jedynie szum morza. Nad domami krążyło kilka szarawych mew.

Ten, w którym mieszkała kiedyś Hester, wyglądał jak nieużywana, porzucona skrzynka z desek i sklejki. Nagie ściany wyglądał piasek niesiony przez wiatr. Dom stojący obok był większy i lepiej utrzymany, lecz z niego także złaziła farba.

— To wygląda jak slumsy — zauważył George. — Myślałem, że Malibu to słynny kurort.

— W jednej części. To jest ta druga.

Wspięliśmy się po schodach na ganek; zapukałem w zardzewiałe siatkowe drzwiczki. Otworzyła tęga starsza pani owinięta szalem. Miała przyjemnie brzydką twarz buldoga i ufarbowane henną włosy, które lśniły pomarańczowo w blasku słońca. Plaster przeciw zmarszczkom między brwiami nadawał jej rys łagodnej ekscentryczności.

— Pani Lamb?

Kobieta skinęła głową. Trzymała w dłoni filiżankę herbaty i coś żuła.

— Podobno wynajmuje pani sąsiedni domek.

Gospodyni przełknęła to, co miała w ustach. Kęs przeszedł przez pomarszczone gardło.

— Z góry mówię, że nie wynajmuję kawalerom. Jeśli jest pan żonaty, co innego. — Spojrzała na mnie wyczekująco i upiła łyk kawy, zostawiając na brzegu filiżanki czerwony półksiężyc.

— Nie jestem żonaty.

To wszystko, co mogłem jej powiedzieć.

— A to szkoda. — Pani Lamb mówiła z akcentem z Kansas; jej głos przypominał świst wiatru w drutach. — Jestem bardzo za małżeństwem, przez całe życie miałam czterech chłopów i za dwóch z nich wyszłam. Pierwszy wytrzymał trzydzieści trzy lata i chyba był szczęśliwy. Nie przeszkadzał mi smród jego duńskiej tabaki i brud w całym domu. To za mało, żeby wytrącić mnie z równowagi, o wiele za mało. Kiedy mu się zmarło, wyszłam za mąż po raz drugi i nie było źle. Mogło być lepiej, ale gorzej też mogło się trafić. Jednak kiedy umarł, trochę mi ulżyło. Przez siedem lat nie kiwnął palcem. Na szczęście miałam dość sił, żeby go utrzymywać.

Ostre spojrzenie otoczonych zmarszczkami oczu przeska-kiwało z George'a na mnie i z powrotem.

— Mili z was chłopcy, jakoś znajdziecie sobie dziewczyny, które z wami zaryzykują. — Pani Lamb uśmiechnęła się z nagłą zapalczywością, zakręciła filiżanką i dopiła resztkę kawy.

— Ja miałem żonę — odezwał się ponuro Wall. — Właśnie jej szukam.

— Coś podobnego. Czemuś pan wcześniej tego nie mówił?

— Próbowałem.

— Nie złość się pan. Lubię pogadać w towarzystwie, a pan nie? Jak miała na imię?

— Hester.

Oczy pani Lamb straciły wyraz.

— Hester Campbell?

— Hester Campbell Wall.

— A niech mnie. Nie wiedziałam, że jest mężatką. Co się stało, uciekła?

George skinął poważnie głową.

— W czerwcu zeszłego roku.

— Kto by pomyślał? Miała mniej rozumu, niż myślałam, skoro uciekła od takiego miłego chłopca. — Przyjrzała się uważnie jego twarzy przez siatkę drzwiczek. — Ale nigdy nie uważałam, że ma go za dużo. Miała pstro w głowie, od dziecka.

— Długo ją pani zna? — spytałem.

— A jakże. Hester, jej siostrę i matkę. Matka uważała się za niewiadomo co, zawsze stroiła miny.

— Wie pani, gdzie teraz przebywa matka Hester?

— Nie widziałam jej od lat, siostry też.

Spojrzałem na George'a.

Pokręcił głową.

— Nawet nie wiedziałem, że Hester ma matkę. Nigdy nie opowiadała o rodzinie. Myślałem, że jest sierotą.

— Pewnie, że miała matkę, i to jaką. Pani Campbell robiła wszystko, żeby Hester i Rina zostały w życiu kimś, nawet jeśli miałyby je to zabić. Nie mam pojęcia, skąd brała forszę na te wszystkie lekcje muzyki, tańca, pływania.

— Nie miała męża?

— Nie wtedy, kiedy ją znałam. Była ekspedientką w sklepie z alkoholem w czasie wojny, właśnie tam się poznałyśmy

dzięki mojemu mężowi. Pani Campbell zawsze chwaliła się córkami, ale po prawdzie to nie ich dobro leżało jej na sercu. Takie jak ona nazywają filmowymi matkami, chodziło jej o to, żeby dziewczynki ją utrzymywały.

— Czy pani Campbell wciąż tu mieszka?

— O ile mi wiadomo, to nie. Zniknęła mi z oczu przed laty. Nie powiem, żeby złamało mi to serce.

— Gdzie jest Hester też pewnie pani nie wie?

— Nie widziałam tej dziewczyny od września. Wyprowadziła się i tyle. Tu w Malibu mamy spory ruch.

— Dokąd się wyprowadziła? — spytał George.

— Sama chciałam wiedzieć. — Pani Lamb przeniosła spojrzenie na mnie. — Pan też jest z rodziny?

— Nie, jestem prywatnym detektywem.

Kobieta nie okazała zdziwienia.

— Dobrze, porozmawiam z panem. Niech pan wejdzie i napije się kawy. Ten drugi pan może poczekać za drzwiami.

Wall nie protestował, choć wyglądał na urażonego. Pani Lamb zdjęła haczyk i wpuściła mnie do maleńkiej białej kuchni. Stół był przykryty tą samą czerwoną tkaniną, która wisiała nad zlewozmywakiem. Na elektrycznej płycie bulgotała kawa.

Pani Lamb naląła mi kawy do kubka, a potem dołąła sobie. Usiadła przy stole i wskazała mi krzesło naprzeciw.

— Bez kawy bym nie przeżyła. Złapałam nawyk, kiedy prowadziłam bar. Dwadzieścia pięć filiżanek dziennie, głupia stara baba. — Powiedziała to głosem pełnym pobłażliwości. — Gdybym się skaleczyła, poleciałaby kawa zamiast krwi. Pan Finney, mój opiekun w Kościele spirytualistycznym, powiada, że powinnam się przerzucić na herbatę, ale gdzie tam. Panie Finney, mówię mu, w dniu, w którym wyrzeknę się mojego ulubionego grzechu, położę się,

skrzyżuję ręce na kwiecie lilii i przeniosę się na tamten świat.

— Brawo. Miała mi pani coś opowiedzieć o Hester.

— Tak, pamiętam. Wolałam tego nie mówić przy mężu. Musiałam ją wyrzucić.

— Z jakiego powodu?

— Za prowadzenie — odparła niejasno pani Lamb. — Ta dziewczyna ma bzika na punkcie facetów. On tego nie wie?

— Coś mu się kołaczy po głowie. Ma pani na myśli jakichś konkretnych mężczyzn?

— Jednego.

— Bassetta?

— Broń Boże, skądże znowu. Znam go od dziesięciu lat, bo prowadziłam bar w klubie, dopóki mi nogi służyły. Może mi pan wierzyć na słowo, on nie jest taki. Pan Bassett był dla niej jak ojciec. Robił wszystko, żeby uchronić ją od kłopotów. Starał się, jak mógł, ale nie dał rady. Tak samo jak ja.

— W jakie kłopoty wpakowała się Hester?

— Z mężczyznami, tak jak mówiłam. Niby nic strasznego, ale ja wiedziałam, że to się musi źle skończyć. Jeden z tych, których tu sprowadzała, wyglądał jak gangster. Powiedziałam jej wprost, że jeśli zamierza wpuszczać na noc takich typów, to będzie musiała poszukać innej kwatery. Miałam prawo tak powiedzieć, bo przecież znałam ją od dziecka. Ale ona wpadła w złość, wrzeszczała, że sama będzie się zajmować swoimi sprawami, a ja niech pilnuję swoich. Ja na to, że to, co ona robi w moim domu, jest moją sprawą. A Hester powiedziała, że jeśli tak uważam, to się wyniesie, i że jestem starą wścibską torbą. Może i jestem, ale nie pozwolę tak do siebie mówić smarkuli, która szlaja się z bandziorami.

Gospodyni zrobiła pauzę dla wzięcia oddechu. Staroświecka lodówka w kącie zachrobotła współczująco. Upiłem łyk kawy i zerknąłem przez okno na ulicę. George Wall siedział na przednim siedzeniu samochodu z wyrazem przygnębienia na twarzy. Spojrzałem na panią Lamb.

— Wie pani, kim był ten człowiek?

— Nie poznałam jego nazwiska. Hester mi nie powiedziała. Kiedy o nim wspomniałam, odparła, że to szef jej chłopaka.

— Jej chłopaka?

— Młodego Torresa. Lance Torres, tak się nazywa. Przyzwoity był z niego chłopiec, wyrobił sobie ładne mięśnie, kiedy pracował jako ratownik.

— Był ratownikiem w klubie?

— Przez parę sezonów. Wujek Tony załatwił mu tę robotę. Ale to było za mało dla Lance'a, on chciał zostać szychą. Słyszałam, że trochę boksował i wpadł w tarapaty, chyba wsadzili go za kratki w zeszłym roku.

— Co przeszkrobał?

— Nie mam pojęcia, za wielu jest dobrych ludzi na świecie, żeby mi się chciało zajmować łobuzami. Jakbym dostała cegłą w łeb, kiedy Lance zjawił się tu ze swoim kumplem cynglem i zaczął wypytywać o Hester. Myślałam, że bardziej się szanuje.

— Skąd pani wie, że ten drugi był cynglem?

— Widziałam, jak strzelał. Któregoś dnia budzę się rano i słyszę takie dziwne pukanie na plaży. Pomyślałam, że ktoś strzela z pistoletu. I tak było. Ten typ strzelał z czarnego pistoletu do butelek od piwa. Tego dnia powiedziałam sobie: albo Hester przestanie się zadawać z bandziorami, albo do widzenia.

— Kto to był?

— Nie poznałam jego nazwiska. Zobaczyłam, jak się

zabawia tym wstrętnym żelastwem, i to mi wystarczyło. Hester powiedziała, że to szef Lance'a.

— Jak wyglądał?

— Jak sama śmierć, tyle panu powiem. Wodniste brązowe ślepia i spłaszczona gęba w kolorze rybiego brzucha. Ale nie zlekłam się, powiedziałam, że to wstyd strzelać do butelek w miejscu, gdzie ludzie mogą się skaleczyć. Nawet na mnie nie spojrział, tylko wetknął następny magazynek do pistoletu i dalej rozwaliał te butelki. Pewnie i mnie by zastrzelił, tak się w każdym razie zachowywał..

Pani Lamb zaczerwieniła się z gniewu.

— Nie lubię, jak się mnie traktuje nie po ludzku. Poza tym jestem uczulona na strzelaniny, od kiedy zabito moją przyjaciółkę w zeszłym roku. Na tej plaży, parę mil od miejsca, w którym teraz siedzimy.

— Ma pani na myśli Gabrielle Torres?

— I owszem. Więc słyszał pan o Gabrielle, tak?

— Obiło mi się o uszy. Więc była pani przyjaciółką?

— A jakże. Jeden czy drugi mógł mieć uprzedzenia, bo ona była w połowie Meksykanką, ale ja mówię, że jeśli możesz z kimś pracować, to i przyjaźnić się możesz. — Obfita pierś pani Lamb unosiła się i opadała pod kwiecistym fartuchem.

— Podobno nikt nie wie, kto ją zastrzelił.

— Ktoś musi wiedzieć. Ten, kto to zrobił.

— Ma pani jakieś podejrzenia?

Przez dłuższą chwilę mina pani Lamb pozostawała niewzruszona. Kobieta pokręciła głową.

— Może jej kuzyn Lance albo jego szef?

— Nie powiem, że nie byliby do tego zdolni. Ale jaki mieli powód?

— A więc brała to pani pod uwagę.

— Jakżeby inaczej? Ci dranie kręcili się po moim domu, urządzali strzelaniny na plaży... Tego dnia, kiedy Hester odchodziła, powiedziałam jej, że powinna wyciągnąć naukę z tego, co spotkało jej przyjaciółkę.

— Ale ona i tak z nimi odeszła?

— Tak myślę. Nie widziałam, jak się wyprowadza. Nie wiem, dokąd poszła i z kim. Tego dnia postanowiłam, że muszę odwiedzić moją zamężną córkę w San Berdo.

ROZDZIAŁ 6

Powtórzyłem George'owi jak najmniej z tego, co usłyszałem od pani Lamb; zaczynał działać mi na nerwy. Po drodze do Los Angeles skręciłem do Channel Club. Rozejrzał się dzikim wzrokiem, jakbym wciągał go w zasadzkę.

— Po co tu wracamy?

— Chcę pogadać z ochroniarzem. Może naprowadzi mnie na ślad twojej żony. Jeśli nie, spróbuję u Antona.

— Nie widzę sensu. Rozmawiałem wczoraj z Antonem, powtórzyłem ci wszystko, co powiedział.

— Może uda mi się wycisnąć więcej. Znam Antona, kiedyś wykonałem dla niego pewną robotę.

— Myślisz, że coś przede mną ukrył?

— Możliwe. On nie cierpi dzielić się czymkolwiek, dotyczy to również informacji. Siedz tu i pilnuj, żeby nikt nie gwizdnał kołpaków. Chcę, żeby Tony rozpuścił język, a ty źle mu się kojarzysz.

— Po co w ogóle jestem tu potrzebny? — spytał ponuro George. — Mógłbym pójść do hotelu i się przespać.

— To też jest jakiś pomysł.

Zostawiłem go w aucie z dala od bramy i ruszyłem krętą alejką dojazdową między szeregami oleandrów. Tony usłyszał moje kroki. Wygramolił się z budki; w jego uśmiechniętych ustach połyskiwały złote zęby.

— Co się stało z pańskim narwanym koleżką? Zgubiłeś go pan?

— Aż tak mi szczęście nie dopisało. Pan ma bratanka, prawda?

— Mam wielu bratanków i siostrzeńców. — Tony rozłożył ręce. — Dokładnie pięćdziesięciu sześciu.

— Mówię o tym, który przedstawia się jako Lance.

Tony stęknął. W jego twarzy nic się nie zmieniło poza tym, że zniknął z niej uśmiech.

— Co z nim?

— Jak brzmi jego prawdziwe imię?

— Manuel — odparł Tony. — Nazywa się Manuel Purificación Torres. Imię, które nadał mu brat, nie pasowało chłopakowi. Musiał je zmienić.

— Wie pan, gdzie on teraz mieszka?

— Nie wiem. Nie mam z nim już nic wspólnego. Kiedyś był dla mnie jak syn. Ale to się skończyło. — Tony pokręcił powoli głową. Ten ruch sprawił, że wyrwało mu się pytanie: — Manuel znów się w coś wplątał?

— Na razie nie mam pewności. Kto jest jego menedżerem?

— On nie ma menedżera. Nie pozwalają mu już walczyć. Ja go kiedyś trenowałem i kierowałem jego karierą. Spokojnie, powolutku nauczyłem go lewego prostego i kombinacji ciosów. Mieszkał w moim domu, pilnowałem, żeby dobrze się prowadził: pobudka o szóstej, skakanka, lekki i ciężki worek, pięć mil biegiem po plaży. Miał piękne nogi, jak z żelaza. Ale on musiał wszystko zepsuć.

— W jaki sposób?

— Znana historia. Widziałem to tyle razy. Wygrał kilka trzyrundowych walk, dwie czterorundowe i sześć rund w San Diego. I już jest szychą, tak mu się w każdym razie zdaje. Stary wujek Tony jest za głupi, żeby go czegoś nauczyć o boksie. Wujek Tony nic nie wie, mówi odstaw trunki, panienki i trawkę, sprzedaj ten śmierdzący hałaśliwy motor, zanim skręcisz sobie kark, masz przed sobą przyszłość. Ale on chce wszystkiego od razu. Teraz, natychmiast. Potem zrobił coś, co mi się nie spodobało, i to bardzo. Mówię, chciałeś się ode mnie uwolnić, droga wolna. Nie mieliśmy umowy, nic nas nie łączy. Wsiada na motor i jedzie do Los Angeles. Nie miał nawet dwudziestu jeden lat i został ulicznym oprychem. Desideria, moja siostra, mnie o to obwinia, mówi, że powinienem pójść za nim na kolanach. — Tony pokręcił głową. — Nie, Desideria, długo pilnowałem Manuela. Tak samo jak ty, ale ty jesteś kobietą i pewnych rzeczy nie widzisz. Chłopak dostaje mrówek w spodniach i nie znajdziesz takiego, który je wytepi. Niech dostanie po łbie, nie możemy przeżyć za niego życia. Jeden bandzior, taki, jakim Manny chce zostać, zobaczył go, jak ćwiczy na siłowni. Proponuje mu kontrakt i Manny się godzi. Wygrywa parę walk, parę przegrywa, zarabia trochę brudnej forsy i wydaje na brudne sprawy. W zeszłym roku łapią go z trefnym towarem w aucie i pakują do kryminału. Po wyjściu jest zawieszony, nie może walczyć i wraca tam, skąd przyszedł: do armii głodomorów.

Tony splunął bez śliny.

— Kiedyś, dawno temu, opowiadałem mu, że mój ojciec, a jego dziadek, był bracero. Ojciec Manny'ego i ja urodziliśmy się w szopie w Fresno, na zadupiu, i nic nie mieliśmy. Już dwa razy nas zgarniali, mówię, musimy być czyści. Ale czy on chciał mnie słuchać? Nie, musiał nadstawiać karku.

— Jak długo siedział?

— Chyba cały zeszyły rok, ale nie jestem pewny. Miałem wtedy własne kłopoty.

Poruszył ramionami, jakby dźwigał na nich cały ciężar nieba. Chciałem zapytać go o śmierć córki, ale wyraz żalu na jego twarzy sprawił, że ugryzłem się w język. Bruzdy wokół oczu, głębokie i ostre, pozostawiło narzędzie okrutniejsze od pięści. Zadałem inne pytanie:

— Zna pan nazwisko człowieka, z którym Manuel podpisał kontrakt?

— Nazywa się Stern.

— Carl Stern?

— Tak. — Tony przyjrzał mi się, mrużąc oczy; zobaczył, jakie wrażenie zrobiło na mnie to nazwisko. — Znasz go pan?

— Widywałem go w nocnych klubach i usłyszałem o nim parę historii. Jeśli co dziesiąta była prawdziwa, to niebezpieczny z niego typ. Pański bratanek wciąż z nim trzyma?

— Skąd mam wiedzieć? Na pewno ma kłopoty. Pan pewnie o tym wie, ale nie chce mi pan powiedzieć.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Bo widziałem go w zeszłym tygodniu. Był wystrojony jak gwiazdor filmowy i pruł sportowym autem. — Tony wykonał płynny ruch rękoma. — Skąd miałby na to wszystko forszę? Nie pracuje i nie może już walczyć.

— Czemu pan go o to nie spytał?

— Nie żartuj pan. Manuel nawet nie pomachałby wujowi Tony'emu. Lepiej rozbijać się szybkimi samochodami w towarzystwie blondynek.

— Był z blondynką?

— Pewnie, że tak.

— Pan ją zna?

— Jakżebym mógł nie znać. Pracowała tu w zeszłym roku latem. Nazywa się Hester Campbell. Myślałem, że ma dość

oleju w głowie, żeby nie paradować z moim bratankiem Mannym.

— Od dawna ze sobą chodzą?

— A niby skąd mam wiedzieć? Nie jestem jasnowidzem.

— Gdzie pan ich widział?

— Na Venice Speedway.

— Czy Campbellówna przyjaźniła się z pańską córką? Twarz Tony'ego stężała i pociemniała.

— Może. Co jest grane, panie kolego? Najpierw pytasz pan o mojego bratanka, potem o córkę.

— Dowiedziałem się o pańskiej córce dzisiaj rano. Była przyjaciółką Campbellówny, a ona mnie interesuje.

— Mnie nie i nic nie wiem. Nie ma mnie po co wypytywać. Bo co ja wiem? — Nastrój Tony'ego wyraźnie się popsuł. Ochroniarz zrobił minę idioty. — Jestem tępym starym bokserem. Mam ciężki pomyślunek. Córka nie żyje, bratankowi odbiło i stał się bandziorem. A ja dostałem rano w nos od jakiegoś przybłądy.

ROZDZIAŁ 7

Anton mieszkał na pierwszym piętrze kamienicy w zachodnim Hollywood; okna wychodziły na bulwar. Budynek był nowy, ale zdrapano z niego farbę, a potem pomalowano w różowe, białe i niebieskie plamy, tak że wyglądał jak przeniesiony żywcem znad Sekwany. Wchodziło się do niego przez podwórze z lastrykową fontanną pośrodku i kilkoma małymi sklepikami z artykułami dla artystów. W fontannie stała betonowa nimfa, stopy miała w płytkiej wodzie, jedną ręką zasłaniała podbrzusze, a palcem drugiej kiwała zapraszająco.

Zewnętrznyymi schodami dotarłem do balkonu na piętrze. Przez otwarte drzwi zobaczyłem kilka dziewcząt w kostiumach, które rozciągały ścięgna przy poręczach. Kobieta z płaskim biustem i umięśnionymi udami wykrzykiwała polecenia głosem sierżanta:

— Grand battement, s'il vois plait. Non, non, grand battement.

Podszedłem do końca balkonu; unosiła się za mną słono-słodka woń potu młodych ciał. Anton, niski i przysadzisty

mężczyzna, siedział przy biurku, ubrany w gabardynowy garnitur w kolorze lodów cytrynowych. Jego twarz pokryta była sztuczną opalenizną. Wstał lekko, pokazując, że świetnie się trzyma jak na swój wiek. Wyciągnął dłoń z dwoma sygnetami; diament w jednym z nich harmonizował z diamentem w fularowym krawacie. Miał uścisk jak homar.

— Panie Archer.

Anton mieszkał w Hollywood dłużej niż ja, ale wciąż wymawiał moje nazwisko „Arshair”. Akcent przypuszczalnie stanowił część jego biznesowej fasady. Mimo to lubiłem go.

— Jestem zaskoczony, że pamięta pan moje nazwisko.

— Myślę o panu z wdzięcznością, i to często.

— Z którą żoną pan teraz jest?

— Och, proszę nie być wulgarnym. — Anton uniósł ręce w teatralnym geście; przy okazji sprawdził swój manicure. — Numer pięć. Jesteśmy bardzo szczęśliwi. Nie jest pan potrzebny.

— Na razie.

— Ale nie przyszedł pan po to, by omawiać moje problemy małżeńskie. Czemu zawdzięczam wizytę?

— Chodzi o zaginioną dziewczynę.

— Hester Campbell, tak?

— Aha.

— Wynajął pana ten przerośnięty naiwniak, jej mąż?

— Ma pan dar jasnowidzenia.

— To dureń. Mężczyzna w jego wieku i tak zbudowany, który lata w tym mieście za żoną, musi być durniem. Czemu nie stanie i nie poczeka, aż kobiety zaroją się wokół niego jak pszczoły?

— Jego interesuje akurat ta. Co mi pan o niej powie?

— Co ja mogę powiedzieć? — Anton pokazał mi nieskazitelnie czyste wnętrze dłoni. — Brała u mnie lekcje

baletu przez jakieś trzy, może cztery miesiące. Dziewczyny przychodzą i odchodzą. Nie odpowiadam za ich życie prywatne.

— A co pan wie o jej życiu prywatnym?

— Nic. Wolałbym nic nie wiedzieć. Mój przyjaciel z Toronto, Paddy Dane, nie wyświadczył mi przysługi, przysyłając ją tutaj. Ta młoda dama sama pcha się w tarapaty. Widziałem to.

— Skoro pan to widział, dlaczego napuścił pan jej męża na Clarence'a Bassetta?

Anton wzruszył ramionami.

— Ja go napuściłem? Ja tylko odpowiadałem na jego pytania.

— Przekonał go pan, że dziewczyna mieszka z Bassettem. A on nie widział jej od czterech miesięcy.

— Skąd miałem o tym wiedzieć?

— Proszę sobie ze mnie nie kpić, Anton. Znał pan wcześniej Bassetta?

— Pas trop. On raczej mnie nie pamięta.

Anton podszedł do okna i rozsunął żaluzje. Z bulwaru doleciał szum samochodów. Na jego tle głos Antona zabrzmiał dźwięczniej.

— Ale ja nie zapominam. Przed pięcioma laty ubiegałem się o przyjęcie do Channel Club. Odmówili bez podania powodu. Od mojego promotora dowiedziałem się, że Bassett nawet nie przedstawił mojego nazwiska zarządowi. Nie chciał instruktora tańca w swoim klubie.

— Więc postanowił pan mu odpłacić.

— Być może. — Spojrzał na mnie przez ramię okiem jaśnym i pozbawionym wyrazu jak oko ptaka. — Udało mi się?

— Zapobiegłem temu, co miało się zdarzyć. Ale mógł pan sprowokować morderstwo.

— Nonsens. — Anton odwrócił się i podszedł do mnie, stąpając kocim ruchem po dywanie. — Mąż Hester to rozhisteryzowany szczeniak. Całkowicie niegroźny.

— Nie powiedziałbym. Jest rośły, silny i ma kręcka na punkcie żony.

— Bogaty?

— Ależ skąd.

— Więc proszę mu powiedzieć, żeby dał sobie z nią spokój. Widziałem wiele takich jak ona, rozkochanych w sobie. Wydaje im się, że są stworzone do sztuki, aktorstwa, tańca albo muzyki. Ale tak naprawdę chodzi im tylko o forszę i ładne ciuszki. Zjawia się facet, który może im te rzeczy zapewnić i tego samego dnia wielkie aspiracje się kończą. — Anton wykonał gest wypuszczania ptaka i posyłania mu całusa w powietrzu.

— Czy pojawił się taki w życiu Hester?

— Niewykluczone. Na moim przyjęciu gwiazdkowym wyglądała, jakby na niczym jej nie zbywało. Miała nowe boa z norek. Wyraziłem swój podziw, a ona odparła, że ma umowę z producentem filmowym.

— Z którym?

— Nie powiedziała, ale to bez znaczenia. Łgała. Zmyśliła to na mój użytek.

— Skąd pan wie?

— Znam kobiety.

Nie było trudno mu uwierzyć. Ścianę za biurkiem Antona zaślaniały zdjęcia młodych kobiet z autografami.

— Poza tym żaden producent przy zdrowych zmysłach nie podpisałby kontraktu z tą dziewczyną — ciągnął Anton. — Czegoś jej brakuje: prawdziwego daru, emocji. Stała się cyniczna za młodu i nawet nie próbuje tego maskować.

— Jak się zachowywała na przyjęciu?

— Nie przyglądałem się jej zbyt długo. Miałem ponad stu gości.

— Dzwoniła od pana. Wiedział pan o tym?

— Wczoraj się dowiedziałem. Jej mąż poinformował mnie, że czegoś się obawiała. Może za dużo wypija. Na mojej imprezie nie było się czego bać: mnóstwo miłych młodych ludzi po prostu bawiło się w swoim towarzystwie.

— Z kim Hester przyszła?

— Z jakimś młodym przystojniakiem. — Anton strzelił palcami. — Przedstawiła mi go, ale zapomniałem nazwiska.

— Lance Torres?

Anton ściągnął brwi.

— Możliwe. Miał dość śniadą skórę, wyglądał na Latynosa. Bardzo dobrze zbudowany, typ młodego gniewnego z miną Apacza. Może panna Seeley dokładniej panu o nim opowie. Widziałem, że ze sobą rozmawiali. — Anton podciągnął mankiet koszuli i spojrzął na zegarek. — Panna Seeley wyszła na kawę, ale niedługo powinna wrócić.

— Tymczasem mógłby mi pan podać jej adres. Prawdziwy.

— Czemu miałbym ułatwiać panu życie? — odparł Anton, uśmiechając się nerwowo. — Nie darzę sympatią człowieka, dla którego pan pracuje. Jest zbyt agresywny. Poza tym on jest młody, a ja stary. A mój ojciec był konduktorem w tramwaju w Montrealu. Dlaczego miałbym pomagać Anglikowi z Toronto?

— I dlatego nie pozwoli mi pan odnaleźć żony?

— Och, adres mogę mu podać. Chciałem tylko wyrazić to, co czuję. Hester mieszka w hotelu Windsor w Santa Monica.

— Zna go pan na pamięć, tak?

— Akurat pamiętam. W zeszłym tygodniu pytał mnie o niego inny detektyw.

— Policyjny?

— Prywatny. Twierdził, że jest adwokatem i ma jej przekazać pieniądze, ale bajeczka była kiepska, a ja nie jestem głupcem. — Anton znów zerknął na zegarek. — Proszę wybaczyć, muszę się ubrać na zajęcia. Może pan poczekać tutaj na pannę Seeley, jeśli pan chce.

Nim zdążyłem zadać następne pytanie, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Usiadłem przy biurku i znalazłem w książce telefonicznej adres hotelu Windsor. Recepcjonista poinformował mnie, że panna Hester Campbell już tam nie mieszka. Wyprowadziła się przed dwoma tygodniami, nie zostawiając adresu do korespondencji.

Właśnie się nad tym zastanawiałem, gdy zjawiła się panna Seeley. Pamiętałem ją z okresu, gdy Anton z moją pomocą rozwodził się z trzecią żoną. Trochę schudła i trochę się postarzała. Uszyty na miarę kostium w prążki uwydatniał kościstość figury. Wciąż jednak z nadzieją nosiła żaboty na nadgarstkach i na szyi.

— O, pan Archer. — Moja obecność od razu jej się skojarzyła. — Znowu jakieś kłopoty małżeńskie?

— Tak, ale tym razem nie dotyczą pani szefa. Anton powiedział, że może mi pani udzielić pewnych informacji.

— Nie chodzi przypadkiem o numer mojego telefonu? — Panna Seeley uśmiechnęła się do mnie ciepło spod maski makijażu.

— Czemu nie.

— Pochlebiamy mi pan. Proszę się nie krepować. Chętnie wysłucham paru komplementów, tak dla odmiany. W tym światku nie spotyka się wielu godnych zainteresowania mężczyzn.

Wymieniliśmy kilka grzecznych uwag, a potem zapytałem pannę Seeley, czy widziała Hester na przyjęciu. Pamiętała ją.

— A chłopaka, który jej towarzyszył?

Panna Seeley skinęła głową.

— Jak marzenie. Palce lizać. To znaczy, jeśli ktoś lubi Latynosów. Nie są w moim guście, ale całkiem dobrze nam się rozmawiało. Dopóki nie pokazał prawdziwej twarzy.

— Rozmawiała pani z nim?

— Przez chwilę. Tłum gości trochę go onieśmiał, więc wzięłam go pod swoje opiekuńcze skrzydła. Opowiedział mi o swojej karierze. Jest aktorem. Podpisał długoterminowy kontrakt z wytwórnią Helio-Graff.

— Jak się nazywa?

— Lance Leonard. Ładne nazwisko, nie sądzi pan? Powiedział, że sam je wybrał.

— Nie podał pani prawdziwego nazwiska?

— Nie.

— I ma podpisany kontrakt z Helio-Graff?

— Tak mówił. Z pewnością nie brakuje mu urody. Oraz artystycznego temperamentu.

— Chce pani powiedzieć, że się do pani przystawiał?

— Och, nie. Nie pozwoliłabym na to. Poza tym widziałam, że przykleił się do Hester. Później siedzieli przy barze w maksymalnym zbliżeniu, pili z tej samej szklanki. — W głosie panny Seeley pojawiła się nutka żalu. Zaraz jednak dodała na pocieszenie: — Ale potem ten chłopak pokazał prawdziwą twarz.

— W jaki sposób?

— To było okropne — rzekła z upodobaniem panna Seeley. — Hester weszła tu, żeby zadzwonić. Dałam jej klucz. Musiała dzwonić do mężczyzny, bo ten chłopak wszedł tutaj i zrobił jej scenę. Ci Latynosi są tacy rozemocjonowani.

— Była pani przy tym?

— Słyszałam, jak na nią wrzeszczał. Miałam zajęcie w swoim gabinecie, ale nie mogłam nie usłyszeć. Obrzucał ją

wyzwiskami, krzyczał „dziwka” i jeszcze inne słowa, których nie powtórzę. — Panna Seeley spróbowała się zarumienić, ale bez powodzenia.

— Groził jej?

— Pewnie, że tak. Twierdził, że nie przeżyje tygodnia, jeśli pokrzyżuje plan. Siedzi w tym najgłębiej ze wszystkich i nie zrukuje jego wielkiej szansy. — Panna Seeley była dość przyzwoitą kobietą, ale nie potrafiła ukryć radości.

— Powiedział, co to za plan?

— Nie słyszałam.

— Zagroził, że ją zabije?

— Nie mówił, że on sam jej coś zrobi. Powiedział... — Panna Seeley spojrzała na sufit i poklepała się palcem w podbródek. — Powiedział, że jeśli wyjdzie z szeregu, napuści na nią swojego kumpla Carla.

— Carla Sterna?

— Możliwe. Nie wymienił nazwiska. Powtarzał tylko, że Carl zrobi z nią porządek.

— I co było później?

— Nic. Wyszli razem z przyjęcia. Hester wyglądała na bardzo przygaszoną.

ROZDZIAŁ 8

Na podwórku stała budka telefoniczna, wszedłem więc do środka i wsadziłem nos w książkę telefoniczną. Nie było w niej Lance'a Leonarda. Ani też Lance'a Torresa, Hester Campbell i Carla Sterna. Zadzwoiłem do Petera Coltona, który niedawno odszedł na emeryturę z posady starszego śledczego w biurze prokuratora okręgowego.

Usłyszałem od niego, że Carl Stern także przeszedł na emeryturę. To znaczy wyprowadził się do Las Vegas i zalegalizował się; oczywiście, jeśli uznamy, że Vegas ma cokolwiek wspólnego z legalnością. Zainwestował w wielki nowy hotel z kasynem, który jest właśnie budowany. Colton wyraził nadzieję, że Stern utopi w nim swoją brudną forszę.

— Skąd ją wziął?

— Z rozmaitych źródeł. Był dzieckiem syndykatu. Kiedy Siegel zerwał z organizacją i pożegnał się z życiem, Stern stał się jednym ze spadkobierców. Zbił fortunę na przekrętach bukmacherskich. A gdy komisja do spraw przestępczości położyła kres temu procederowi, przez jakiś czas handlował

narkotykami.

— Nie wątpię, że go na tym przyskrzyniliście.

— Znasz sytuację tak samo jak ja, Lew. — W głosie Coltona brzmiał gniew i poczucie winy jednocześnie. — My zajmujemy się ściąganiem, pracujemy na materiale, który podsunął nam gliny. Carl Stern traktował ich jak swoją obstawę. Politycy, którzy zatrudniają i zwalniają gliniarzy, jeździli z nim na ryby do Acapulco.

— Czy w ten sposób załatwił sobie koncesję na hazard w Nevadzie?

— Nie dostał koncesji. Nie mogli mu jej dać ze względu na jego reputację. Znalazł sobie słupa.

— Wiesz, kto to może być?

— Simon Graff — odparł Colton. — Na pewno o nim słyszałeś. Lokal będzie się nazywał Simon Graff's Casbah.

Zamilkłem na chwilę.

— Myślałem, że firma Helio-Graff przynosi dochody.

— Może Graff zwietrzył szansę zarobienia większej forsy. Powiedziałbym, co o tym myślę, ale nie chcę sobie podnosić ciśnienia. — Mimo to dodał głosem zdławionym przez emocje: — Te zachłanne hollywoodzkie rekiny nie mają krzty przyzwoitości: pchają się do Vegas i wysługują się gangsterom i mordercom.

— Stern jest mordercą?

— Wielokrotnym. Chcesz zobaczyć jego kartotekę?

— Nie teraz. Dzięki, Peter. Trzymaj się i nie przemęczaj.

Znałem człowieka w Helio-Graff, pisarza Sammy'ego Swifta. Operatorka centrali połączyła mnie z sekretarką, a ta zawołała Sammy'ego do telefonu.

— Lew? Jak ci się wiedzie, Sherlocku?

— Oranżada i ptasie mleczko. A propos, co to właściwie

jest ptasie mleczko? Jesteś pisarzem, powinieneś wiedzieć takie rzeczy.

— Każę to sprawdzić działowi badawczemu. Podział pracy, rozumiesz. Mógłbyś się streszczać, stary? Akurat nie mam teraz czasu. Walczę z rękopisem, drukarze mnie ścigają. — Sammy mówił szybko, jakby w takt metronomu stukającego w jego głowie.

— Jakaś wielka produkcja?

— W przyszłym tygodniu lecę z ekipą do Włoch. Graff robi film o Kartaginie.

— O Kartaginie?

— Salambô, powieść historyczna Flauberta. Gdzieś ty się chował?

— W pracowni geograficznej. Kartagina jest w Afryce.

— Już nie. Szef buduje ją we Włoszech.

— Słyszałem, że w Vegas też coś stawia.

— Masz na myśli Casbah? Taak, to prawda.

— Czy to nie dziwne, że wielki niezależny producent pakuje kasę w lokalik z jednorękkimi bandytami?

— Wszystko, co robi szef, jest niezwykle. I ostrożnie ze słowami, Lew.

— Założyli ci podsłuch?

— Nie żartuj — odparł bez przekonania Sammy. — Mów, o co chodzi. Jeśli się splukasz, zwróć się do maklera, czyli do mnie.

— U mnie wszystko w porządku. Chcę się skontaktować z waszym nowym aktorem, Lance'em Leonardem.

— Taak, widziałem go. Czemu o niego pytasz?

Musiałem improwizować.

— Znajomy pismak ze Wschodniego Wybrzeża chce z nim zrobić wywiad.

— Chodzi mu o film o Kartaginie?

— Leonard w nim gra?

— Dostał małą rolę, to będzie jego debiut. Nie czytasz prasy branżowej?

— Czytam tylko wtedy, kiedy muszę. Jestem niegramotny.

— To są gazetki stworzone dla niegramotnych. Leonard też taki jest, ale niech twój kumpel tego nie drukuje. Chłopak powinien sobie świetnie poradzić jako barbarzyńca z północnej Afryki. Ma lepszą muskulaturę niż Marlon Brando; kiedyś był bokserem.

— Jak się dostał do filmu?.

— Sam szef go odkrył.

— A gdzie ten gwiazdor przechowuje swoje boskie mięśnie?

— W Coldwater Canyon, zdaje się. Moja sekretarka może ci podać adres. Ale nie chwał się, że dostałeś go ode mnie. Dzieciak obawia się prasy, ale przyda mu się trochę publicity.

— Sammy złapał oddech. Lubił mówić. Lubił każdy przerywnik w pracy. — Mam nadzieję, że to nie jest jeden z twoich tanich dowcipów, Lew.

— Przecież mnie znasz. Straciłem dowcip rok temu. Zostały mi tylko nędzne resztki.

— Tak jak nam wszystkim, stary. To na razie.

Wziąłem od sekretarki adres w Coldwater Canyon i wyszedłem na ulicę. Słońce lśniło na karoserii samochodu. George Wall leżał bezwładnie na przednim fotelu z głową odrzuconą do tyłu. Twarz miał mokrą i zaczerwienioną, oczy zamknięte. W środku było gorąco jak w piekarniku.

Obudził go warkot uruchamianego silnika. Usiadł, pocierając oczy.

— Dokąd jedziemy?

— Ja jadę. Wyrzucę cię pod hotelem. Gdzie się zatrzymałeś?

— Nie wysiadę. — Złapał mnie za prawą rękę. — Dowiedziałeś się, gdzie jest Hester, tak? I nie chcesz, żebym się z nią zobaczył.

Milczałem. George ciągnął mnie za rękę, aż auto wpadło w lekki poślizg. Odepchnąłem go.

— Na litość boską, opanuj się. Weź coś na uspokojenie, kiedy znajdziesz się w hotelu. Mów, gdzie to jest.

— Nie pojedę do hotelu. A ty nie możesz mnie do tego zmusić.

— Dobrze już, dobrze. Jeśli obiecasz, że zostaniesz w aucie. Mam zamiar, który może mnie do czegoś doprowadzić albo i nie. Na pewno nie doprowadzi, jeśli będziesz mi wchodził w parady.

— Nie zrobię tego, słowo. Nie rozumiesz, jak się czuję — dodał po chwili George. — Śniła mi się Hester. Próbowałem z nią porozmawiać, ale nie odpowiadała. Zobaczyłem, że nie żyje. Dotknąłem jej, była zimna jak lód...

— Opowiedz to swojemu psychoanalitykowi — odparłem nieprzyjemnym tonem. George uzalał się nad sobą, a mnie to wkurzało.

Urażony, zamilkł i nie odzywał się aż do Canyon. Lance Leonard mieszkał prawie na szczycie wzgórza, w domu z sekwoi zawieszonym na dźwigarach nad stromizną. Zaparkowałem w pewnej odległości od domu i rozejrzałem się. Nikt nie mieszkał w bezpośrednim sąsiedztwie, choć na zбочu przycupnęło jeszcze kilka budynków. Wzgórza opadały fałdami ku linii morza niczym ciężka draperia.

Przywoździłem George'a do fotela mistrzowskim spojrzeniem i ruszyłem spadzistą jezdnią w stronę domu. Drzewa na podwórzu od ulicy, cytrynowce i awokado, zostały niedawno posadzone; widać było żółtą obwódkę wokół korzeni.

W garażu stał popielatoszary jaguar i lekki motocykl wyścigowy. Nacisnąłem dzwonek obok drzwi frontowych i usłyszałem kuranty łagodnie męcące ciszę.

Otworzył młody człowiek; czesał się grzebieniem z cekinami. Miał czarne włosy, kręcone na czubku głowy i proste po bokach. Stojąc na progu, dorównywał mi wzrostem. Jego twarz była posepnie przystojna, jeśli pominąć wyraz zepsucia na ustach i lekko zamglone oczy. Miał na sobie niebieską pizamę i był boso. Rozpoznałem w nim skoczka ze zdjęcia w gabinecie Bassetta.

— Pan Torres?

— Leonard — poprawił mnie. Przyczesawszy zgodnie z upodobaniem kosmyki na czole, wpuścił grzebień do kieszonki pizamy. Uśmiechnął się z rozmysłem. — Sprawilem sobie nowe nazwisko pasujące do nowej drogi kariery. Co jest grane, kapitanie?

— Chciałbym się zobaczyć z panią Wall.

— Nigdy o takiej nie słyszałem. Trafieś pan pod zły adres.

— Jej panieńskie nazwisko brzmi Campbell. Hester Campbell.

Chłopak zeszywniał.

— Hester nie jest mężatką.

— Jest. Nie powiedziała panu?

Lance zerknął za siebie przez ramię, a potem na mnie spojrzął. Ruchy miał zwinne jak jaszczurka. Złapał za klamkę i zaczął zamykać drzwi.

— Nigdy o takiej nie słyszałem. Przepraszam.

— Do kogo należy ten grzebień? A może lubi pan błyszczące przedmioty?

Zawahał się przez chwilę, a ja zdążyłem wsunąć stopę między drzwi. Zobaczyłem salon z suwaną ścianą ze szkła, a za nim taras z widokiem na kanion. Na metalowej leżance

opalała się dziewczyna. Miała długie brązowe plecy i wspinała wąską talię, przechodzącą w biały łuk bioder. Jej włosy wyglądały jak zmierzwione srebrne pióra.

Leonard zrobił krok, wypychając mnie na zewnątrz, i zamknął za sobą drzwi.

— Nie zapuszczaj żurawia, kuzynie. Dzisiaj nici z darmowego pokazu. I nie znam żadnej Hester cośtam. Zapamiętaj to sobie.

— Jeszcze przed chwilą pan znał.

— Może kiedyś usłyszałem to nazwisko. Słyszę dużo nazwisk. A ty jakieś masz?

— Nazywam się Archer.

— Po coś tu przyszedł?

— Jestem prywatnym detektywem.

Leonard skrzywił się brzydko, jego oczy pociemniały. Pochodził z dzielnic, w których gliny budzą strach i nienawiść; ta nienawiść pozostała w nim jak przewlekła choroba.

— Czego ode mnie chcesz, glino?

— Nie od pana. Chcę pomówić z Hester.

— Ma jakieś kłopoty?

— Pewnie tak, jeśli mieszka z panem pod jednym dachem.

— A skąd. Puściła mnie kantem, szczerze mówiąc. — Chłopak przesunął palcem po spodniach od piżamy, jakby chciał zilustrować swoje słowa. — Nie widziałem tej laski kopę lat.

— Wystarczy spojrzeć na taras.

Leonard zacisnął ręce na biodrach. Zgiął się w pasie i puścił język w ruch.

— Znowu wyzywasz mnie od kłamcy. A ja zajmuję publiczne stanowisko, więc stoję tu i słucham jak dżentelmen. Ale lepiej zjeżdżaj z mojej posesji, bo ci dowalę, nie obchodzi mnie, czyś ty glina czy nie.

— To by dobrze wyglądało w gazecie. I cały układ też.

— Jaki układ? O czym ty pleciesz?

— Sam mi to powiedz.

Lance spojrział z niepokojem w stronę mojego samochodu. Twarz George'a za szybą wyglądała jak złowieszczy różowy księżyc.

— Kim jest twój przydupas?

— To mąż Hester.

W oczach Lance'a pojawiła się zaduma.

— Co jest grane, chcesz mi zrobić kipsisz? Pokaż papierek.

— Nie mam papierka. Jestem prywatnym detektywem.

— Bierz go — rzucił do nieistniejącego kompana z lewej strony.

W tej samej chwili jego ramię powędrowało w dół. Trafił mnie hakiem poniżej żeber. Cios był zbyt szybki, nie dało się go zablokować. Przysiadłem na kamieniach i nie mogłem wstać. Głowę miałem trzeźwą i jasną jak akwarium, lecz kotłujące się w niej błyskotliwe myśli i szlachetne zamiary nie miały żadnego kontaktu z nogami.

Leonard stał z uniesionymi pięściami, czekając, aż wstanę. Włosy opadły mu na oczy, granatowoczarne i lśniące niczym wióry żelaza. Gołe stopy tańczyły na kamieniach. Wyciągnąłem ręce w ich stronę, ale chwyciłem tylko powietrze. Lance uśmiechnął się, nie przestając płaszać.

— No, wstawaj. Przyda mi się trening.

— I będziesz go miał, frajerze — odpowiedziałem między jednym oddechem a drugim.

— Nie od ciebie, stary pajacu.

Drzwi domu otworzyły się i wyrzała pierzasta czupryna. Dziewczyna miała barwne ciemne okulary, których cekinowe oprawki pasowały do grzebienia. Na jej twarzy błyszczał

olejek. Frotowy ręcznik, który trzymała pod pachami, przylegał do wypukłości i zwiężeń jej sylwetki.

— Masz jakieś kłopoty, skarbie?

— Żadnych. Schowaj się.

— Co to za typ? Przywaliłeś mu?

— A jak myślisz?

— Myślę, że ci odbiło. Za dużo ryzykujesz.

— Ja ryzykuję? A kto rozpuścił jezor przez telefon? Ty ściągnęłaś tu tego drania.

— No dobrze, chciałam odejść. Zmieniłam zdanie.

— Przymknij się. — Leonard postraszył ją ruchem ramion. — Powiedziałem: schowaj się.

Na podjeździe zastukały czyjeś stopy.

— Hester! To ja! — krzyknął George Wall.

Widziałem część twarzy dziewczyny; jej wyraz nie uległ najmniejszej zmianie. Leonard położył rękę na okrytej ręcznikiem piersi, wepchnął Hester do domu i zatrzasnął drzwi. Odwrócił się do rozpędzonego George'a i trafił go lewym prostym w twarz. George stanął jak wryty. Lance czekał z miną człowieka intensywnie zasłuchanego w muzykę.

Wstałem i obserwowałem walkę. George pragnął jej od dawna; miał przewagę wzrostu, masy ciała i zasięgu ramion. Nie wtrącałem się. To było jak starcie człowieka z maszyną. Leonard uniknął ciosu George'a, skoczył do niego, oparł podbródek na piersi rosnącego przeciwnika i zaczął młócić jego brzuch. Jego łokcie pracowały tuż przy ciele niczym naoliwione tłoki. Po chwili się cofnął, a George zgiął się w pół. Opadł na kolana, a potem wstał pobladły na twarzy.

Gdy tylko oderwał dłonie od kamieni, Leonard zamachnął się prawą ręką i uderzył George'a w twarz. Ten wyprostował się i cofnął kilka kroków na miękką trawę. Spojrzał z wyrzutem w niebo, jakby coś spadło na niego z góry. Potrząsnął

głową i ruszył w stronę Leonarda. Potknął się o wąż ogrodowy i omal nie przewrócił.

Stanąłem pomiędzy nimi, twarzą do Leonarda.

— On ma dość. Przestań.

George odepchnął mnie na bok. Złapałem go za rękę.

— Puść mnie do tego warchlaka — wycedził, a z ust ciekła mu krew.

— Oberwiesz gorzej, chłopcze.

— Martw się o niego.

Był silniejszy ode mnie. Wyrwał się i wyprowadził szeroki cios. Osiągnął tyle, że rozerwał sobie marynarkę na plecach. Lance odchylił głowę o kilka cali w bok i pięść świsnęła w powietrzu. George stracił równowagę. Leonard trafił go prawą pięścią między oczy, a potem dołożył lewą. Głowa George'a stuknęła głucho o kamienie. Nie ruszał się.

Leonard pogładził lewą dłońią kostki prawej ręki, jak gdyby to było dzieło sztuki.

— Nie powinieneś bić się z amatorami.

— I nie robię tego, jeśli nie muszę — odparł rozsądnie. — Ale czasem mnie wkurza, jak wyrośnięty gamoń myśli, że może mną pomiatać. Dosyć mną pomiatało i wystarczy. — Stał na jednej nodze i dotknął dużym palcem bezwładnej ręki George'a. — Może powinieneś zabrać go do doktora.

— Chyba masz rację.

— Dosyć mocno go trafiłem.

Pokazał mi spuchnięte i zaczerwienione kostki. Poza tym walka dobrze mu zrobiła. Był pogodny i rozluźniony, podskakiwał lekko niczym rozgrzany koń wyścigowy. Pierzastowłosa obserwowała go z okna. Miała na sobie lnianą sukienkę. Zauważywszy, że na nią patrzę, usunęła się z widoku.

Leonard odkręcił kurek i połał głowę George'a zimną wodą, a gdy ten otworzył oczy i spróbował usiąść, zamknął kran.

— Nic mu nie będzie. Jak się mocno dostanie, to leży się dłużej. A w ogóle to było w obronie własnej, jesteś świadkiem. Jakby coś nie grało, to wal do Leroya Frosta z Helio.

— Leroy Frost prostuje twoje sprawy, co?

Lance posłał mi nieco zaniepokojony uśmiech.

— Znasz Leroya?

— Owszem.

— Może nie będziemy mu zawracać gitary, co? Facet i tak ma sporo na łbie. Ile wyciągasz dziennie?

— Pięćdziesiąt, kiedy mam robotę.

— Co byś powiedział, jakbym odpałił ci pięć dych i zajął się padliną? — Leonard uruchomił cały swój neonowy wdzięk. — Powiniennem wyrazić ubolewanie, straciłem głowę. Niepotrzebnie rąbnąłem cię zniecka. Możesz mi kiedyś oddać.

— Może to zrobię.

— Jasne, nie będę ci przeszkadzał. Co z tym workiem kartofli?

— Wygląda jak złamana rakieta tenisowa.

— Nie masz pretensji, co?

— Żadnych.

— No to super.

Wyciągnął do mnie rękę. Stałem mocniej na nogach i uderzyłem go w szczękę. Nie było to najmądrzejsze posunięcie. Moje nogi zaczynały odczuwać ciężar wieku średniego, poza tym wciąż lekko kręciło mi się w głowie. Gdybym nie trafił w punkt, Leonard mógł mnie obkoczyć i stłuc na miazgę tylko lewą ręką. Ale na szczęście nie chybiłem.

Zostawiłem go leżącego na kamieniach. Drzwi nie były zaryglowane, wszedłem więc do środka. Dziewczyny nie było w salonie ani na tarasie. Frotowy ręcznik leżał rzucony na podłodze w łazience, obok kapelusza ze słomy. Na skórzanym pasku wewnątrz runda widniała pieczęć: „Wykonane

ręcznie w Meksyku dla sklepu Taos".

Za ścianą zakrzuszył się, a potem zawarczał motor. W pomieszczeniu gospodarczym znalazłem drzwi prowadzące do garażu. Dziewczyna siedziała za kierownicą jaguara, spoglądając na mnie z otwartymi ustami. Zamknęła drzwiczki na zamek, nim zdążyłem chwycić za klamkę. A potem auto oderwało się od mojej ręki.

Opony zapiszczały na betonie, zostawiając czarny ślad. Jaguar w mgnieniu oka znalazł się na jezdni. Dałem spokój. Nie mogłem zostawić George'a z Leonardem.

Siedzieli obaj przed domem, spoglądając na siebie z nienawiścią. George krwawił z ust. Skóra wokół jednego oka zmieniła kolor. Leonard nie miał siniaka, ale kiedy wstał, zobaczyłem, że zaszła w nim zmiana.

Miał minę zbitego psa i zerkał ukradkiem, jakbym wtrącił go z powrotem w przeszłość. Przesuwał palcami po nosie i ustach.

— Nie martw się, nadal jesteś śliczny.

— Wesolek z ciebie. Myślisz, że to śmieszne? Ukatrupiłbym cię, gdyby nie to. — Pokazał spuchniętą prawą dłoń.

— Przyłożyłeś mi zniecka, teraz jesteście kwita. Dokąd ona pojechała?

— Ty możesz jechać do diabła.

— Gdzie ona mieszka?

— Idź w cholere.

— Możesz mi podać jej adres. Znam numery samochodu, mogę ją namierzyć.

— Droga wolna. — Spojrzał na mnie z wyższością; pewnie znaczyło to, że jaguar należy do niego.

— Czemu zmieniła zdanie? Dlaczego chciała odejść?

— Nie jestem jasnowidzem. Nic o niej nie wiem. Obsługuję wiele babek, jasne? Jak się proszą, to czasem którąś

przelece. Czy to znaczy, że za nie odpowiadam?

Wyciągnąłem ręce w jego stronę. Cofnął się z urażoną miną.

— Trzymaj łapy przy sobie. I wynocha z mojej posesji. Mam w domu naładowaną broń, ostrzegam.

Podszedł do drzwi i odwrócił się, obserwując nas. George dźwignął się nieco. Założyłem sobie na plecy jego rękę i podniosłem nieboraka. Wlókł się jak człowiek, który próbuje utrzymać równowagę na sprężynowym materacu.

Kiedy spojrzałem ostatni raz na dom, Leonard stał w progu, czesząc włosy.

ROZDZIAŁ 9

Powoli zjechałem w stronę Beverly Hills, bo czułem, że stanowią zagrożenie drogowe. Sądni, kiedy wystarczy położyć palec w odpowiednim punkcie i nacisnąć, a wszystko wskakuje na swoje miejsce. Ale są też inne dni.

George mnie niepokoił. Siedział przygarbiony z twarzą schowaną w dłoniach, od czasu do czasu pojękując. Jeszcze lepiej ode mnie opanował sztukę wsadzania palca w drzwi po to, by mu go przytrząsnęto. Potrzebował niańki; zdaje się, że padło na mnie.

Zawiozłem go do mojego lekarza pierwszego kontaktu; nazywał się Wolfson i miał gabinet przy Santa Monica Boulevard. Kazał George'owi położyć się na metalowym stole; grubymi, lecz zręcznymi palcami obmacał jego twarz i czaszkę, błysnął małą latarką w oczy i odprawił pozostałe czary.

— Jak do tego doszło?

— Przewrócił się i uderzył głową o kamienny chodnik.

— Kto go popchnął? Ty?

— Nasz wspólny znajomy. Nie będziemy tego analizować.

Wszystko z nim w porządku?

— Może mieć lekkie wstrząśnienie mózgu. Potłukł się pan już kiedyś?

— W czasie gry w futbol — odparł George.

— Mocno?

— Chyba tak. Parę razy urwał mi się film.

— Nie podoba mi się to — oznajmił Wolfson. — Należy go zabrać do szpitala. — Powinien spędzić co najmniej dwa dni w łóżku.

— Nie! — George wstał, odpychając lekarza. Z wysiłkiem poruszył oczami, powieki miał spuchnięte. — Mam akurat tyle czasu. Muszę się z nią zobaczyć.

Wolfson uniósł brwi.

— Z kim?

— Z żoną — odpowiedziałem. — Opuściła go.

— I co z tego? Takie rzeczy zdarzają się codziennie. Ciebie też to spotkało, Lew. On musi poleżeć.

George zsunął nogi ze stołu i stanął chwiejnie. Jego twarz miała kolor świeżo wylanego cementu.

— Odmawiam pójścia do szpitala.

— Podejmuje pan poważną decyzję — stwierdził chłodno Wolfson. Był tęgim mężczyzną, którego zainteresowania ograniczały się do medycyny i muzyki.

— Mogę go położyć do łóżka u siebie w domu. To wystarczy?

Wolfson spojrzał na mnie powątpiewająco.

— A zdołasz go tam zatrzymać?

— Tak myślę.

— Doskonale — rzekł poważnie George. — Zgadzam się na ten kompromis.

Wolfson wzruszył ramionami.

— Jeśli to szczyt naszych możliwości, to trudno. Dam mu zastrzyk rozluźniający i chcę zobaczyć później pacjenta.

— Wiesz, gdzie mieszkam — odparłem.

Mieszkiałem w murowanym domku z dwiema sypialniami na pięćdziesięciostopowej działce przy Olympic. Od pewnego czasu druga sypialnia stała nieużywana. Później była używana. Kiedy znowu opustoszała, sprzedałem łóżko handlarzowi i zmieniłem pomieszczenie w gabinet, którego z jakichś powodów nie znosiłem.

Położyłem George'a do mojego łóżka. Sprzątaczką była rano w domu i zmieniła pościel. Wieszając jego rozprute ubranie na krzesło, zapytałem siebie, co ja właściwie robię i dlaczego. Spojrzałem przez korytarz na drzwi sypialni bez łóżka, w której nikt już nie spał. Żółć podeszła mi do gardła. Wydawało mi się bardzo ważne, by George spotkał się z żoną i zabrał ją z Los Angeles. I żeby żyli potem długo i szczęśliwie.

George przetoczył głowę na poduszce. Był już częściowo nieprzytomny; paraldehyd i znieczulające pięści Leonarda zrobiły swoje.

— Słuchaj, Archer. Dobry z ciebie przyjaciel.

— Naprawdę?

— Jedyne, jakiego mam w promieniu dwóch tysięcy mil. Musisz ją znaleźć.

— Znalazłem. I co to dało?

— Wiem, niepotrzebnie się pojawiłem na scenie. Spłoszyłem tylko Hester. Zawsze muszę się wygłupić. Jezu, nie tknąłbym jej palcem. Musisz jej to ode mnie powiedzieć. Przynieknij.

— No dobrze. A teraz już śpij.

To nie było wszystko, co miał do powiedzenia.

— Ale przynajmniej żyje, prawda?

— Jeśli jest trupem, to nad podziw żwawym.

— Kim są ci ludzie, z którymi się zadawała? Kim był ten pajac w piżamie?

— Nazywa się Torres. Był bokserem, jeśli to cię pocieszy.

— Czy on jej groził?

— Na to wygląda.

George uniósł się na łokciach.

— Słyszałem już to nazwisko. Hester miała przyjaciółkę, która nazywała się Gabrielle Torres.

— A więc opowiadała ci o Gabrielle?

— Tak. Powiedziała mi tej nocy, kiedy... wyznała swoje grzechy. — Jego mętny wzrok znieruchomiał na czymś niewidzialnym w kącie. Poruszył suchymi ustami, próbując nazwać to, co zobaczył:

— Jej przyjaciółka została zastrzelona wiosną ubiegłego roku. Zaraz potem Hester wyjechała z Kalifornii.

— Dlaczego to zrobiła?

— Nie wiem. Zdawało mi się, że obwinia się o śmierć tej dziewczyny. Poza tym bała się, że w razie procesu zostanie powołana na świadka.

— Do procesu nie doszło.

George milczał, nie spuszczać wzroku z tego, co widział w pustym kącie.

— Co jeszcze ci opowiedziała?

— O mężczyznach, z którymi spała od czasu, gdy była nastolatką.

— Hester?

— Tak. Wstrząsnęło to mną bardziej niż to drugie wyznanie. Nie wiem, jak to o mnie świadczy.

Że jesteś człowiekiem, pomyślałem.

George zamknął oczy. Opuściłem roletę i wyszedłem do drugiego pokoju, żeby zatelefonować. Chciałem zadzwonić do centrali policji drogowej, w której mój znajomy, Mercer, pracował jako dyspozytor. Na szczęście miał dzienną zmianę. Powiedział, że akurat jest wolny, ale za chwilę może nie

być, bo wypadki zawsze jak na złość chodzą parami albo trójkami. Obiecał, że błyskawicznie przygotowuje dla mnie raport na temat numerów rejestracyjnych jaguara.

Usiadłem przy aparacie, zapaliłem papierosa i spróbowałem obudzić w sobie błyskotliwą intuicję, tak jak detektywi w książkach i niektórzy w rzeczywistości. Przyszło mi do głowy tylko tyle, że auto należy do Lance'a Leonarda i w ten sposób zatoczę koło.

Dym papierosowy w trzewiach przypomniał mi o głodzie. Naszykowałem sobie kanapkę z chleba żytniego z szynką i serem i otworzyłem butelkę piwa. Sprzątaczką zostawiła kartkę na stole w kuchni:

Drogi Panie Archer, przyszłam o dziewiątej wyszłam w południe, potrzebne mi są pieniądze na dzisiaj, podjadę po południu, proszę zostawić 3 dolary 75 centów w skrzynce na listy, jeśli Pan wyjdzie. Serdecznie pozdrawiam,

Beatrice M. Jackson

PS W chłodziarce jest mysi brud, proszę kupić pułapkę, ja ją ustawię. Mysi brud jest niehigieniczny.

Serdecznie pozdrawiam, Beatrice M. Jackson

Wsunąłem cztery dolary do koperty, napisałem nazwisko i wyszedłem na ganek. Para strzyżyków świergoczących pod okapem skierowała kilka uszczypliwych uwag pod moim adresem. Skrzynka była zapełniona: znalazłem w niej cztery stare rachunki, dwie prośby o wpłaty na rzecz organizacji dobroczynnych, odbitkę listu miejscowego kongresmana, w którym oznajmiał, że jest świadom zagrożenia, broszurkę

opisującą sekrety małżeńskiego szczęścia, sprzedawaną po obniżonej cenie 2 dolarów 98 centów lekarzom, duchownym, pracownikom służby socjalnej oraz innym zainteresowanym, i kartkę bożonarodzeniową od dziewczyny, która przekazywała mi zaproszenie na przyjęcie przedświąteczne. Podpisała się Mona, a jej wiadomość miała treść liryczną:

O prawdziwej przyjaźni cudzie
Śpiewają aniołowie i ludzie.
Jeden rok się zaczyna,
drugi się kończy
Postanówmy: nich nic nas nie rozłączy.

Usiadłem przy stole z piwem i zabrałem się do pisania odpowiedzi. Nie było to łatwe. Mona przekazywała zaproszenie, gdyż straciła męża w Korei, a jej mały synek zmarł w szpitalu. Przypomniało mi się, że ja też nie mam syna. Facet zaczyna się czuć samotny w betonowej pustyni, kiedy dobija czterdziestki, nie ma dziewczyny ani dziecka. Mona była ładna, inteligentna i bardzo chciała urodzić jeszcze jedno dziecko. Na co ja czekam? Na bogatą dziewicę ze stronic błękitnej książki?

Postanowiłem zatelefonować do Mony. Wyciągnąłem rękę po słuchawkę i w tej samej chwili odezwał się dzwonek.

— Mercero?

To był Bassett.

— Dzwoniłem do pana wcześniej — wydyszał.

— Jestem w domu od pół godziny.

— Znalazł ją pan czy zrezygnował z poszukiwań?

— Znalazłem i zgubiłem. — Opowiedziałem, jak do tego doszło, przy wtórze ochów i cmokania po drugiej stronie linii. — Nie mogę zaliczyć tego dnia do udanych. Moim największym błędem było zabranie ze sobą Walla.

— Mam nadzieję, że nie odniósł poważnych obrażeń? — spytał Bassett głosem zaprawionym nutką złośliwości.

— Ma twardą głowę, przeżyje.

— Jak pan uważa, czemu Hester uciekła od niego tym razem?

— Może pchnął ją do tego zwykły strach. A może nie. Wydaje mi się, że w tej sprawie chodzi o coś więcej niż o ucieczkę żony od męża. Raz po raz wyływa śmierć Gabrielle Torres.

— Przedziwne, że pan o tym wspomniał. Myślałem o niej dzisiaj od chwili, gdy zauważył pan to zdjęcie na ścianie.

— Ja też o niej myślałem. Na zdjęciu jest cała trójka: Gabrielle, Hester i Lance. Gabrielle została zamordowana, sprawcy nie schwytano. Tych dwoje było z nią blisko związanych. Lance był jej kuzynem, a Hester najlepszą przyjaciółką.

— Nie sugeruje pan chyba, że Lance albo Hester...? — W przyciszonym głosie Bassetta pobrzmiwała sugestia.

— Ja tylko spekuluję. Nie sądzę, żeby Hester zabiła przyjaciółkę. Myślę jednak, że wie coś, czego nie wie nikt inny.

— Tak powiedziała?

— Nie mnie. Mężowi. Wszystko to jest dość niejasne. Oprócz tego, że prawie dwa lata później zjawia się w Coldwater Canyon. I nagle jest bogata, podobnie jak jej chłoptas z wielkimi piąchami.

— To daje do myślenia, prawda? — Bassett zachichotał nerwowo. — Co panu chodzi po głowie?

— Szantaż, naturalnie. A ja nigdy nie wykluczam tego, co jest oczywiste. Lance rozpowiada, że podpisał umowę z wytwórnią Helio-Graff. Całkiem legalną, jak się zdaje. Powstaje pytanie, jak złapał kontrakt z dużym niezależnym producentem. Przystojniak z niego, ale w tych czasach to nie wystarcza. Znał go pan, kiedy pracował jako ratownik w klubie?

— Oczywiście. Szczerze powiedziawszy, nie zatrudniłbym go, gdyby wujek usilnie nie nalegał. Na ogół latem korzystamy z usług studentów.

— Miał jakieś ambicje aktorskie?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Trenował pięściarstwo — dodał pogardliwie Bassett.

— Teraz jest aktorem. Nie sposób wykluczyć, że jest genialnym naturščzykiem — dziwniejsze rzeczy już się zdarzały — ale ja w to wątpię. Na dodatek Hester też twierdzi, że ma podpisaną umowę.

— Z Helio-Graff?

— Nie wiem. Zamierzam to sprawdzić.

— Pewnie okaże się, że tak właśnie jest. — Głos Bassetta nabrał ostrości i zdecydowania. — Wahałem się, czy panu o tym powiedzieć, choć w tym celu dzwonię. Na moim stanowisku człowiek nabiera nawyku milczenia. Ale rano z kimś rozmawiałem i padło nazwisko Hester. A także Simona Graffa. Widziano ich w dość kompromitujących okolicznościach.

— Gdzie?

— W hotelu w Santa Monica, w Windsorze, zdaje się.

— To by się zgadzało. Hester tam mieszkała. Kiedy to było?

— Przed paroma tygodniami. Mój informator widział ich w pokoju na którymś z górnych pięter. Pan Graff wyszedł sam. Hester tylko zbliżyła się do drzwi.

— Kim jest pański informator?

— Nie mogę panu tego powiedzieć, staruszk. To jeden z członków klubu.

— Podobnie jak Simon Graff.

— Proszę nie sądzić, że nie jestem tego świadom. Pan Graff jest najbardziej wpływowym członkiem naszego klubu.

— Czy pan aby się nie naraża, mówiąc mi o tym?

— Owszem, narażam się. Mam nadzieję, że obdarzając pana zaufaniem, nie popełniłem błędu.

— Spokojnie. Milczę jak ryba. Ale co z operatorką?

— Sam siedzę — odparł Bassett.

— Graff jeszcze tam jest?

— Nie. Wyszedł parę godzin temu.

— Gdzie mogę go znaleźć?

— Nie mam pojęcia. Wieczorem urzędują przyjęcie w klubie, ale niech pan go nie nagabuje. Pod żadnym pozorem nie wolno panu tego robić.

— Oczywiście — potwierdziłem, stawiając w głowie znak zapytania. — Czy pańskim informatorem nie jest przypadkiem pani Graff?

— Ależ skąd. — Bassett mówił coraz słabszym głosem. Albo kłamał, albo decyzja o tym, żeby opowiedzieć mi o incydencie w hotelu Windsor nadszarpnęła jego siły. — Proszę nawet w ten sposób nie myśleć.

— Zgoda. — Właśnie w ten sposób myślałem.

Zadzwoiłem do centrali drogówki.

— Przykro mi, Lew, ale nic nie mogę zrobić — oznajmił Mercero. — Od twojego telefonu zdarzyły się trzy wypadki, mam urwanie głowy. — Odłożył słuchawkę.

Nie miało to znaczenia. Zaczynały się wyłaniać kontury sprawy niczym motyw przewodni w gniewnym, kakofonicznym utworze. Miałem najwęższy trop, jaki można sobie wyobrazić: kapelusz słoneczny ze sklepu w Santa Monica. Miałem też dziwne, narastające przecucie, że wkrótce nastąpi przełom.

Przed wyjściem z domu spojrzałem na George'a. Chrapał. Nie powinienem był zostawiać go samego.

ROZDZIAŁ 10

Sklep Taos to niewielka pułapka na turystów przy Coast Highway. W klimacie artystycznego bezładu prowadzono tam sprzedaż indiańskich koców, naszyjników z totemicznymi symbolami, koszy, ceramiki i kapeluszy. Myszowata blondynka w brązowej indiańskiej bluzce, pobrzękując cicho wampumami, zapytała, czy szukam pamiątki dla żony. Odparłem, że poszukuję żony pewnego mężczyzny. Miała romantyczne śliwkowe oczy; chyba uderzyłem we właściwy ton.

— To intrygujące. Jest pan detektywem?

Potwierdziłem.

— To fascynujące.

Kiedy jednak opowiedziałem jej o kapeluszu, z żalem pokręciła głową.

— Przykro mi. Jestem pewna, że to nasz kapelusz, bo importujemy je z Meksyku. Ale tyle się ich sprzedaje, że nie uda mi się... — Zwiewnym ruchem wskazała stos kapeluszy na końcu lady. — Może gdyby ją pan opisał?

Opisałem Hester. Ekspedientka znów pokręciła głową.

— Nie odróżniam jednej blondynki od drugiej.

— To tak samo jak ja.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto i tak ma ufarbowane włosy. Ja też mogłabym być blondynką, gdybym chciała, wystarczy co jakiś czas zamoczyć włosy w farbie. Ale jestem zbyt dumna. — Nachyliła się w moją stronę, wampumy zakotływały się obiecująco nad ładą. — Szkoda, że nie mogę panu pomóc.

— Dziękuję za dobre chęci. Szansa i tak była minimalna. — Odwróciłem się w stronę wyjścia. — Nazywa się Hester Wall, nawiasem mówiąc. Słyszała pani kiedyś to nazwisko?

— Hester? Znam jedną Hester, ale ona się tak nie nazywa. Jej matka kiedyś tu pracowała.

— Jak się nazywa?

— Campbell.

— To ta sama. Campbell to jej nazwisko panięskie.

— Przyzna pan, że to intrygujące? — Kobieta się uśmiechnęła; w jej policzku pojawił się dołeczek, oczy zaś zaślniły. — Ludziom zdarzają się takie niezwykle rzeczy, nie sądzi pan? Pewnie szuka jej pan w związku ze spadkiem.

— Jakim spadkiem?

— Właśnie z powodu spadku córki pani Campbell odeszła z pracy. Tylko proszę mi nie mówić, że znowu odziedziczyła jakąś fortunę!

— A po kim odziedziczyła pierwszą?

— Po zmarłym mężu. — Ekspedientka zrobiła pauzę, jej usta zadrżały. — To smutne, że można coś odziedziczyć dopiero wtedy, gdy ktoś umrze.

— Rzeczywiście. Mówi pani, że mąż Hester zmarł?

— Tak. Wyszła za bogatego faceta w Kanadzie, a on umarł.

— Hester pani o tym powiedziała?

— Nie. Pani Campbell. Nie znam osobiście Hester. —

Nagle twarz ekspedientki posmutniała. — Mam nadzieję, że to nie jest fałszywy alarm. Wszyscy się cieszyliśmy, kiedy pani Campbell dostała tę wiadomość. To taka słodka, urocza kobiecinka, i miała kiedyś pieniądze, wie pan. Nikt nie pożałował jej szczęścia.

— Kiedy dowiedziała się o spadku?

— Przed paroma tygodniami. Odeszła na początku tego tygodnia. Będzie mieszkała w domu córki.

— W takim razie może dowiem się od niej, gdzie przebywa córka. Jeśli pani zechce mi powiedzieć, gdzie mieszka pani Campbell.

— Gdzieś mam jej adres.

— Pani Campbell nie ma telefonu?

— Nie, korzysta z telefonu sąsiadki. Teeny Campbell ostatnio kiepsko się wiodło. — Kobieta zamilkła i popatrzyła na mnie wilgotnymi oczami. — Ale nie dam panu adresu, jeśli wpędzi ją to w kłopoty. Czemu pan szuka Hester?

— Ktoś z rodziny w Kanadzie chce się z nią skontaktować.

— Krewny jej męża?

— Tak.

— Niech pan przysięgnie na własne życie i wszystko.

— Przysięgam na własne życie. — Poczulem, że to kłamstwo ściągnie na mnie pecha. — I wszystko.

Pani Campbell mieszkała przy biednej uliczce z murowanymi domkami do połowy zasłoniętymi przez wielkie stare dęby. W pstrokatym cieniu ich koron przedszkolaki bawiły się w strzelaninę: pif-paf, nie żyjesz; wcale nie; pewnie, że tak. Psy zgodnym chórem obszczekiwały śmieciarkę wykradającą odpadki wyrzucone przez ich panów.

Domek pani Campbell stał za otynkowanym murem z zardzewiałą, stale otwartą bramą. Przyczepiono do niej drutem tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ. Na podwórzu czerwone pelargonie wyzierały spomiędzy gałęzi skarłowaciałych

drzewek limonki, zmieniając je w kwitnące w słońcu krzaki. Kolczaste, jaskrawe jak płomienie pnącza bugenwilli oplatały ganek i dach.

Wszedłem w jego cień i zapukałem w siatkowe drzwiczki uszczelnione przed muchami kłębkami bawełny. W wewnętrznych drzwiach było małe zakratowane okienko. Otworzyło się raptownie i ukazało się w nim oko. Było niebieskie, lekko wyblakłe i otoczone podwiniętymi rzęsami; towarzyszył mu głos przypominający świergot wróbla w gałęziach dębu.

— Dzień dobry, przychodzi pan od pana Gregory?

Wymamrotałem coś, co mogło zabrzmieć jak tak, tak.

— Ojej, czekam na pana. — Gospodyni otworzyła drzwi i rozwarła je szeroko. — Niech pan wejdzie, panie...?

— Archer.

— Jestem taka uszczęśliwiona, że pana widzę, panie Archer.

Była drobna i wyprostowana i miała na sobie niebieską bawełnianą sukienkę zbyt krótką i falbaniastą jak na jej wiek. Miała około pięćdziesiątki, choć wszelkimi sposobami próbowała to zamaskować. W półmroku ciasnego holu jej szczebiot i wdzięczne ruchy stworzyły złudzenie, że jest nastoletnią blondynką.

Złudzenie prysło w zalany słońcem pokoju stołowym. Wokół oczu i ust ukazały się zmarszczki, ślady życiowych doświadczeń, których uśmiech nie mógł zniwelować. Popielatożółty kok zaczynał siwieć, szyja więdła. Mimo to kobieta przypadła mi do gustu. Zauważyła to. Nie była głupia.

Okrzyżyła pokój, podnosząc czyste popielniczki i stawiając je z powrotem w tym samym miejscu.

— Proszę siadać, a może woli pan się rozejrzeć? To miłe

z pana strony, że zainteresował się pan moim małym gniazdem. Zechce pan zwrócić uwagę na widok na morze, jeden z moich nielicznych luksusów. Czyż nie jest piękny?

Stała w pozie z ręką wyciągniętą sztywno w stronę okna i rozpostartymi palcami. Widok na ocean rzeczywiście był: wąska niebieska wstążka wpleciona między gałęzie dębów.

— Faktycznie bardzo ładny. — Zastanawiałem się, dla jakiej nieistniejącej widowni albo nieboszczyka odgrywa to przedstawienie. I jak długo będzie mnie brała za potencjalnego kupca na mieszkanie.

Pokój był zastawiony starymi ciemnymi meblami odpowiednimi do większego pomieszczenia i większych osobistości: rzeźbiony stół do jadalni z dwoma hiszpańskimi krzesłami z wysokim oparciem, zbyt gruby czerwony pluszowy dywan i grube czerwone zasłony w oknach. Wszystko to posepnie kontrastowało z tynkowanymi ścianami i sufitem w ciemnozielonym kolorze, upstrzonymi plamami od przecieków w dachu.

Gospodyni zauważyła, że na nie patrzę.

— To się już nie powtórzy, gwarantuję. Kazałam naprawić dach jesienią zeszłego roku. Odkładałam pieniądze na renowację tego pokoju i nagle okazało się, że czeka mnie wielka przeprowadzka. Spotkało mnie wielkie szczęście, a właściwie moją córkę. — Znieruchomiła w dramatycznej pozie, jakby wsłuchiwała się w zakodowaną wiadomość. — Ale opowiem panu o tym przy kawie. Biedaku, kiepsko pan wygląda. Och, wiem, co to znaczy szukać domu.

Jej wielkoduszność mnie zmieszała. Nie chciałem przyjmować niczego pod fałszywymi pozorami. Zanim jednak zdążyłem ułożyć odpowiedź, gospodyni odplynęła tanecznym krokiem w stronę kuchni. Wróciła z tacą, na której błyszczał dumnie srebrny komplet do kawy, i rozstawiła go

na stole. Z przyjemnością patrzyłem, jak nalewa. Wyraziłem się pochlebnie o dzbanku.

— Wielkie dzięki, bardzo pan uprzejmy. To mój prezent ślubny, trzymałam go tyle lat. Zachowałam wiele rzeczy i teraz się z tego cieszę, bo wprowadzam się z powrotem do dużego domu. — Dotknęła ust koniuszkami palców i za chichotała melodyjnie. — Ale skąd pan może wiedzieć, o czym mówię. Chyba że pan Gregory panu powiedział.

— Pan Gregory?

— Właściciel biura nieruchomości. — Konfidencjonalnie stanęła obok mnie. — Sprzedaję ten dom bez centa zysku, chcę tylko odzyskać swoje. W przyszłym tygodniu się wyprowadzam, będę mieszkała z córką. Widzi pan, córka leci na miesiąc do Włoch i chce, żebym przez ten czas przypilnowała domu. Zrobię to z radością, niech mi pan wierzy.

— Przeprowadza się pani do większego domu?

— O tak, powiadam panu. Do tego samego, w którym urodziły się moje córki. Wracam na swoje. Może nie zwrócił pan na to uwagi, chyba że ma pan oko do dobrych mebli, ale kiedyś mieszkałam w wielkim domu w Beverly Hills. — Skinęła energicznie głową, jak gdybym zaprzeczył. — Straciłam go... a właściwie straciłyśmy go przed wojną, kiedy mój mąż nas opuścił. A teraz moja mądra córka go odkupiła! I zaprosiła mnie do siebie! — Kobieta przyłożyła ręce do wątej piersi. — Ależ ona kocha mamusię! Nieprawdaż?

— Z całą pewnością. Rozumiem, że otrzymała jakieś pieniądze.

— Tak. — Gospodyni pociągnęła za rękaw mojej koszuli. — Mówiłam jej, że tak się stanie, jeśli będzie wierzyć, ciężko pracować i dobrze żyć z ludźmi. Tego dnia, gdy się wyprowadzałyśmy, zapowiedziałam dziewczynkom, że pewnego

dnia wrócimy. I spełniło się, a jakże. Hester dostała mnóstwo pieniędzy za uran.

— Odkryła złóżę?

— Pan Wallingford je odkrył. Jest właścicielem kopalń w Kanadzie. Hester wyszła za starszego mężczyznę, tak jak ja kiedyś. Biedak zmarł niespełna rok po ślubie. Nawet go nie poznałam.

— Jak się nazywał?

— George Wallingford — odparła gospodyni. — Hester dostaje co miesiąc sporą sumę z majątku. A do tego ma pieniądze z filmu. Wszystko naraz jej się ułożyło.

Przyglądałem się uważnie; nic nie wskazywało, by kobieta świadomie kłamała.

— Czym Hester zajmuje się w filmie?

— Robi wiele rzeczy. — Pani Campbell machnęła ręką. — Tańczy, pływa i skacze do wody — była kiedyś zawodniczką — i oczywiście gra. Jej ojciec był aktorem w dobrych starych czasach. Słyszał pan o Raymondzie Campbellu?

Skinąłem głową. Było to nazwisko dziarskiego gwiazdora niemych filmów, który nie zrobił kariery w filmach dźwiękowych ze względu na wiek i tenorowy głos. Pamiętałem, jak na początku lat dwudziestych filmy z udziałem Campbella zapełniały w sobotnie wieczory kina przy Long Beach. Dla mnie stały się inspiracją: cykl o inspektorze Facie przyczynił się do tego, że zostałem policjantem, na dobre czy złe. A kiedy gliny się skundliły, inspektor Fate sprawił, że postanowiłem odejść z komendy Long Beach.

— Pamięta pan Raymonda, prawda? Znał go pan osobiście?

— Tylko z ekranu. To było tak dawno. Co się z nim stało?

— Zmarł — odparła pani Campbell. — Miał złamane serce, to było w czasach kryzysu. Od lat nie nakręcił filmu, przyjaciele się od niego odwrócili, popadł w duże długi.

I umarł. — Oczy gospodyni zasły łzami, lecz mimo to uśmiechnęła się dzielnie, tak jak ekranowe partnerki Raymonda Campbella. — Aleja nie straciłam wiary. Też byłam aktorką, zanim podporządkowałam życie Raymondowi; wychowałam dziewczynki, żeby poszły w jego ślady, na pewno by tego chciał. Przynajmniej jednej z nich cudownie się udało.

— Czym zajmuje się pani druga córka?

— Rina? Jest pielęgniarką, asystentką psychiatry, wyobraża pan sobie? Zawsze mnie to dziwiło, jak dziewczynki w zbliżonym wieku, podobne do siebie fizycznie, tak bardzo mogą się różnić temperamentem. Rina właściwie nie ma temperamentu. Zapewniłam jej tyle ćwiczeń artystycznych, a ona pozostała chłodna i taka zwyczajna. Padłabym trupem, gdyby Rina zaproponowała mi, żebym u niej zamieszkała! — zawołała melodramatycznie. — Woli obracać się wśród obłąkańców. Czemu ładna dziewczyna decyduje się na coś takiego?

— Może chce im pomagać?

Pani Campbell spojrzała na mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem.

— Mogła sobie znaleźć bardziej kobiece zajęcie. Hester daje ludziom prawdziwą radość, nie poniżając się.

Moja twarz musiała przyjąć dziwny wyraz, bo gospodyni spojrzała na mnie przenikliwie i zamrugała.

— Nie powinnam pana zanudzać rodzinnymi sprawami. Przyszedł pan obejrzyć dom. Ma tylko trzy pokoje, ale za to bardzo komfortowe, zwłaszcza kuchnia.

— Proszę się nie fatygować, pani Campbell. Nadużyłem pani gościnności.

— Ależ skąd, wcale nie.

— A jednak. Jestem detektywem.

— Detektywem? — Zacisnęła palce na mojej ręce. Innym

głosem, o oktawę niższym niż ptasi zaśpiew, spytała: — Czy Hester coś się stało?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Po prostu jej szukam.

— Ma kłopoty?

— Być może.

— Wiedziałam. Bałam się, że coś się popsuje. Nam nigdy nic nie wychodzi. Zawsze coś musi się przytrafić. — Dotknęła twarzy koniuszkami palców; skóra wyglądała jak zmięty papier. — Ale się wpakowałam — rzekła chrapliwie. — Rzuciłam pracę, narobiłam długów u połowy ludzi w mieście. Jeśli Hester mnie teraz zawiedzie, nie wiem, co zrobię. — Opuściła ręce i uniosła podbródek. — Chcę to usłyszeć. Czy to wszystko bujda?

— Co mianowicie?

— To, co Hester mi powiedziała, a ja panu powtórzyłam. O kontrakcie z wytwórnią filmową, wyjeździe do Włoch i bogatym mężu, który zmarł. Miałam wątpliwości, wie pan, nie jestem aż tak głupia.

— Niektóre z tych informacji mogą być prawdziwe. Niektóre nie są. Mąż Hester nie umarł. Nie jest stary, nie jest bogaty i pragnie odzyskać Hester. I tu zaczyna się moja rola.

— I to wszystko? Nie wierzę. — Pani Campbell przyjrzała mi się podejrzliwie. Wstrząs ujawnił drugą, twardszą część jej osobowości, a ja zastanawiałem się, czy jest taka naprawdę, czy to objaw hysterii. — Nie mówi mi pan wszystkiego. Przyznał pan, że Hester ma kłopoty.

— Powiedziałem, że to możliwe. Skąd u pani ta pewność?

— Trudno wyciągnąć z pana informację. — Pani Campbell stanęła naprzeciwko mnie, opierając dłonie na swoich niewidocznych biodrach i podając pierś do przodu niczym kogut bojowy. — Niech mnie pan nie wodzi za nos, choć Bóg mi świadkiem, że przywykłam do tego po trzydziestu

latach życia w tym mieście. Hester ma kłopoty czy ich nie ma?

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, pani Campbell. O ile mi wiadomo, nikt jej niczego nie zarzuca. A ja chcę z nią tylko pomówić.

— Na jaki temat?

— Na temat jej powrotu do męża.

— Dlaczego on sam z nią nie pomówi?

— Ma taki zamiar, ale w tej chwili jest trochę nie w formie. Inie było nam łatwo jej zlokalizować.

— Kim jest ten człowiek?

— Młodym dziennikarzem z Toronto. Nazywa się George Wall.

— George Wall — powtórzyła pani Campbell. — George Wallingford.

— Tak, to pasuje.

— Jakim człowiekiem jest ten George Wall?

— Wydaje mi się, że porządnym. Albo będzie taki, kiedy dorośnie.

— Czy on ją kocha?

— Bardzo. Może nawet za bardzo.

— A pan chce dostać ode mnie jej adres?

— Jeśli go pani zna.

— Jakże mogłabym nie znać? Mieszkałam tam prawie dziesięć lat. Beverly Hills, Manor Crest Drive czternaście. Jeśli tylko o to panu chodziło, dlaczego pan nie powiedział? Strzępiłam język i robiłam z siebie idiotkę. Czemu mi pan to zrobił?

— Przykro mi. Nieładnie z mojej strony. Ale być może chodzi o coś więcej niż o poszukiwanie zaginionej żony. Sama pani zasugerowała, że Hester może mieć kłopoty.

— Właśnie z tym kojarzy mi się słowo „detektyw”.

— Czy Hester miewała już kłopoty?

— Nie chcę się w to wgłębiać.

— Często ją pani widywała tej zimy?

— Bardzo rzadko. Spędziłam z nią jeden weekend, przedostatni.

— W domu w Beverly Hills?

— Tak. Ledwo się wprowadziła i chciała, żebym doradziła jej w sprawie urządzenia niektórych pokoi. Poprzedni właściciele niezbyt dbali o dom; nie tak jak my, kiedy zatrudnialiśmy parę Japończyków. — Sięgnęła spojrzeniem kilkadziesiąt lat wstecz, a potem wróciła do terażniejszości.

— Tak czy owak, przyjemnie spędziłyśmy ten czas z Hester. Uroczy weekend tylko we dwie. Pogaduszki, zajmowanie się jej garderobą i udawanie, że wróciły stare dobre czasy. Skończyło się tak, że Hester zaproponowała mi przeprowadzkę na początku nowego roku.

— To ładnie z jej strony.

— Prawda? Byłam zaskoczona i bardzo się ucieszyłam. Przez wiele lat nie byliśmy ze sobą blisko. Prawie jej nie widywałam, w gruncie rzeczy. A potem ni stąd, ni zowąd ona zaprasza mnie do swojego domu.

— Dlaczego to zrobiła, jak pani sądzi?

Moje pytanie przemówiło do realistycznej strony jej natury. Pani Campbell usiadła na brzegu krzesła w pozycji myśliciela, dotykając palcami skroni.

— Trudno powiedzieć. Z pewnością nie z powodu moich pięknych niebieskich oczu. Oczywiście Hester bywa poza domem i będzie potrzebowała, żeby ktoś się nim zajmował. Wydaje mi się, że ona też czuje się samotna.

— Żywi jakieś obawy?

— Nie sprawiała wrażenia przestraszonej. Ale może mi to uniknęło. Jeśli tak, to nic mi nie powiedziała. Moje córki

o niczym mi nie mówią. — Pani Campbell wsunęła kostkę kciuka między zęby i zmarszczyła twarz niczym małpie dziecko. — Myśli pan, że jednak będę mogła się do niej wprowadzić? Jak pan sądzi?

— Nie liczyłbym na to.

— Ale ten dom musi do niej należeć. Nie wydawałaby tyle pieniędzy na remont. Panie Archer — bo tak się pan nazywa? Skąd ona wzięła te pieniądze?

— Nie mam pojęcia. — Powiedziałem tak, chociaż chodziło mi po głowie kilka pomysłów.

ROZDZIAŁ 11

Manor Crest Drive to jedna z tych spokojnych wysadzanych palmami alejek, które powstały tuż przed ostatnimi konwulsjami lat dwudziestych. Domy nie były wielkie i fantazyjne jak rokokowe pałace na otaczających wzgórzach, ale miały pewne pretensje. Niektóre udawały dwory z epoki Tudorów, ich fasady były w połowie pokryte drewnem. Inne naśladowały domy hiszpańskie: miały grube mury i wąskie okna niczym fortece mające się oprzeć najazdom wyimaginowanych Maurów. Ulica była porządna, lecz dawał się tam wyczuć nastrój rozczarowania; może rozczarowali się także Maurowie i dlatego odstąpili od oblężenia.

Numer czternasty był jednym z piętrowych hiszpańskich zamczysk i stał w pewnym oddaleniu od ulicy, za cyprysowym żywopłotem. Woda ze zraszacza zatańczyła nad żywopłotem, kiedy przechodziłem, i na mgnienie oka utworzyła tęczę. Na podjeździe stał popielatoszary jaguar.

Zaparkowałem samochód przed jednym z sąsiednich domów, pieszo pokonałem kawałek ulicy i podszedłem do

jaguara. Na białej plakietce na drążku kierownicy widniało nazwisko Lance'a Leonarda.

Odwrociłem się i przyjrzałem się domostwu. Krople wody ze zraszacza prysnęły mi na twarz. Nie widziałem żadnych innych oznak życia. Czarne drewniane drzwi były pozamykane, okna szczelnie zasłonięte. Dach z różowych dachówek ciążył na domu jak ogromne wieko.

Wszedłem na werandę, nacisnąłem przycisk i usłyszałem elektryczny dzwonek w środku. Zdawało mi się, że słyszę kroki zbliżające się do okutych drzwi. Potem usłyszałem czyjś oddech. Zapukałem do drzwi i czekałem. Oddychanie po drugiej stronie — jeśli naprawdę ktoś tam oddychał — oddaliło się lub ustało.

Zapukałem jeszcze kilka razy i czekałem dalej, ale na próżno. Idąc w stronę podjazdu, kątem oka dostrzegłem ruch. Zasłona w jednym z okien nieznacznie się poruszyła. Gdy zwróciłem głowę w tamtą stronę, wróciła na miejsce. Sięgnąłem ręką ponad kolczastymi krzewami i zapukałem w okno, ot, tak dla zabawy. Innej satysfakcji się nie doczekałem.

Wsiadłem do samochodu, zawróciłem na najbliższym skrzyżowaniu, przejechałem obok domu z różowym dachem i zaparkowałem w miejscu, z którego mogłem go obserwować w lusterku wstecznym. Ulica była bardzo spokojna. Po obu stronach liście palm wisały w powietrzu niczym zielone eksplozje utrwalone na celuloidzie. W oddali wieżycza ratusza Beverly Hills odcinała się białą płaszczyzną od równie płaskiego błękitnego nieba. Nie działa się nic, co świadczyłoby o upływie czasu, poza tym, że wskazówki mojego zegarka pokazały godzinę drugą i powędrowały dalej.

Około czternastej dziesiąt od strony ratusza nadjechał samochód. Był to stary czarny lincoln, długi i ciężki jak karawan; szare zasłonki w tylnych oknach dopełniały podo-

bieństwa. Za kierownicą siedział mężczyzna w czarnym pilśniowym kapeluszu. Jechał z prędkością około pięćdziesięciu mil na godzinę w strefie, gdzie obowiązywało ograniczenie do dwudziestu pięciu. Minąwszy skrzyżowanie, zaczął zwalniać.

Wziąłem wczorajszą gazetę z tylnego siedzenia i oparłem ją o kierownicę, zasłaniając twarz. Tytuły brzmiały jak historia starożytna. Zdawało mi się, że lincoln mija mnie bardzo długo. Wreszcie przejechał. Małe oczka, siodłowaty nos, gumowe usta — twarzy kierowcy nie można było zapamiętać. Z powodu jej szpetoty.

Skręcił na podjazd domu numer czternaście, wkraczając w pole widzenia w moim lusterku, zaparkował obok jaguara i wysiadł. Poruszał się szybko i płynnie, nie wymachując rękami. W długim grafitowoczarnym raglanowym palcie jego sylwetka boksera wyglądała jak torpeda.

Drzwi otwały się, zanim zdążył zadzwonić. Nie widziałem, kto je otworzył. Zamknęły się na dwie lub trzy minuty, a potem znowu otwały.

Lance Leonard dziwnym truchtem podobnym do ruchu kukiełki poruszanej sznurkami zbiegł ze schodów i pokonał trawnik, nie zwracając uwagi na wodę ze zraszacza, która zostawiła ciemne plamki na jego białej jedwabnej koszuli rozpiętej pod szyją i na beżowych spodniach.

Jaguar z rykiem wyjechał tyłem na ulicę i piszcząc oponami, przemknął obok mojego auta. Mignęła mi pozbawiona wyrazu, ziemistożółta twarz Lance'a, z ostrym nosem i podbródkiem oraz błyszczącymi czarnymi oczami. Nie zauważył mnie.

Ryk silnika zamarł w oddali. Wyjąłem trzydziestkęósemkę specjal, którą trzymałem w schowku, i przeszedłem przez ulicę. Lincoln był zarejestrowany na Theodore'a Marfelda, zamieszkałego przy Coast Highway w południowym Malibu.

Czarne wnętrze ze skórzaną tapicerką było zaniedbane i cuchnęło kotem. Na tylnej kanapie i podłodze leżały arkusze grubego papieru pakowego. Zegar na tablicy rozdzielczej stanął na godzinie jedenastej dwadzieścia.

Podszedłem do drzwi domu, podniosłem pięść, żeby zapukać i nagle zauważyłem, że drzwi są lekko uchylone. Pchnąłem je i wszedłem do ciemnego holu z okrągłym arabskim sufitem. Po lewej stronie zobaczyłem masywne schody z czerwonej terakoty przechodzące przez otwór w suficie. Z prawej strony z wewnętrznych drzwi padał wachlarzowaty snop światła na posadzkę i otynkowaną boczną powierzchnię schodów.

W oświetlone pole widzenia wkroczył cień w kapeluszu i niemal całkowicie je przesłonił. Głowa i ramię Siodłonosego wsunęły się w drzwi.

— Pan Marfeld? — zapytałem.

— Owszem. A ty kto? Nie masz prawa wkraczać na teren prywatnej posesji. Zabieraj się stąd.

— Chciałbym pomówić z panną Campbell.

— O czym? Kto cię przysłał?

— Jej matka, jeśli koniecznie chce pan wiedzieć. Jestem przyjacielem rodziny. Pan też?

— Taa. Jestem przyjacielem rodziny.

Marfeld uniósł prawą dłoń do twarzy. Lewa pozostawała ukryta za futryną drzwi. Trzymałem pistolet w kieszeni z palcem na spuście. Marfeld wydawał się lekko oszołomiony. Złapał się za dolną część twarzy i przesunął ją w bok. Na jego kciuku widniała czerwona plama, która zostawiła smugę na boku siodłowatego nosa.

— Zaciął się pan?

Marfeld odwrócił dłoń, spojrzał na kciuk i zamknął pięść.

— Tak, zaciąłem się.

— Jestem specjalistą od pierwszej pomocy. Jeśli odczuwa pan ból, mam w samochodzie spirytus salicylowy i jodynę. To

zapobiegnie zakażeniu krwi albo innej poważnej infekcji. Mężczyzna ruchem ręki zbył moje słowa.

— Zamknij się, na miłość boską, nie cierpię gadania po próżnicy — zapał neurotycznie. Szybko jednak zapanował nad głosem. — Słyszałeś, że kazałem ci się stąd wynosić. Na co czekasz?

— Przyjaciel rodziny nie mówi tak do innego przyjaciela rodziny.

Marfeld wysunął się z drzwi; w lewej ręce trzymał metalowy pręt. Był to mosiężny pogrzebacz. Przełożył go do prawej dłoni i zbliżył się do mnie tak, że poczułem jego kwaśny oddech.

— Zakichany pyskacz.

Mogłem go zastrzelić, nie wyjmując pistoletu z kieszeni. Może powinienem. Sęk w tym, że za mało go znałem. I wierzyłem w swój refleks, zapominając o niedawnym knock-downie i słabości, którą czułem w nogach.

Marfeld uniósł pogrzebacz. Ciemna kropla oderwała się od zakrzywionej końcówki i rozprysła na ścianie niczym czerwona farba. Mój wzrok zatrzymał się na niej o ułamek sekundy za długo. Pogrzebacz śmignął w powietrzu i trafił mnie w głowę. Tylko zawadził ją haczykiem, bo w przeciwnym razie byłoby po mnie. Podłoga runęła ku górze, zadudniła o moje kolana, łokcie i czoło. Pistolet potoczył się w plamę światła.

Chciałem się do niego podczołgać po stromiźnie podłogi, ale Marfeld nadepnął mi na palce. Złapałem go za stopę, oparłem ramię o kolano i pchnąłem. Upadł ciężko, z trudem łapiąc oddech.

Szukałem dłonią pistoletu wśród postrzępionych smug światła. Blask słońca za drzwiami nadawał mojemu widzeniu halucynacyjną ostrość. Wszystko było białe, czarne i czerwone.

Na białym dywaniku przed podestem czarnego kominka leżała blondynka w lnianej sukience. Odwróconą twarz otaczała plama ciemnej jak atrament czerwieni.

Usłyszałem kroki za sobą, a gdy się odwróciłem, lokomotywa pociągu Sunset Limited rąbnęła mnie w bok głowy i straciła w głęboką czerwoną ciemność.

Odzyskałem przytomność. Poczułem, że jestem w ruchu i usłyszałem buczenie w brzuchu, które stopniowo zmieniło się w pomruk silnika samochodu. Siedziałem oparty o przedni fotel. Z obu stron ścisnęły mnie czyjeś ramiona. Otworzyłem oczy i rozpoznałem zegar na desce rozdzielczej, który zatrzymał się na jedenastej dwadzieścia.

— Niektórzy gotowi są umrzeć, żeby się tam dostać — rzekł Marfeld siedzący po prawej stronie.

Poruszyłem oczyma, co zabolalo. Marfeld trzymał na kolanach mój pistolet. Kierowca odparł:

— Brachu, ty mnie wykończysz. Za każdym razem, gdy tędy przejeżdżamy, wyciągasz z szafy ten sam stary greps.

Mijaliśmy Forest Lawn. Widok pól elizejskich był zniekształcony przez fale ciepła, które unosiły się w powietrzu albo w głębi moich oczu. Zatręskniłem boleśnie za spokojem. Jak przyjemnie byłoby lec na urokliwym cmentarzu i wsłuchać się w dźwięk organów. Wtedy zobaczyłem dłonie kierowcy. Były to duże, brudne łapska z brudnymi paluchami. Ogarnęła mnie wściekłość.

Wyciągnąłem rękę po pistolet leżący na kolanach Marfelda. Odsunął go jak dorosły, który nie pozwala dziecku wziąć cukierka. Moje ruchy były tak słabe i powolne, że się przeraziłem. Marfeld stuknęła lufą w knykcie mojej dłoni.

— Patrzcie, patrzcie. Śpioch otworzył gały.

Mój zdrewniały język zakołatał się w zaschłych ustach i wydusił parę słów.

— Wiecie, cwaniaki, jaka kara grozi za uprowadzenie?

— Uprowadzenie? — Kierowca przekreślił małą twarz, która w dziwny sposób wyrastała wprost z jego masywnego tułowia. Zerknął na mnie z ukosa. — Nie słyszałem ostatnio o żadnym uprowadzeniu. Chyba ci się przyśniło.

— Nie wciskaj mi kitu, podglądaczu — rzucił Marfeld. — Byłem w policji piętnaście lat. Znam prawo, wiem, co wolno, a czego nie. Nie wolno pchać się do prywatnego domu ze śmiercionośną bronią. Przekroczyłeś granicę, a ja miałem prawo cię powstrzymać. Mogłem cię ukatrupić i nawet by mnie nie spisali.

— Ciesz się, że żyjesz — dodał kierowca. — Wy, podglądacze, myślicie, że nawet morderstwo może wam ująć na sucho.

— Ktoś na pewno tak myśli.

Marfeld obrócił się raptownie na fotelu i wcisnął lufę pistoletu w mój bok.

— Że co? Powtórz, bo nie dosłyszałem.

Moje myśli wciąż błąkały się po całym hrabstwie Los Angeles. Kilka z nich zatrzymało się na chwilę. Ci dwaj nie mogli mieć pewności, że widziałem dziewczynę w drugim pokoju, chyba że bym im to powiedział. Jeśli nie żyła, a oni wiedzieliby, że wiem, moja droga prowadziłaby prosto do trumny.

— Coś powiedział o morderstwie?

Marfeld naparł mocniej na pistolet. Napiąłem mięśnie brzucha. Poczulem w gardle smak ziarenek chleba żytniego. Powstrzymałem go siłą woli.

Po chwili Marfeld zmęczył się dźganiem mnie lufą broni i położył ją na kolanach.

— Trudno. Powiesz to panu Frostowi.

Zabrzmiało to tak, jakby nic gorszego nie mogło mnie spotkać na tym świecie.

ROZDZIAŁ 12

Leroy Frost nie był jedynie szefem prywatnej policji Helio-Graffu. Oprócz tego miał inne obowiązki, równie ważne jak niejasne. W pewnych rewirach mógł załatwić sprawę jazdy po pijanemu lub posiadania narkotyków. Wiedział, jak użyć nacisku, by pozew rozwodowy lub oskarżenie o gwałt nie trafiło do sądu. Samobójstwa popełniane z użyciem barbituranów dzięki jego subtelny dłoniom zamieniały się w przypadkowe przedawkowania. Człowiek, który pracował kiedyś jako zastępca szefa ochrony pewnej waszyngtońskiej agencji, doradzał teraz działowi literackiemu przy zakupie scenariuszy, a działowi obsady — przy zatrudnianiu i wyrzucaniu aktorów. Znałem go trochę, czyli akurat tyle, na ile miałem ochotę.

Studio zajmowało kwartał otoczony białym betonowym murem na obrzeżach San Fernando. Krzywa Gęba zaparkował lincolna na półokrągłym podjeździe. Budynek administracyjny z białą fasadą w stylu kolonialnym szczyrzył kolumny w blasku słońca. Marfeld wysiadł, wsunął pistolet do kieszeni i skierował go na mnie.

— Marsz.

Pomaszerowałem. W szklanej klatce w holu siedział ochroniarz w granatowym mundurze. Drugi wyszedł zza kontuaru z białego dębu. Poprowadził nas po zakrzywionej rampie pozbawionym okien korytarzem z korkową podłogą i szklanym dachem, wzdłuż szeregu zdjęć nadnaturalnej wielkości; przedstawiały one twarze tych, których Graff, a przed nim Heliopoulos umieścił na ekranach kin całego świata.

Strażnik otworzył drzwi z wypolerowaną mosiężną tabliczką z napisem: OCHRONA. Całe umeblowanie rozległego pomieszczenia stanowiły szafki na dokumenty i biurka z maszynami do pisania; przy jednej z nich siedział mężczyzna w słuchawkach i stukał zawzięcie w klawiaturę. Przeszliśmy do przedpokoju z jednym biurkiem, przy którym nikt nie siedział; Marfeld zniknął za drzwiami z nazwiskiem Leroya Frosta.

Strażnik został ze mną, prawą dłoń oparł na biodrze w pobliżu pistoletu. Jego pozbawiona wyrazu nalana twarz zadowalała się tym, że jest nalana i pozbawiona wyrazu. Jej dolna część sterczała jak tył szynki, a usta były małą, nieistotną szczeliną. Mężczyzna stał z wypiętą piersią i wciągniętym brzuchem, nosząc nieoficjalny uniform tak, jakby był on dlań bardzo ważny.

Siedziałem wyprostowany na krześle i nie próbowałem nawiązać rozmowy. W niechlujnym przedpokoju panowała atmosfera niczym w poczekalni kiepskiego dentysty. Marfeld wynurzył się z gabinetu Frosta, jakby usłyszał, że dentysta usunie mu ząb. Chodzący mundur dał mi ręką znak, że mam wejść.

Pierwszy raz widziałem gabinet Leroya Frosta. Był imponująco przestronny — miał rozmiary gabinetu reżysera na długoletnim kontrakcie. Ciężkie meble, prawdopodobnie przejęte z innych gabinetów, miały jednorodny charakter:

Były tam skórzane fotele, angielska kanapa pokryta skórą wielbłąda i fantazyjne palisandrowe biurko w stylu empire, tak duże, że mogłoby służyć jako stół do tenisa.

Frost siedział za nim ze słuchawką przy uchu.

— Natychmiast — powiedział. — Masz się z nią natychmiast skontaktować.

Odłożył słuchawkę na widełki i podniósł głowę, ale nie spojrzał na mnie. Trzeba było mi pokazać, jaki jestem nieważny. Frost oparł się na obrotowym krześle, rozpiął kamizelkę, a potem znów ją zapiął. Guziki były zrobione z macicy perłowej. Na ścianie za nim wisiały skrzyżowane szable i podpisane zdjęcia kilku polityków.

Mimo takiego zaplecza i tabliczki na drzwiach Frost robił wrażenie niepewnego. Władczy wyraz, który nadawały jego twarzy gęste brązowe brwi, był fałszywy. Z żółtawych oczu wyzierało przygnębienie. Schudł, a pomarszczona skóra pod oczami zwisała niczym wylinka węża. Młodzieńcza fryzura tylko podkreślała fakt, że Frost jest chory i przedwcześnie się starzeje.

— W porządku, Lashman — rzekł do ochroniarza. — Możesz poczekać na zewnątrz. Lew Archer to mój stary znajomy.

W jego ironicznym tonie pobrzmiwało echo lunchu, który zjedliśmy kiedyś w Musso; popełniłem wtedy błąd, pozwalając mu zapłacić rachunek, dlatego że on mógł go wpuścić w koszty, a ja nie. Usiadłem na boku fotela, mimo iż mnie nie zaprosił.

— Nie podoba mi się to, Frost.

— Tobie się to nie podoba. A jak ja mam się czuć? Myślałem, że jesteśmy starymi kumplami, myślałem, że wyznajemy zasadę żyj i pozwól żyć innym. Ludzie muszą sobie wierzyć i ufać, bo inaczej wszystko rwie się na strzępy.

— Masz na myśli brudy, które publicznie pierzesz?

— No i co to za mowa? Traktuj mnie serio, Lew, bo czuję się dotknięty. Zresztą nie chodzi o mnie osobiście. Jestem zwykłym facetem, który jakoś przedziera się przez życie, małym trybikiem w maszynie. — Frost spuścił skromnie wzrok. — W wielkiej maszynie. Wiesz, ile forsy włożyliśmy w wytwórnię, kontrakty i filmy, które jeszcze nie weszły na ekrany?

Zamilkł na chwilę. Przez okno po prawej stronie widziałem wielkie jak hangary studia dźwiękowe i szereg dekoracji: fasadę kamienicy, miasteczko na Środkowym Zachodzie, wioskę na wyspie mórz południowych i westernową uliczkę, po której tuziny celuloidowych herosów kroczyły na spotkanie śmierci. Studio sprawiało wrażenie zamkniętego, a baśniowe dekoracje wyglądały na porzucone przez tych, którzy je wyśnili.

— Prawie piętnaście milionów — dokończył Frost tonem kaznodziei ujawniającego wielką tajemnicę. — Olbrzymia inwestycja. Wiesz, od czego zależy jej bezpieczeństwo?

— Od płam na słońcu?

— Nie — odparł z łagodną cierpliwością. — Piętnaście milionów dolarów to nie żarty. Powiem ci, od czego zależy bezpieczeństwo tej inwestycji. Ty wiesz, ale mimo to ci powiem. — Frost złożył palce w gotycki łuk kilka cali przed nosem. — Po pierwsze, od blasku sław, a po drugie od dobrej woli. Te dwie rzeczy są ze sobą związane i wzajemnie uzależnione. Niektórzy myślą, że po wojnie ludzie przełkną wszystko, ale ja tak nie uważam. Jeśli zaserwujemy im tandetę, to ich stracimy. Zwłaszcza teraz, gdy branża musi odparować ataki ze wszystkich stron. Trzeba się starać, żeby publika podziwiała ten blask w czystej postaci. Musimy się trzymać strategii dobrej woli. To wojna psychologiczna, a ja stoję na linii ognia.

— I dlatego każesz swoim cynglom walić obywateli po łbach. Chcesz, żebym zgłosił sprawę policji?

— Nie jesteś zwykłym obywatelem, Lew. Wszędzie cię pełno i robisz dużo błędów. Ładujesz się do domu Lance'a Leonarda, naruszasz jego prywatność i ciskasz się. Przed chwilą rozmawiałem z Lance'em. To, co zrobiłeś, nie było mądre ani etyczne i nikt tego nie zapomni.

— To nie było mądre — przyznałem.

— Ale w porównaniu z resztą to i tak był szczyt geniuszu. Na litość boską, Lew, myślałem, że masz wycucie sytuacji. Mówiąc wprost, próbowałeś wedrzeć się siłą do domu pewnej damy, której nazwiska nie będziemy wymieniać...

Frost rozłożył ręce i opuścił je, jakby nie mógł objąć rozmiarów mojego haniebnego wykroczenia.

— Co się dzieje w tym domu?

Zagryzł kącik ust, obserwując moją twarz.

— Gdybyś był tak cwany, jak kiedyś myślałem, nie zadałbyś tego pytania. Nie ruszałbyś tej sprawy. Ale ciebie bardzo interesują fakty, więc podam ci najważniejszy. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Im więcej wiesz, tym dla ciebie gorzej. Słyszysz z dyskrecji. Skorzystaj z niej.

— Zdawało mi się, że właśnie to robię.

— Ha, nie jesteś aż tak głupi. Nikt nie jest. Wychyliłeś się i dobrze o tym wiesz. Rozumiesz czy mam ci to powiedzieć dużymi literami?

— Powiedz.

Frost wstał zza biurka. Okrążając mnie, unikał spojrzenia mi w oczy. Oparł się o mój fotel. Jego cichy aluzjny szept został wzbogacony korzennym zapachem płynącym od włosów albo z ust.

— Mądrała, który myszkuje tam, gdzie go nie chcą, może zostać uziemiony. Koniec, kropka.

Stałem twarzą do niego.

— Czekałem na to, Frost. Ciekawiło mnie, kiedy przejdiesz do groźb.

— Mów mi Leroy. Ależ ja ci wcale nie grozę. — Frost odrzucił tę myśl ruchem ramion i dłoni. — Nie lubię przemocy, wiesz o tym. Pan Graff też jej nie lubi, tak jak ja. Ale nie zawsze mogę jej zapobiec. Kłopot z tak ogromnym przedsięwzięciem jak to, o którym mówię, polega na tym, że machina może zmiażdżyć kogoś przez przypadek, jeśli ten ktoś uparcie wchodzi jej w paradę. W naszej branży trzeba sobie zyskiwać przyjaciół i my ich mamy. W Vegas, Chicago, wszędzie. Niektórzy z nich są trochę szorstcy i mogą wpaść na jakiś pomysł... Sam wiesz, jak to jest.

— Nie wiem. Słabo u mnie z myśleniem. Powiedz. Frost uśmiechnął się samymi ustami; jego oczy miały kolor szarozółtego krzemienia.

— Sęk w tym, że cię lubię, Lew. Ucieszyłem się, że jesteś w mieście, zdrowy i w ogóle. Nie chciałbym, żeby twoje nazwisko przekazano na przykład do Vegas.

— To dla mnie nie pierwszozna. Ale ja wciąż nieźle się trzymam.

— I oby tak pozostało. Jestem ci to winien, szczerze mówiąc, jako staremu przyjacielowi. Jest jeden pistolet, który zdmuchnąłby cię w jednej chwili, gdyby wiedział, co kombinujesz. Ten człowiek zrobiłby to z osobistych powodów, w dogodnym dla siebie momencie. Możliwe, że już wie. To życzliwe ostrzeżenie.

— Słyszałem życzliwsze. Czy ten człowiek ma nazwisko?

— Znasz je, ale nie będziemy wdawać się w szczegóły.

— Frost nachylił się mocno nad oparciem, wciskając palce w skórzaną tapicerkę. — Pójdź po rozum do głowy, Lew. Chcesz utonąć i pociągnąć nas za sobą?

— Co to za melodramat? Ja tylko szukałem pewnej kobiety i ją znalazłem.

— Znalazłeś? Chcesz powiedzieć, że ją widziałeś? Rozmawiałeś z nią?

— Nie udało mi się. Twój zbir zatrzymał mnie w drzwiach.

— A więc jej nie widziałeś?

— Nie — skłamałem.

— Wiesz, kim ona jest?

— Znam jej nazwisko. Hester Campbell.

— Kto cię wynajął? Kto za tym stoi?

— Mój klient.

— Daj spokój, nie wyjeżdżaj mi z piątą poprawką. Kto cię wynajął, Lew?

Nie odpowiedziałem.

— Isobel Graff? Czy to w jej chorej głowie wykluła się myśl, żeby napuścić cię na tę dziewczynę?

— Za bardzo zbaczasz w lewo.

— Kiedyś grałem na lewym skrzydle. Powiem ci coś na wypadek, gdyby to była sprawka Isobel. Ta damulka to jeden wielki kłopot, i to od dawien dawna. Powiedziałbym ci o niej takie rzeczy, że nie dałbyś wiary.

— Spróbujmy.

— Czy to ona?

— Nie znam tej damy.

— Słowo skauta?

— Słowo skauta.

— W takim razie kto to nakręcił? Muszę wiedzieć, Lew. Taka jest moja robota. Mam chronić szefa i organizację.

— Przed czym masz ich chronić? — zapytałem tytułem eksperymentu. — Przed zarzutem morderstwa?

Eksperyment się powiódł. Po twarzy Frosta przebiegły cienie.

— Nikt nie wspomniał o morderstwie, Lew — rzekł tonem pełnym rozsądku i umiarkowania. — Po co gadać o wyimaginowanych kłopotach, skoro mamy dość prawdziwych. W tej chwili naświetlam ci kłopot, który nazywa się Archer, a ten jest trochę cwany, trochę dumny. A na dodatek skacze wyżej własnego tyłka. — Strach Frosta powoli zmieniał się w złość. — Odpowiedz na moje pytanie. Kto ci dał zlecenie i dlaczego?

— Przykro mi.

— Dopiero będzie ci przykro.

Frost obszedł fotel i zlustrował mnie ze wszystkich stron jak krawiec biorący miarę. Potem odwrócił się tyłem i przełączył gałkę interkomu.

— Lashman! Pozwól tutaj.

Zerknąłem na drzwi. Nic się nie działo. Frost znów powiedział coś do mikrofonu, podnosząc głos.

— Lashman! Marfeld!

Cisza. Frost spojrział na mnie; w jego żółtych oczach pojawiła się niepewność.

— Nie stuknąłbym schorowanego starca — uspokoiłem go.

Powiedział coś gardłowym głosem, ale go nie zrozumiałem.

Za oknem, niczym zwielokrotnione echo jego słów, rozległy się krzyki.

„Biegnie w twoją stronę”, usłyszałem. A zaraz potem: „Widzę go”.

Pod oknem mignęła różowa czupryna mężczyzny ubranego w ciemny garnitur; pędził, jakby ścigał własny cień. Był to George Wall. Biegł niepewnie, zataczając się i omal nie przewracając. Tuż za nim sunął drugi cień, prawie następując pierwszemu na pięty. To był Marfeld. W ręku trzymał pistolet.

— Co jest grane? — spytał Frost.

Otworzył okno i wykrzyknął to samo pytanie, ale nikt go

nie usłyszał. Cała trójka gnała dalej westernową uliczką, a potem tchnącym fałszywym spokojem miasteczkiem ze Środkowego Zachodu. Nogi George'a pracowały słabo i Marfeld zmniejszył dystans. Nagle zza rogu krytej strzechą chaty z wyspy mórz południowych wypadł Lashman.

George chciał uskoczyć, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wstał i zakołysał się, nie wiedząc, w którą stronę uciekać. Marfeld zawadził go ramieniem i George znów runął na ziemię. Lashman podniósł go na nogi, a potem ciemny korpus Marfelda przesłonił jego twarz.

Frost wychylał się przez okno, obserwując postacie. Ręka Marfelda poruszała się z jednej strony w drugą. Odepchnąłem Frosta, który był lekki jak piórko, wyskoczyłem przez okno i popędziłem.

Marfeld i Lashman byli tak pochłonięci maltretowaniem George'a, że zapomnieli o całym świecie. Lashman go podtrzymywał, a Marfeld okładał pistoletem. Krew zalewała oczy nieszczęśnika i tryskała na grafitowy garnitur. Odnotowałem nieistotny fakt, że garnitur należał do mnie: kiedy go ostatnio widziałem, wisiał w szafie w mojej sypialni. Zbliżyłem się do nich pełen lodowatego gniewu. Jedną ręką złapałem za kołnierz marynarki Marfelda, a drugą za śliską lufę pistoletu i szarpnąłem. Marfeld wypuścił broń z ręki i rąbnął tyłem na ziemię. Pistolet został w mojej dłoni. W ten sposób wrócił do prawowitego właściciela. Wymierzyłem w Lashmana.

— Puść go. Powoli.

Wąskie okrutne usta w masywnej szczęce otworzyły się i zamknęły, płomień w oczach przygasł. Lashman puścił George'a na importowany biały piasek. Chłopak był nieprzytomny; białka jego oczu lśniły jak szkło.

Wyjąłem pistolet z futerału na biodrze Lashmana, cofnąłem się o krok i wziąłem obu na muszkę.

— Co wy robicie, palanty? A może to taka zabawa?

Marfeld pozbierał się, ale milczał. Lashman z respektem spoglądał na pistolety w moich dłoniach.

— Ten facet jest szurnięty. Wpadł do gabinetu pana Graffa, krzycząc, że go zabije.

— Dlaczego to zrobił?

— Bredził coś o żonie.

— Przymknij dziób, Lashman — warknął Marfeld. — Za dużo gadasz.

Usłyszałem za sobą kroki stłumione piaskiem. Okrążyłem Marfelda i Lashmana i oparłem się plecami o ścianę chaty. Frost zmierzał w moją stronę ze strażnikiem z holu. Ochroniarz miał na ramieniu karabinek. Zatrzymał się i przyjął postawę strzelecką.

— Rzuć to — powiedziałem. — Frost, każ mu rzucić broń.

— Zrób to — polecił Frost.

Karabinek spadł z głuchym odgłosem na piach, wzbijając niewielki obłok kurzu. Opanowałem sytuację, która wynikła wbrew mojej woli.

— O co tu chodzi? — spytał płaczkliwie Frost. — Co to za facet?

— Mąż Hester Campbell. Poniewierajcie go dalej, jeśli chcecie zostać obsmarowani w prasie.

— Jezu Chryste!

— Radzę ci wezwać lekarza.

Nikt się nie ruszył. Frost wsunął rękę pod kamizelkę, sprawdzając, czy serce mu nie stanęło.

— Ty go tu sprowadziłeś? — spytał cicho.

— Wiesz, że nie.

— Ten typ próbował zabić pana Graffa — oznajmił Lashman głosem urażonej cnoty. — Chciał go zaatakować w gabinecie.

— Graffowi nic się nie stało?

— Jasne, że nie. Usłyszałem wrzaski tego skubańca i pogniłem go, zanim zdążył coś zrobić.

Frost odwrócił się do ochroniarza, który nie był już uzbrojony.

— Jak ten człowiek dostał się na teren?

Ochroniarz spojrział niepewnie.

— Miał kartę prasową — wykrztusił. — Powiedział, że jest umówiony z panem Graffem.

— Nie uzgodniłeś tego ze mną.

— Był pan zajęty, powiedział pan, żeby nie przeszkadzać...

— Nie mów mi, co powiedziałem. Wynoś się, nie masz tu czego szukać. Kto cię zatrudnił?

— Pan, panie Frost.

— Powinienem dostać za to kulkę w łeb. Zjeżdżaj, niech cię nie oglądam — rzucił miękkim głosem. — Jeśli komuś o tym wygadasz, możesz się wynosić z miasta. To ci oszczędzi rachunków za leczenie.

Twarz ochroniarza zrobiła się biała jak pudding ryżowy. Kilka razy zamknął i otworzył usta, nie wypowiadając ani słowa, a potem odwrócił się na pięcie i powlókł do bramy.

Frost spojrział na zakrwawionego George'a. Jęknął z litości nad sobą.

— Co ja mam z nim zrobić?

— Rusz tyłek i wezwij karetkę.

Frost spojrział na mnie taksująco i spróbował się uśmiechnąć jak Święty Mikołaj, ale mu nie wyszło. Tik powieki sprawił, że wyglądał, jakby mrugał do mnie porozumiewawczo.

— Trochę za ostro się wyrażałem w czasie naszej rozmowy w gabinecie. Zapomnij o tym, Lew. W gruncie rzeczy bardzo cię lubię.

— Wezwij ambulans, bo sam będziesz go potrzebował.

— Jasne, za chwilę. — Frost skierował wzrok w niebo jak producent, który doznał natchnienia. — Myślałem o tym od jakiegoś czasu, zanim jeszcze zaczęło się to zamieszanie. Możemy znaleźć ci zajęcie u nas. Co byś powiedział na wycieczkę do Włoch na nasz koszt? Nie musiałbyś nic robić, miałbyś od tego ludzi. Takie darmowe wakacje.

Spojrzałem na twarz tego inteligentnego, lecz schorowanego człowieka, i na dwie okrutne, tępe facjaty jego żołnierzy. Wszystkie trzy oblicza pasowały do stojących wokół makiet budynków tworzących bezduszne sztuczne miasto.

— Nie pojechałbym za waszą forszę nawet na plażę. A teraz odwróć się i ruszaj, Frost. Wy dwaj też. Idźcie blisko siebie. Zadzwońcie do szpitala. Zmarnowaliśmy już dość czasu.

Szanse na to, że wydostanę się stamtąd i zabiorę ze sobą George'a, były znikome. Ale musiałem spróbować. Resztką nadziei umarła gwałtowną śmiercią, gdy na tle filmowego miasteczka ukazało się dwóch mężczyzn. Biegli zgięci wzdłuż płotu z białych sztachet. Jednym był ochroniarz wyrzucony przez Frosta. Obaj trzymali w gotowości pistolety maszynowe Thompson.

Zobaczyli mnie i przyczaili się za gankiem ze staroświecką huśtawką. Frost się zatrzymał, jego zbiry także.

— Radzę ci rozegrać to ostrożnie — powiedziałem do jego pleców. — Tobie pierwszemu się dostanie. Każ im wyjść na środek ulicy i rzucić zabawki.

Frost odwrócił się, kręcąc głową. Kątem oka zauważyłem trzeciego mężczyznę, który przesuwał się wzdłuż ścian chat z wysp mórz południowych. Miał karabinek, jakiego używa się do tłumienia zamieszek. Poczuję się jak uczestnik strajku. Frost zrobił fałszywie smętną minę, która pasowała do jego zmarszczek.

— Nie wyjdiesz stąd żywy, Lew — oznajmił podniesionym głosem. — Rzuć broń. Liczę do trzech.

Ten, którego widziałem kątem oka, przestał się czołgać i wymierzył. Rzuciłem pistolety, kiedy Frost doliczył do dwóch. Marfeld i Lashman się odwrócili.

Frost skinął głową.

— Teraz postąpiłeś mądrze.

Marfeld podniósł broń. Lashman zbliżył się do mnie. W prawej dłoni trzymał czarną skórzaną pałkę. Mężczyzna z karabinkiem podniósł się i ruszył truchtem. Ludzie czający się za gankiem wyszli z ukrycia, z początku ostrożnie, a potem śmielej. Ten, którego Frost wyrzucił z pracy, miał głupawy uśmieszek na gębie. Wstydział się tego, co robił, ale nie umiał się powstrzymać.

Po drugiej stronie placu Simon Graff stał w drzwiach i patrzył, jak Lashman podnosi pałkę.

ROZDZIAŁ 13

Czas znów zaczął tykać, choć nieregularnie. W mojej głowie jarzył się ból niczym piorun w chmurze; rozszerzał się i kurczył w rytm bicia mojego serca. Leżałem na wznak na twardej powierzchni. Gdzieś z góry doleciał głos Lance'a Leonarda:

— Carlie urządził sobie niezłą metę. Byłem tam nieraz. Pozwala mi z niej korzystać. Gniazdko jak znalazł, jeśli chcesz sprowadzić sobie laskę.

— Uciszyć się — powiedział Frost.

— Ja tylko przedstawiałem sprawę — odparł urażonym głosem Leonard. — Znam ten lokal jak własną kieszeń. Mogę ci załatwić, co tylko chcesz, każdą gorzałę albo wino.

— Nie piję.

— Ani ja. A prochy?

— Tak, jestem na prochach — potwierdził z goryczą Frost. — A teraz przymknij się. Chcę pomyśleć.

Leonard ucichł. Przez chwilę leżałem w nieprzyjemnej ciszy. Słońce rozgrzewało mi skórę i raziło przez powieki. Kiedy je uniosłem, ostre igły światła wdarły się do mojej głowy.

— On ruszył powiekami — zauważył Leonard.

— Trzeba mu się przyjrzeć.

Usłyszałem szuranie butów na betonie i poczułem dotknięcie czubkiem buta w bok. Leonard przykucnął i otworzył mi jedno oko. Patrzyłem nieruchomo.

— Wciąż orbituje.

— Polej go wodą. Po drugiej stronie basenu jest wąż.

Strumień wody trysnął mi na twarz; najpierw była ciepła, rozgrzana słońcem, a później letnia. Trochę skapnęło mi do ust.

— Nadal trup jest lepszy — orzekł ponuro Leonard. — A jak się nie ocknie? Co wtedy zrobimy?

— To już problem twojego kumpla Sterna. Ale on się ocknie. Jest twardy jak kość. Może byłoby lepiej, gdyby się nie ocknął.

— Carlie już dawno powinien tu być. Myślisz, że jego samolot się rozwaliał?

— Taak, na pewno. A ty zostałeś zasmarkanym sierotą — burknął złośliwie Frost.

— Nabijasz się ze mnie, co? — Leonard był przerażony.

Frost milczał. Znow zapadła cisza. Nie otwierając oczu, wysłałem kilka sygnałów czerwonymi alejkami nerwów. Długo trwało, zanim dotarły do celu, ale pierwszy sprawił, że zgięły się palce mojej prawej dłoni. Siłą woli poruszyłem palcami stóp. Też się zgięły. Było to nad wyraz krzepiące. Gdzieś za ścianą rozdzwonił się telefon.

— Założę się, że to Carlie — ucieszył się Leonard.

— Nie odbieraj. Posiedzimy tu i pozgadujemy, kto dzwoni.

— Po co ten sarkazm. Flake może odebrać. Siedzi tam i gapi się w telewizor.

Telefon zadzwonił ponownie. Suwana ściana zachrobotała, a potem lekko stuknęła.

— To Stern. Jest w Victorville, chce, żeby go stamtąd odebrać.

— Jest jeszcze przy telefonie? — zapytał Leonard.

— Taak, chce z tobą pogadać.

— Idź tam — poleciał Frost. — Wybaw go z nieszczęścia.

Kroki ucichły. Otworzyłem oczy i spojrzałem na jaskrawobłękitne niebo ze słońcem wiszącym jak rozgrzana moneta. Stopniowo uniosłem głowę. Owalny basen był z trzech stron otoczony niebieskim ogrodzeniem z włókna szklanego; czwartą stanowiła szklana ściana pustynnego domu z suszonych na słońcu cegieł. Między mną i basenem Frost siedział swobodnie na długim aluminiowym krześle pod dużym niebieskim parasolem. Był do mnie odwrócony bokiem i wsłuchiwał się w szmer słów dobiegających z wnętrza domu. W jego prawej ręce zwisał bezwładnie automat.

Usiadłem powoli, opierając ciężar ciała na ramionach. Obraz w moich oczach zamazywał się. Skupiłem go na szyi Frosta, która wyglądała jak pomarszczona szyja koguta, gotowa w każdej chwili się przekreślić. Podciągnąłem nogi. Trudno było utrzymać je pod kontrolą; jedna zaszurała o beton.

Frost to usłyszał i skierował na mnie wzrok. Podniósł broń. Podczołgałem się do niego, ociekając czerwonawą wodą. Frost wstał i ruszył tyłem w stronę domu.

— Flake! Do mnie.

W drzwiach ukazał się Krzywa Gęba. Nie myślałem trzeźwo, moje ruchy były niemrawe. Wstałem, zatoczyłem się na Frosta i upadłem na kolana. Kopnął mnie w głowę, a ja nie zdążyłem się uchylić. Niebo pękło na tysiąc jaskrawych kawałków. Poczulem jeszcze jedno uderzenie i niebo zamieniło się w czerni.

Wisiałem w pustce na podniebnym haku umocowanym nad zalaną światłem sceną. Spojrzałem w dół i ujrzałem wszystko bardzo wyraźnie. Frost, Leonard i Krzywa Gęba

stali nad rozciągniętym na ziemi człowiekiem i gędzili od rzeczy. Mnie w każdym razie tak się wydawało. Byłem zagrożony w swoich głębokich przemyśleniach. Błyskały w mojej głowie niczym slajdy: Hollywood zaistniało jako nie-służący niczemu sen, wynaleziony dla forsy. Ale jego kolory, przefiltrowane przez ludzkie głowy, padały na ziemię i tężały. Padały na wybrzeże na północy i południu, na wschód za wielką pustynią, na cały kontynent. I zostaliśmy ze snem, który niczemu nie służy. Stał się koszmarem, w którym żyjemy. Takie były moje głębokie przemyślenia.

Z niejakim zażenowaniem uświadomiłem sobie, że rozciągnięte na ziemi ciało należy do mnie. Zstąpiłem w powietrzu i wczołgałem się do środka — szczur mieszkający w strachu na wróble. Poczulbym się tam przytulnie, gdyby nie przecieki. Coś jednak ze mną się stało. Miałem lekkie halucynacje; litość nad sobą ukazała się przede mną jak wabiący błękitem basen, w którym można utonąć. Zanurkowałem, ale przepłynąłem na drugą stronę. W basenie kryły się barakudy czyhające na moją męskość. Wyszedłem na brzeg.

Wróciłem do zmysłów i zobaczyłem, że leżę w tym samym miejscu. Frost i Leonard zniknęli. Krzywa Gęba rozparł się na aluminiowym krzeselku i obserwował, jak siadam. Był rozebrany do pasa. Czarne futro tworzyło wzory na jego torsie. Miał cycki jak samica goryla. W łapsku trzymał nieodłączny pistolet.

— Tak lepiej — odezwał się. — Nie wiem jak ty, ale stary Flake chętnie wszedłby do środka i pooglądał telewizję. To przyjemniejsze niż smażenie się na tym foteliku.

Chodziłem jak na szczudłach, ale dowlokłem się jakoś przez duże niskie pomieszczenie do drugiego, mniejszego. Było wyłożone ciemną boazerią, a nad całością dominowało

wielkie puste oko telewizora. Flake wskazał lufą skórzany fotel stojący koło odbiornika.

— Siadaj i znajdź mi western.

— A jak nie znajde?

— O tej porze zawsze dają jakiś western.

Miał rację. Siedziałem bardzo długo i słuchałem odgłosów bijatyki i strzelaniny. Flake usadowił się blisko ekranu i podziwiał, jak cnota zwycięża zło za pomocą pięści, rewolwerów i prostej chłopskiej filozofii. Stara historia powtarzała się niczym powracające marzenie głupka. W przerwach telewizyjny akwizytor robił wszystko, by stworzyć nowe małe marzenia. Pułkownik Risko radzi spożywać płatki Bloaties, są smaczne i zdrowe. Zdobądź supertajny znaczek członkostwa. Poo-koo-chasz Bloaties.

Co jakiś czas naprężałem ręce i nogi, próbując odzyskać siły. Na telewizorze stała mosiężna lampka. Miała grubą podstawą i wyglądała na dość ciężką. Gdybym tylko znalazł w sobie wolę, by jej użyć, i gdyby Flake na dwie sekundy zapomniał o broni.

Film zakończył się niewinnym uściskiem, który wywołał łzy w oczach Flake'a. A może po prostu były przemęczone. Pistolet leżał na jego rozpostartych kolanach. Zerwałem się i chwyciłem lampę. Była lżejsza, niż mi się zdawało. Mimo to dzieliłem nią Flake'a w głowę.

Flake tylko spojrział na mnie z zaskoczeniem i strzelił od-ruchowo. Prezenter na ekranie eksplodował w samym środku niekończącego się zdania. W fontannie szkła kopnąłem w pistolet, który Flake trzymał w dłoni. Broń pofrunęła w powietrzu i odbiła się od ściany. Flake spuścił niekształtny łeb i zaszarżował na mnie.

Zrobiłem unik. Zamachnął się szeroko pięścią i trafił w drewniany panel na ścianie. Zanim odzyskał równowagę, założyłem mu nelsona.

Trudno go było zgiąć. Udało mi się jednak i rąbnąłem jego głową o krawędź telewizora. Rzucił się w bok, pociągając mnie za sobą. Nie zwolniłem uchwytu. Skierowałem jego głowę na stalowy narożnik klimatyzatora w oknie. Ciało zmiękło i padło na podłogę.

Osunąłem się na kolana, podniosłem pistolet i z trudem wstałem. Drżałem z osłabienia. Flake był w gorszym stanie, charczał przez złamany nos.

Dowlokłem się do kuchni, napiłem wody i wyszedłem na zewnątrz. Był już wieczór. Na parkingu nie stał ani jeden samochód; znalazłem tylko angielski rower bez powietrza w oponach i skuter, który nie chciał zapalić. W każdym razie mnie odmówił posłuszeństwa. Przyszło mi na myśl, żeby poczekać na Frosta, Leonarda i Sterna, ale mogłem ich jedynie powystrzelać. Miałem już dość przemocy. Jeszcze jeden jej przejaw i nadawałbym się do szpitala psychiatrycznego Camarillo. Takie w każdym razie odnosiłem wrażenie.

Ruszyłem pylistą prywatną drogą. Zszedłem do koryta suchego strumienia na środku szerokiej płaskiej doliny. Po obu stronach wznosiły się góry, wysokie od południa i średniej wysokości na zachodzie. Na zboczach południowego łańcucha między ciemnoniebieskimi lasami błyszczały płachty niemożliwie białego śniegu. Zachodnie pasmo strzelało w niebo czarnymi turniami; resztki dziennego światła rozszczeptały się na wszystkie kolory.

Skierowałem się ku zachodnim górcom. Po ich drugiej stronie leżała Pasadena. Po mojej stronie środkiem doliny prostą szosą sunęły mikroskopijne samochody. Jeden z nich skręcił i ruszył w moją stronę po wybojach; snopy światła z reflektorów drgały w górę i w dół. Przypadłem do ziemi wśród szafwii rosnącej przy drodze.

To był jaguar Leonarda; on sam siedział za kierownicą. Przez chwilę mignęła mi twarz pasażera: blady płaski owal podobny do półmiska, na którym wyrysowano płaskie oczy, i ostry podbródek spoczywający na muszce w kropki. Widziałem tę młodo-starą twarz w gazetach po śmierci Siegla, w telewizji w czasie posiedzeń komisji Kefauvera i raz czy dwa w nocnych klubach w otoczeniu goryli. Była to twarz Carla Sterna.

Szedłem na przełaj, daleko od drogi, zmierzając przez pustynną wyżynę ku autostradzie. Robiło się zimno. We wznoszącej się od ziemi ciemności, stopniowo ogarniającej niebo, wisiała samotna gwiazda wieczorna. Byłem trochę otumaniony; od czasu do czasu zdawało mi się, że gwiazda jest czymś, co utraciłem — kobietą, ideałem lub marzeniem.

Litość nad samym sobą skradała się moim tropem. Była niewidzialna, ale czułem jej koci odór. Raz czy dwa musnęła mnie łapą po piętach, a ja wierzgnąłem. Jukki machały na mnie i drżały.

ROZDZIAŁ 14

Czwarty samochód, który usiłowałem zatrzymać, przystanął. Był to gruchot, jechał nim chłopak z college'u wracający do Westwood. Powiedziałem mu, że zaliczyłem dachowanie na gruntowej drodze. Był młody, przyjął moją bajeczkę bez wielu pytań; miał też dość przyzwoitości, by pozwolić mi się zdrzemnąć na tylnym siedzeniu.

Zawiózł mnie pod wejście pogotowia przy szpitalu St. John. Dyżurny chirurg założył kilka szwów na mój skalp, zrobił mi małą awanturę i kazał poleżeć parę dni w łóżku. Wezwałem taksówkę i wróciłem do domu. Bulwarem przełykały nieliczne samochody. Rozparłem się na siedzeniu i obserwowałem błyski świateł śmigające jak noże w powietrzu. W niektóre noce nienawidziłem tego miasta.

Mój dom jawił mi się jako mały i nędzny. Zapaliłem wszystkie światła. Ciemny garnitur George'a leżał płasko na podłodze jak sponiewierany człowiek. Do diabła z nim, pomyślałem i powiedziałem to na głos. Wykąpałem się, zgasiłem światła i położyłem się.

Na próżno. Ze wszystkich stron otoczył mnie koszmarny

świat zmieniających się twarzy, które ani przez chwilę nie pozostały w tym samym miejscu. Była tam twarz Hester przepuszczona przez umysł George'a Walla. Zmieniała kształt, umarła, a potem ożyła i umarła znowu z uśmiechem na ustach, spoglądając z czerwonego mroku oczami pozbawionymi miłości. Szamotałem się chwilę na łóżku, wreszcie dałem za wygraną. Wstałem, ubrałem się i poszedłem do garażu.

Dopiero wtedy, nie wcześniej, uderzyła mnie myśl, że zostałem bez samochodu. Jeśli gliniarze z Beverly Hills go nie odholowali, moje auto stało na Manor Crest Drive naprzeciwko domu Hester. Wezwałem taksówkę i kazałem się wysadzić pół przecznicy dalej, na rogu ulicy. Samochód stał tam, gdzie go zostawiłem; pod wycieraczką tkwił mandat za parkowanie.

Przeszedłem na drugą stronę, żeby lepiej przyjrzeć się domowi. Na podjeździe nie stało ani jedno auto, w oknach nie paliły się światła. Wszedłem na schody i nacisnąłem guzik. Elektryczny dzwonek zaćwierkał jak świerszcz w opuszczonym domostwie. Był to dźwięk pustego obejścia, blues na jedną nutę, echo głosu dziewczyny, która odeszła.

Naparłem na drzwi. Były zaryglowane. Zerknąłem na ulicę w prawo i w lewo. Na skrzyżowaniach i w domach paliły się światła. Ludzie tkwili wewnątrz. W czasach zimnej wojny przestali wychodzić na wieczorne spacery.

Niech będzie, że szukam guza. Obszedłem dom i przez trzeszczącą drewnianą bramę wśliznąłem się na otoczone murem patio. Posadzka z kamiennych płyt była nierówna. W szparach pomiędzy nimi wyrastała trawa. Lawirując między metalowymi stolikami i wybebeszonymi krzesłami, dotarłem do drzwi balkonowych.

Snop światła z latarki wpadł przez brudną szybę do wewroandy pełnej obscenicznych cieni. Rzuciły je kaktusy i inne

rośliny sterzące z glinianych donic. Uchwytem latarki wybiłem jedną szybę, odciągnąłem oporny skobel i pchnąłem drzwi.

Dom prezentował się dobrze od zewnątrz, tak jak makiety w studiu filmowym Graffa. Tylną część oddano we władanie duchom i pająkom. Te drugie opanowały bambusowe meble i dębowe krokwie w werandzie, rozpinając między nimi pętle, okręgi i hamaki, na których zebrał się kurz. Czułem się jak archeolog włamujący się do grobowca.

Drzwi na końcu werandy były otwarte. Przedarłem się przez składowisko pełne drogich niegdyś gratów: stały tam wysokie, niewygodne hiszpańskie krzesła, fortepian szczerzący żółte klawisze i brązowe malowidła olejne w złotych ramach. Następne drzwi zaprowadziły mnie do głównego holu. Ruszyłem w stronę salonu.

Ukazały się białe ściany i żebrowany sufit wsparty na pionowym słupie światła z mojej latarki. Przesunąłem światło na podłogę pokrytą kredowobiałą wykładziną. W pomieszczeniu stały rozrzucone zestawy niskich czarno-białych mebli w stylu kubistycznym. Posadzka przed kominkiem wyłożona była czarną terakotą i otoczona pufami z białej skóry. Po drugiej stronie kominka na wykładzinie dostrzegłem zarys ciemnej plamy.

Uklęknąłem, żeby jej się przyjrzeć. Plama była ciemna, wielkości dużego talerza, i nie miała żadnego konkretnego koloru. Przez odór detergentu i inne zapachy panujące w salonie — perfum, dymu papierosów i słodkich drinków — wyczułem zapach krwi. Tej woni trudno się pozbyć, choćby nie wiem jak mocno się szorowało.

Nie podnosząc się z kolan, skierowałem uwagę na kominek. Stał tam stojak z zestawem mosiężnych narzędzi: szczotką, szufelką i parą skórzanych miechów z mosiężnymi uchwytami.

Zestaw był nowy, wyglądał na nieużywany, nawet niedotykanym. Brakowało tylko pogrzebacza.

Obok kominka znajdowało się łukowate przejście, prawdopodobnie prowadzące do jadalni. Większość domów z tego okresu była zbudowana na tym samym planie, a ja odwiedziłem ich wiele. Zbliżyłem się do łuku, zamierzając obejść cały parter, a później piętro.

Z ulicy dobiegł warkot silnika. Światło omiotło zasłony w oknie frontowym. Podszedłem do okna i wyjrzałem przez szczelinę między zasłoną i ramą. Na podjeździe stał stary czarny lincoln. Za kierownicą siedział Marfeld; jego twarz wyglądała groteskowo za smugami reflektorów. Zgasił je i wysiadł.

Z drugiej strony wygramolił się Leroy Frost. Poznałem go po pospiesznym chwiejnym kroku. Przeszli w odległości trzech czy czterech stóp ode mnie, kierując się ku drzwiom frontowym. Frost niósł połyskujący metalowy pręt, którym podpierał się niczym laską.

Przeszedłem pod łukiem do drugiego pokoju. Stojący na jego środku stół z polerowanym blatem odbijał światło prze-filtrowane przez firanki wiszące w podwójnym oknie. Przy ścianie za łukiem stał wysoki bufet, a w kącie za nim — krzesło. Usadawiłem się w głębokim cieniu z latarką w jednej dłoni i pistoletem w drugiej.

Usłyszałem chrobot klucza w drzwiach, a potem pełen napięcia głos Frosta:

— Wezmę klucz. Co się stało z drugim?

— Lance dał go zdzirze.

— To było nieostrożne.

— Twój pomysł, szefie. Zakazał mi pan z nią gadać.

— No dobrze, jeśli tylko do niej trafił. — Frost wymamrotał coś niezrozumiałego. Jego kroki zaszurały w wejściu do

salonu. Nagle wrzasnął: — Gdzie jest to cholerne światło?! Byłeś w tym domu, chcesz, żebym macał rękami po ścianie całą noc?! W salonie zapaliły się światła i zadudniły kroki.

— Nie postarałeś się przy szorowaniu dywanu — zgañił Frost.

— Zrobiłem, co mogłem. Nie miałem wiele czasu. I tak nikt nie będzie przeczesywał mieszkania grzebieniem.

— Obyś miał rację. Przenieś tutaj ten puf i zakryj płamę, póki nie wyschnie. Lepiej, żeby ona tego nie zobaczyła.

Marfeld stęknął z wysiłku. Usłyszałem, jak ciągnie puf po dywanie.

— Dobrze — rzekł Frost. — A teraz zetrzyj moje odciski z pogrzebacza i odłóż go na miejsce.

Rozległ się zgrzyt metalu o metal.

— Na pewno wytarł pan do czysta, szefie?

— Nie bądź ptasim mózdzkiem, to nie ten sam. Znalazłem w sklepie identyczny.

— A niech mnie, pan to o wszystkim myśli. — Głos Marfelda wyrażał bezgraniczny podziw. — A gdzie wyrzucił pan stary?

— Tam gdzie nikt go nie znajdzie. Nawet ty.

— Ja? A po co miałbym go szukać?

— Nieważne.

— Rany, pan mi nie ufa, szefie?

— Nikomu nie ufam. Nawet sobie do końca nie ufam. A teraz wynośmy się stąd.

— A co ze zdziwą? Nie zaczekamy na nią?

— Nie, przez jakiś czas jej tu nie będzie. Im mniej nas widuje, tym lepiej. Lance powiedział jej, co ma robić. Lepiej, żeby nas nie wypytywała.

— Pewnie ma pan rację.

— Nie musisz mi mówić, że mam rację. Nikt w tym mieście nie zna się tak jak ja na utracaniu szantażu. Pamiętaj o tym, gdyby jakiś pomysł zaświtał ci we łbie.

— Nie kapuję, szefie. O jakich pomysłach pan mówi? — spytał Marfeld głosem urażonej niewinności.

— O odejściu na emeryturę z tłustą pensyjką na przykład.

— Co to, to nie, panie Frost.

— Chyba masz dość oleju w łepetynie. Spróbuj wyrolować mnie albo któregoś z moich przyjaciół. Ani się obejrzyś, a będziesz miał w głowie o jedną dziurkę więcej.

— Wiem o tym, panie Frost. Jezu, przecież jestem lojalny. Nie udowodniłem tego?

— Może. Masz pewność, że widziałeś to, o czym mówiłeś?

— Kiedy, szefie?

— Dzisiaj po południu. Tu, w tym miejscu.

— O Jezu, tak. — Ociężały umysł Marfelda uchwycił groźne implikacje tych słów. — Jezu Chryste, panie Frost, nie okłamałbym pana.

— Chyba że okłamałeś sam siebie. To byłoby coś, zamordować człowieka i nabrać firmę tak, żeby cię kryła.

— Szefie, niepotrzebnie mnie pan oskarża. Dlaczego miałbym kogoś zabijać?

— Dla zabawy. Zrobiłbyś to, gdybyś myślał, że ujdzie ci to na sucho. Albo żeby wyjść na bohatera, gdybyś miał więcej rozumu we łbie.

— Wyjść na bohatera? — jęknął piskliwie Marfeld.

— Tak. Dzielny Marfeld znów ratuje firmę od zguby. To zastanawiający zbieg okoliczności, że byłeś przy obu zabójstwach. Jak strażak, który pierwszy przybywa do pożaru. Nie sądzisz?

— To bez sensu, szefie, jak Boga kocham. — Z głosu Marfelda biła uczciwość. — Całe życie byłem lojalny, najpierw

wobec szeryfa, a potem wobec pana. Nigdy o nic za to nie prosiłem.

— Jeśli nie liczyć premii od czasu do czasu, he? — Frost się roześmiał. Marfeld zaczął się trząść, więc Frost był gotów mu wybaczyć. Jego śmiech brzmiał jak wiatr Santa Ana szalejący wśród suchych liści. — No dobrze, dostaniesz premię, jeśli przepchnę ją przez rewidenta.

— Dzięki, szefie. Mówię szczerze.

— Nie wątpię.

Światło zgasło, drzwi frontowe się zamknęły. Poczekalem, aż szum silnika lincolna ucichnie w oddali, i wszedłem na górę. Jedynym używanym pomieszczeniem była sypialnia. Obite różowym materiałem ściany i łóżko z baldachimem wyglądały jak wyjęte ze snu nastolatki. Zawartość toaletki i garderoby powiedziała mi, że dziewczyna wydaje mnóstwo forsy na ciuchy i kosmetyki i niczego nie zabiera ze sobą.

ROZDZIAŁ 15

Wyszedłem z domu tą samą drogą, którą się do niego dostałem, i pojechałem do Canyon. Kilka gwiazd wyzierało spomiędzy pasm chmur ciągnących po niebie. Światła domów na zboczach grzbietu znaczyły ciemność, przez którą biegła droga rozwijająca się pod snopami reflektorów samochodu. Wchodząc w wysoko położony zakręt, zobaczyłem lunę nadmorskich miast po lewej stronie: fluorescencyjne plamy wyrzucone przez fale na brzeg.

Dom Lance'a Leonarda majaczył w ciemności. Zaparkowałem na żwirowej łasze sto jardów przed dojazdem. Stroma alejka zrobiła się śliska od mgły. Drzwi frontowe były zaryglowane, nikt nie odpowiedział na moje pukanie.

Zbliżyłem się do drzwi garażu. Otworzyły się łatwo. Jaguar stał na swoim miejscu, podobnie jak motocykl. Przeszedłem między nimi do bocznych drzwi. Nie były zamknięte na klucz.

Koncentryczne owale światła z mojej latarki przesuwwały się po posadzce pomieszczenia gospodarczego, kraciastym linoleum w kuchni, wypolerowanym parkiecie salonu, po

szklanych ścianach, na których zawisała szarość nocy, wokół kamiennego kominka, w którym dymiąca szczapa rozpadała się na podobny do talku popiół i dogasające czerwone płatki ognia. Na gzymsie stał stojak z fajkami i słój z tytoniem, zegar pokazujący godzinę za trzy jedenasta oraz oprawione w srebro zdjęcie Lance'a Leonarda uśmiechającego się z bezczelnym kocim wdziękiem.

Lance we własnej osobie też był w domu. Miał na sobie wieczorową marynarkę, granatowe spodnie i ciemnoniebieskie buty do tańca, ale nigdzie się nie wybierał. Leżał na wznak ze stopami skierowanymi w przeciwne kąty pokoju. Jedno czarne oko spoglądało w snop światła z latarki, nie mrugając. Drugie wybił pocisk.

Włożyłem rękawiczki, przyklęknąłem i zauważyłem drugą ranę w lewej skroni. Nie krwawiła. Włosy wokół były osmalone, na skórze osiadły drobiny prochu. Pokonałem podłogę na czworakach. Odsunąwszy sztywną nogę Leonarda, znalazłem miedzianą łuskę średniego kalibru. Najwyraźniej odbiła się od ściany lub ubrania mordercy i potoczyła po podłodze, bo Leonard przygniótł ją swoim ciałem.

Znalezienie drugiej łuski zajęło mi dużo czasu. Wreszcie otworzyłem drzwi frontowe i zobaczyłem, że błyszczą w szczelinie między progiem a betonową posadzką. Przykucnąłem tyłem do trupa i w myślach dokonałem rekonstrukcji zabójstwa. Nie było to trudne. Ktoś zapukał do drzwi, poczekał, aż Lance otworzy, strzelił mu w oko, a potem jeszcze raz dla pewności, kiedy tamten już leżał. Później odszedł, zamykając za sobą drzwi. Drzwi miały mechanizm samozamykający.

Zostawiłem łuski tam, gdzie je znalazłem, i przetrząsnąłem resztę domu. Salon wyglądał bezosobowo jak pokój hotelowy. Nawet fajki na gzymsie kominka kupiono w zestawie i tylko jedna z nich była używana. Tytoń w słoiku

zesechł się na kość. W słoju nie było nic oprócz tytoniu, a w skrzyni na drewno nic prócz drewna. Ruchomy barek w kącie dobrze zaopatrzono, ale butelki w większości nie otwarte.

Wszedłem do sypialni. Komodę z jasnego dębu zapełniały lupy ze sklepów w Miracle Mile: stopy szytych na zamówienie koszul z angielskiej popeliny, gabardyny i madrasu, ręcznie zdobione krawaty, skarpetki, jedwabne apaszki i cała tęcza kaszmirowych swetrów. Szuflada na chusteczki zawierała złote spinki do mankietów i krawata z wygrawerowanymi monogramami, złotą bransoletę z nazwiskiem Lance'a Leonarda, zaśniedziały medal przyznany Manuelowi Torresowi (głosił to napis na rewersie) za mistrzostwo w biegach na średnim dystansie, uczniowi Serena Junior High School, w roku 1945, oraz pięć drogich zegarków i stoper. Ten chłopak ścigał się z czasem.

Zajrzałem do szafy. Na drewnianym stojaku było kilka par butów, a nad nimi wisiało kilkanaście garniturów i marynarek. W kącie, obok wysokiego na dwie stopy stosu komiksów i magazynów kryminalistycznych, stała dubeltówka. Przekartkowałem pisemka leżące na wierzchu: Strach, Pożądanie, Horror, Mord, Namiętność.

Na półkach przy wezłowie łóżka znajdowały się książki innego rodzaju. Oprawiony w marokin katechizm z napisaną kobiecą ręką dedykacją: „Manuel Purificación Torres, 1943”. Stara biografia Jacka Dempseya, zaczytana do granic możliwości, z napisem na wyklejce: „Manny »Straszny« Torres, 1734 West Nopal Street, Los Angeles, Kalifornia, Stany Zjednoczone, Zachodnia Półkula, Ziemia, Wszechświat”. Podręcznik mowy angielskiej, którego pierwsze strony były gęsto popodkreślane ołówkiem. Nazwisko wypisane na wyklejce tej książki brzmiało Lance Leonard.

Czwartą i ostatnią pozycją był album z tłoczonej skóry z wycinkami gazet. Zdjęcie umieszczone na pierwszej stronie przedstawiało młodzieńckiego Lance'a nachylającego się do obiektywu; miał szerokie bary i wąskie biodra. Podpis głosił, że trenerem Manny'ego Torresa jest jego wuj Tony, były bokser, a eksperci dają młodzikowi duże szanse na zdobycie Złotych Rękawic w wadze lekkiej. Wątek nie miał kontynuacji. Drugi artykuł był krótką relacją z debiutu Lance'a Torresa na zawodowym ringu: znokautował przeciwnika w drugiej minucie drugiej rundy. I tak o dwudziestu walkach od sześciu do dwunastu rund. W żadnym wycinku nie wspomniano o aresztowaniu i zawieszeniu.

Odstawiłem album na półkę i wróciłem do nieboszczyka. W kieszonce na piersi tkwił portfel ze skóry aligatora wypchany banknotami, tak samo oprawiony notes z imionami i numerami telefonicznymi dziewcząt od National City po Ojai. Znalazły się w nim między innymi Hester Campbell i Rina Campbell. Należały do strefy Los Angeles; zapisałem je.

W bocznej kieszeni marynarki znalazłem złotą cygarniczkę pełną skrętów. W tej samej kieszonce znajdowało się tłoczone zaproszenie w kopercie skierowane do Pana Lance'a Leonarda na adres przy Coldwater Canyon. Pan i Pani Simon Graff zapraszali go na Rzymskie Saturnalia mające się odbyć wieczorem w Channel Club.

Odłożyłem wszystko na miejsce i przed wyjściem odwróciłem się w drzwiach, żeby po raz ostatni spojrzeć na zabitego chłopaka. Niewiarygodny skok z nicości w blask słońca przekroczył jego siły. Twarz w blasku latarki miała kolor starej kości słoniowej. Zgasiałem latarkę i oddałem jego oblicze ciemności.

„Lance Manuel Purificación Torres Leonard”, powiedziałem tytułem epitafium.

Na zewnątrz powiew mgły zwilżył moją twarz niczym skąpe zimne łzy. Ciężko powlokłem się do auta. Zanim uruchomiłem silnik, usłyszałem inny samochód wjeżdżający pod górę od Ventura Boulevard. Światła jego reflektorów wspięły się na wiszącą w górze chmurę. Ja nie włączyłem swoich.

Ciemny sedan z potężnym chromowanym zderzakiem miął ostatni łuk. Bez zatrzymania wjechał na podjazd domu Leonarda i oświetlił frontową ścianę. Kierowca wysiadł i brodząc w blasku reflektorów podszedł do drzwi. Miał na sobie ciemny płaszcz ściśnięty mocno w pasie, poruszał się lekko. Nie widziałem twarzy, tylko ciemne, krótko obcięte włosy.

Zapukał, a nie usłyszawszy odpowiedzi, wyciągnął pęk kluczy i otworzył drzwi. W domu zapaliły się światła. Po chwili rozległ się krzyk stłumiony przez drewniane ściany, zabrzmiał jak skrzeczenie kruka. Światła zgasły, lecz krzyki jeszcze przez jakiś czas dobiegały z ciemnego wnętrza.

Przed otwarciem drzwi na chwilę zapadła cisza. Mężczyzna wyszedł i znów znalazł się w snopie reflektorów swojego wozu. Był nim Carl Stern. Mimo że miał krótko obcięte włosy i nosił muszkę, jego twarz przypominała oblicze starej kobiety pogrążonej w żałobie.

Wycofał niezręcznie i przejechał obok, nie zauważając mnie. Musiałem uruchomić silnik i zawrócić, ale dogoniłem go, zanim wspiął się na szczyt wzniesienia. Przemykał przez skrzyżowania, jakby eskortowała go kawalkada motocykli. Ja robiłem tak samo. On był moją eskortą.

Znaleźliśmy się na Manor Crest Drive, zaliczyłem więc pełną pętlę karkołomnej jazdy. Była jednak różnica, bo w do-

mu Hester paliły się światła od góry do dołu. Na piętrze za zasłoną dostrzegłem kontury kobiecej sylwetki. Poruszała się z niecierpliwym zapałem młodej dziewczyny.

Stern wysiadł na podjeździe, nie gasząc silnika, zapukał i został wpuszczony do środka. Wyszedł, zanim postanowiłem, co robić dalej. Następnie wsiadł do samochodu i odjechał. Nie podążyłem za nim. Wyglądało na to, że Hester wróciła do domu.

ROZDZIAŁ 16

Wszedłem przez drzwi werandy i dostałem się do domu. Z góry dochodziły odgłosy szybkich kroków. Usłyszałem stukanie obcasów i dziewczęce podśpiewywanie bez wyraźnej melodii. Wspiąłem się na schody, opierając o poręcz. Z drzwi pokoju na końcu holu na piętrze sączyło się światło. Przesu-
nałem się wzdłuż ściany do miejsca, z którego widziałem wewnątrz pomieszczenia.

Dziewczyna stała obok łóżka z baldachimem, odwrócona tyłem do mnie. Miała na sobie prostą tweedową spódnicę i białą bluzkę z krótkimi rękawami. Jasne włosy były gładko zaczesane. Biała skórzana walizka z obiciem z niebieskiego jedwabiu wewnątrz leżała otwarta na łóżku. Dziewczyna czułym ruchem wkładała do niej czarną sukienkę.

Wyprostowała się i odsunęła pod ścianę, kołyszając biodrami; miała gibką, wąską talię. Otworzyła lustrzane drzwi garderoby i weszła do oświetlonego wnętrza. Kiedy się z niej wynurzyła z naręczem ubrań, stałem w pokoju.

Dziewczyna zeszywniała. Kolorowe sukienki spadły na podłogę. Cofnęła się i oparła o drzwi szafy, które zamknęły się z trzaskiem.

— Cześć, Hester. Myślałem, że nie żyjesz.

Dziewczyna przycisnęła zaciśniętą pięść do ust.

— Kim pan jest? — zapytała.

— Archer. Nie pamiętasz mnie? Widzieliśmy się rano.

— Jest pan detektywem... Tym, z którym Lance się bił? Skinąłem głową.

— Czego pan ode mnie chce?

— Zamienić parę słów.

— Niech się pan wynosi. — Zerknęła na biały telefon stojący na nocnym stoliku. — Zadzwoń po policję.

— Bardzo w to wątpię.

Hester odsunęła dłoń od ust i przyłożyła ją do boku pod piersią, jak gdyby odczuwała tam ból. Gniew i niepokój wykrzywiły jej twarz, ale była jedną z tych dziewcząt, które nie mogą wyglądać brzydko. Uroda była nieusuwalną częścią jej osoby, a ona robiła wszystko z poczuciem, że ta uroda się o nią zatroszczy.

— Ostrzegam pana, za chwilę zjawią się tu moi znajomi.

— Świetnie. Chętnie się z nimi spotkam.

— Tak pan myśli?

— Tak myślę.

— Dobrze, niech pan zostanie — odparła. — Nie przeszkadza panu, że będę się dalej pakowała?

— Ależ skąd. Ty jesteś Hester Campbell, prawda?

Nie odpowiedziała ani na mnie nie spojrzała. Podniosła sukienki z podłogi i szeleszczące przeniosła do walizki na łóżku.

— Dokąd się tym razem wybierasz? — spytałem.

— Nic panu do tego.

— Gliny mogą się zainteresować.

— Czyżby? Więc niech pan idzie i im powie. Droga wolna.

— Dziewczyna na gigancie nie powinna tak mówić, to nieostrożne.

— Nie jestem na gigancie, jak pan to ujął, i proszę mnie nie straszyć.

— Wyjeżdżasz po prostu z miasta na weekend.

— A czemu nie?

— Dziś rano słyszałem, jak mówiłaś Lance'owi, że masz dość.

Nie zareagowała na imię, tak jak się spodziewałem. Zręcznymi dłońmi składała ostatnie sukienki. Podobała mi się jej odwaga, ale jej nie dowierzałem. W walizce mógł być pistolet. Jednak odwróciła się z pustymi rękami.

— Czego miałaś dość? — zapytałem.

— Nie wiem, o czym pan mówi, i nic mnie to nie obchodzi. — Kłamała. Obchodziło ją.

— Lance jest jednym z tych znajomych, którzy mają tu przyjechać?

— Tak, i lepiej żeby pana nie było, kiedy on się zjawi.

— Jesteś pewna, że się zjawi?

— Zobaczysz pan.

— To będzie ciekawe. Kto poniesie koszyk?

— Jaki koszyk? — spytała cichym piskliwym głosem.

— Lance przestał być mobilny. Trzeba go nosić w koszyku.

Ręka Hester znów powędrowała do piersi. Ból musiał się nasilić. Ruszyła w moją stronę, kołysząc gniewnie biodrami i ramionami. Chciała się precyzyjnie między mną a łóżkiem. Zastąpiłem jej drogę.

— Kiedy go ostatnio widziałaś?

— Dzisiaj wieczorem.

— O której godzinie?

— Nie wiem. Parę godzin temu. Czy to ważne?

— Ważne dla ciebie. Jak się czuł, kiedy od niego wychodziłaś?

— Dobrze. Dlaczego pan pyta? Coś mu się stało?

— Ty mi to powiedz, Hester. Siejesz spustoszenie jak generał Sherman maszerujący przez Georgię.

— Co się stało? Jest ranny?

— I to bardzo.

— Gdzie on jest?

— W domu. Ale niedługo przeniesie się do kostnicy.

— Umiera?

— Umarł. Carl Stern ci nie powiedział?

Pokręciła głową. Ten ruch bardziej przypominał dreszcz niż gest zaprzeczenia.

— To nieprawda. Pan oszalał.

— Czasem wydaje mi się, że jestem jedynym, który pozostał przy zdrowych zmysłach.

Hester usiadła na brzegu łóżka. Wzdłuż linii jej włosów pojawił się rząd maleńkich kropelek. Starła je dłonią, jej prawa pierś powędrowała do góry, gdy uniosła rękę. Spojrzała na mnie oczami zamglonymi od szoku. Jeśli grała, to była bardzo dobrą aktorką.

Nie uważałem jej za taką.

— Twój przyjaciel nie żyje — oznajmiłem. — Ktoś go zastrzelił.

— Kłamie pan.

— Może powinienem był przywieźć zwłoki. Powiedzieć ci, gdzie dostał? Jedną kulkę w skroń, a drugą w oko. A może to dla ciebie nie nowina? Nie chcę cię zanudzać opowiastkami o śmierci Lance'a.

Czoło Hester się zmarszczyło. Wykrzywiła usta w bolesnym grymasie.

— Jest pan draniem. Zmyśla pan to wszystko, żeby coś ze mnie wyciągnąć. To samo powiedział pan o mnie... że nie żyję. — W jej oczach zaświeciły się łzy. — Powie pan wszystko, byleby zmusić mnie do wyznań.

— Co byś mi powiedziała, gdybyś zechciała mówić?

— Nie muszę odpowiadać na żadne pańskie pytania.

— Zastanów się trochę, a może zmienisz zdanie. Wygląda na to, że oni wykorzystują cię jako kozła ofiarnego.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— Ci, wśród których się obracasz, uważają cię za naiwniaczkę, nie zauważyłaś? Przyjemne towarzystwo. Próbują cię wrobić w morderstwo. Dostrzegli szansę ustrzelenia dwóch ptaszków za jednym zamachem: załatwić Lance'a i przy okazji pozbyć się ciebie.

Improwizowałem, ale melodia była mi dobrze znana. Hester mocno nadstawiła uszu.

— Kto by coś takiego zrobił?

— Ten, kto namówił cię do tej wycieczki.

— Nikt mnie do niej nie namawiał. Sama chciałam wyjechać.

— Czyj to był pomysł? Leroya Frosta?

Spojrzenie Hester pociemniało.

— Co Frost ci powiedział? Gdzie kazał ci jechać?

— To nie był pan Frost. Lance się ze mną skontaktował. A więc to, co pan mówi, nie może być prawdą. Nie zaplanowałby swojej śmierci.

— Nie zrobiłby tego, gdyby znał cały plan. Ale on go nie znał. Wykołowali Lance'a tak samo jak ciebie.

— Nikt mnie nie wykołował — odrzekła z uporem. — Czemu ktoś miałby mnie oszukiwać?

— Daj spokój, Hester, nie jesteś pierwszą naiwną. Wiesz dobrze, co zrobiłaś.

— Nie zrobiłam nic złego.

— Rozmaite są standardy, co? Niektórzy uważają szantaż za najbrudniejszą ze wszystkich gier.

— Szantaż?

— Rozejrzyj się dokoła i przestań udawać. Nie opowiadaj mi, że Graff daje ci, co zechcesz, tylko ze względu na twoje piękne włosy. Widziałem w tym mieście tyle szantaży, że wyczuwam je na odległość. A ty siedzisz w nim po same uszy.

Hester dotknęła palcem szyi. Jej opór się wyczerpywał. Rozejrzała się po różowych ścianach, jej twarz przybrała podobny kolor. Był to autentyczny dziewczęcy rumieniec; od dawna takiego nie widziałem. Opadły mnie wątpliwości.

— Zmyśla pan to wszystko.

— Muszę, bo nie chcesz mi nic powiedzieć. Kieruję się tym, co widzę i słyszę. Dziewczyna rzuca męża i wpada w ramiona skończonego boksera, który zadaje się z gangsterami. Raz-dwa i opływacie w luksusy. Lance dostaje kontrakt filmowy, a ty willę w Beverly Hills. A Simon Graff okazuje się twoją matką chrzestną z czarodziejską różdżką. Dlaczego?

Hester milczała. Spojrzała na dłonie, którymi poruszała nerwowo na kolanach.

— Co mu sprzedawałaś? — spytałem. — I co miała z tym wspólnego Gabrielle Torres?

Twarz Hester straciła kolory, wokół oczu ukazały się cienie. Jej wzrok skierował się do wewnątrz, na obraz w pamięci. Przeraziło ją to, co zobaczyła.

— Myślę, że wiesz, kto ją zabił — ciągnąłem. — Jeśli tak, powinnaś mi powiedzieć. Czas zdjęć zasłonę, zanim padną kolejne ofiary. Ty będziesz następną, Hester.

Wargi dziewczyny otworzyły się jak usta kukielki w dłoniach brzuchomówcy.

— Nie jestem... — Siłą woli przerwała w pół zdania.

Potrząsnęła mocno głową i z oczu popłynęły jej łzy. Zakryła rękami moką twarz i rzuciła się bokiem na łóżko. Strach, cichy i mocny jak prąd elektryczny, wstrząsał całym jej ciałem. Poczułem coś na kształt litości. Z litością jest tak, że zawsze zmienia się w coś innego: odrazę lub pożądanie. Krągłe biodro Hester wznosiło się jak samotne wzgórze.

— Opowiesz mi o Gabrielle?

— Nie mam nic do powiedzenia — odparła cichym zduszonym głosem.

— Wiesz, kto zastrzelił Lance'a?

— Nie. Daj mi spokój.

— Co ci powiedział Carl Stern?

— Nic. Byliśmy umówieni na randkę. Chciał ją przełożyć, to wszystko.

— Jaką randkę?

— To nie pana sprawa.

— Stern ma cię zabrać na przejażdżkę?

— Może. — Hester nie zrozumiała ukrytego znaczenia.

— W jedną stronę?

Tym razem do niej dotarło. Usiadła.

— Wynoś się, sadysto! — zawołała prawie histerycznie.

— Znam takich jak ty. Widziałam, jak policyjni detektywi dręczą niewinnych ludzi. Jeśli w ogóle jesteś mężczyzną, znikniesz stąd w tej chwili!

Leżała ze skrzyżowanym tułowiem, jej piersi rysowały się mocno pod białą bluzką. Kąciki ust opadły, niebieskie oczy błyszczały. Była wyjątkowo ładną dziewczyną, ale nie tylko. Była uczciwa.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Zacząłem wątpić w przyjęte założenia i w to, że Hester może kręcić. W jej oskarżeniu było wiele prawdy, a w moim dążeniu do sprawiedliwości —

niemało okrucieństwa; poza tym moje współczucie było zabarwione pożądaniem. Wszystko to sprawiło, że poczułem się nieswojo. Powiedziałem „dobranoc” i wyszedłem.

Sękał w tym, żeby ludzi kochać i im służyć, niczego od nich nie chcąc. Byłem daleki od rozwiązania tego problemu.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy dojechałem do bramy Channel Club, przy bramie nikt nie stał. Była otwarta, a przyjęcie wciąż trwało. Jedno skrzydło budynku tonęło w światłach. Na parkingu stało kilkadziesiąt samochodów. Zaparkowałem moje auto między czarnym porsche i lawendowym kabrioletem marki Cadillac z tapicerką w kolorze białego wina i złotymi wykończeniami. Odwrócona czerwona choinka, pod którą przeszedłem, zdawała się coś symbolizować, ale nie wiedziałem co.

Zapukałem do drzwi gabinetu Bassetta; nikt nie odpowiedział. Basen wyglądał jak zielona tafla oświetlona przez podwodne światła i reflektory z góry. Goście zgromadzili się w końcu hali przy pomalowanej na aluminiowy kolor wieży do skoków. Zszedłem po płaskich schodach na wyłożoną terakotą posadzkę i ruszyłem w ich stronę.

Większość przybyłych stanowili hollywoodzcy bywalcy. Kobiety były ubrane w suknie wieczorowe bez ramiączek i kostiumy kąpielowe nieprzeznaczone do zamaczania w wodzie. Wśród mężczyzn rozpoznałem Simona Graffa, Sammie'ego Swifta i młodego ratownika Murzyna, z którym rano

rozmawiałem. Ich twarze były zwrócone w górę na dziewczynę, która stała nieruchomo jak posąg na dziesięciometrowej wieży.

Wzięła rozbieg i skoczyła w rozświetloną przestrzeń. Jej ciało zgięło się i przekręciło dwa i pół razy, zmieniło kształt z ptasiego w rybi i wbiło się w powierzchnię. Rozległy się oklaski. Jeden z gości, zwawy czterdziestolatek we fraku, zrobił dziewczynie zdjęcie, gdy wspinała się po drabince, ociekając wodą. Lekceważącym gestem strząsnęła wodę z włosów i poszła w ką, żeby się osuszyć. Podążyłem za nią.

— Ładny skok.

— Tak pan uważa? — Skierowała brązową twarz w moją stronę; zobaczyłem, że od lat nie jest już dziewczyną. — Nie dałabym sobie trójki. Beznadziejna koordynacja. Kiedy jestem w formie, mogę wykonać tę kombinację z obrotem. Ale mimo to dziękuję.

Wytarła długą brązową nogę, a potem drugą, z bezosobową czułością, jakby czyściła konia wyścigowego.

— Skacze pani sportowo?

— Kiedyś skakałam. Czemu pan pyta?

— Zastanawiałem się, co może skłonić do tego kobietę. Ta wieża jest całkiem wysoka.

— Człowiek musi być w czymś dobry, a ja nie mam urody. — Uśmiechnęła się z wysiłkiem wąskimi ustami. — Doktor Frey — mój przyjaciel psychiatra — powiada, że wieża jest symbolem fallicznym. Zresztą wie pan, co mówią pływacy: skoczek to pływak, któremu wyprysnął mózg.

— A ja myślałem, że skoczek to pływak z jajami.

— Tak mówią skoczkowie. Wielu ich pan zna?

— Nie, ale chciałbym. Przyjaźni się pani z Hester Campbell?

Twarz kobiety znieruchomiła.

— Znam Hester, ale nie nazwałabym jej przyjaciółką — odparła ostrożnie.

— Dlaczego?

— To długa historia, a mnie jest zimno. — Odwróciła się bez wdzięku i ruszyła truchtem w stronę szatni. Jej biodra się nie kołysały.

— Proszę o spokój! — odezwał się ktoś głośno. — Za chwilę zobaczą państwo cud stulecia, sprowadzony do naszego klubu za obłądną sumę.

Słowa te wypowiedział siwowłosy mężczyzna stojący na platformie wieży zawieszanej na wysokości pięciu metrów. Miał chude nogi, obwisłe piersi, a jego brzuch wyglądał jak brązowa kula wypychająca szorty. Przyjrzałem mu się dokładniej. Był to Simon Graff.

— Wytworne damy i szanowni dżentelmeni. — Graff przysłonił oczy ręką i rozejrzał się żartobliwie. — Są tu jakieś damy i dżentelmeni?

Kobiety zachichotały, mężczyźni gruchnęli śmiechem. Sam-my Swift, stojący niedaleko ode mnie, wyglądał jak człowiek, który ujrzał złego ducha.

— Patrzcie więc i podziwiajcie, dziewczęta i chłopcy! — zawołał Graff wysokim, nienaturalnym głosem. — Wielki Graffissimo w jedynym i неповtarzalnym skoku na granicy życia i śmierci.

Wziął krótki niezgrabny rozbieg i poleciał nogami w dół, przyciskając ręce do boków. Młodzi chłopcy nazywają taki skok „na baczność”. Goście poczekali, aż się wynurzy, a potem zaczęli bić brawo, wiwatować i gwizdać.

Sammy Swift zauważył moje milczenie i podszedł. Nie rozpoznał mnie, dopóki nie odezwałem się do niego po imieniu. Gdybym zapalił zapałkę, powietrze z jego ust zamieniłoby się w płomień.

— Lew Archer, a niech mnie. Co robisz wśród tej me-
nażerii?

— Złe wrażenie.

— Ma się rozumieć. A skoro mowa o złym wrażeniu,
udało ci się złapać Lance'a Leonarda?

— Nie. Mój kumpel się rozchorował i zrezygnowaliśmy
z wywiadu.

— Szkoda, chłopak ma za sobą nie byle jaką karierę.
Wyszedłby z tego ciekawy artykuł.

— Może od ciebie się czegoś dowiem.

— Aha. — Sammy pokręcił głową na boki. — Powiedz
kumplowi, żeby zwrócił się do prasówki. Obiło mi się o
uszty, że istnieje wersja oficjalna i nieoficjalna.

— Co dokładnie obiło ci się o uszty?

— Nie wiedziałem, że wykonujesz czarną robotę dla pra-
sy, Lew. Co jest grane, próbujesz coś znaleźć na Leonarda?

Sammy zmrużył zamglone oczy i popatrzył trzeźwiej.
Nie był tak zawiany jak myślałem, a temat był drażliwy.
Wycofałem się.

— Pomagam kumplowi, to wszystko.

— Szukasz Leonarda? Nie widziałem go tu dzisiaj.

Graff znów się odezwał.

— Achtung, achtung. Czas na ćwiczenia z pierwszej po-
mocy. — Patrzył pozbawionym wyrazu wzrokiem z otwar-
tymi ustami. Podeszedł do rozszczebiotanych dziewcząt i
wbił paluch w ramię jednej z nich, ubranej w srebrną suknię.

— Ty, jak ei tam?

— Martha Matthews. — Dziewczyna uśmiechnęła się
wniebowzięta. Szczęście poraziło ją jak grom z jasnego
nieba.

— Ślicznotka z ciebie, Martha.

— Dzięki. — Górowała nad nim wzrostem. — Bardzo
dziękuję, panie Graff.

— Chcesz, żebym uratował ci życie?

— Byłabym zaszczycona.

— No to wskakuj.

— A co z moją sukienką?

— Możesz ją zdjąć.

Uśmiech dziewczyny wyrażał zaskoczenie.

— Naprawdę?

— Przecież powiedziałem.

Ściągnęła sukienkę przez głowę i oddała jednej z dziewcząt. Graff zepchnął ją do wody. Rzutki fotograf pstryknął zdjęcie. Graff wskoczył za nią i pociągnął ją w stronę drabinki, ściskając jej ciało żylastą ręką. Dziewczyna wciąż się uśmiechała. Ratownik przyglądał się temu, jego czarna twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

Miałem ochotę wpakować komuś kulkę, ale wokół nie było wystarczająco dużego celu. Odszedłem, a Sammy powlókł się za mną. Przy płytszym końcu basenu oparliśmy się o długą donicę pełną begonii i zapaliliśmy papierosy. Słabe światło padało na szczupłą, bladą twarz Sammy'ego.

— Widzę, że dobrze znasz Simona Graffa — zagadnąłem. W jego oczach zamigotało światło.

— Trzeba go dobrze poznać, żeby mieć do niego taki stosunek jak ja. Od pięciu lat mam szefa pod lupą. To, czego o nim nie wiem, nie jest godne uwagi. To co wiem też. Ale za to jest ciekawe. Wiesz na przykład, po co wykonał numer ratownika? Powtarza go na każdej imprezie jak w zegarku, ale założę się, że jestem jedynym, który go rozgryzł. Idę o zakład, że nawet on sam nie wie.

— Zamieniam się w słuch.

Sammy zrobił mądrą minę.

— Graff ma neurozę kompulsywną — oznajmił żargonem

psychoanalitka. — Dostał fiksacji na punkcie tej dziewczyny, która zginęła w zeszłym roku.

— O jakiej dziewczynie mówisz? — spytałem, starając się zapanować nad głosem.

— O tej, którą znaleziono na plaży z kulami w ciele. Niedaleko stąd. — Wskazał gestem niewidoczny ocean. — Simon miał fioła na jej punkcie.

— To ciekawe, jeśli jest prawdą.

— Uwierz mi na słowo. Byłem z nim tego ranka, kiedy się o niej dowiedział. Ma dalekopis w gabinecie — zawsze chce wiedzieć o wszystkim pierwszy — a kiedy ujrzał jej nazwisko na taśmie, pobladał jak trup, że się tak wyrażę. Zamknął się w swojej łazience i przez godzinę nie wychodził. A kiedy już wyszedł, powiedział, że to tylko kac. Właśnie tak, kac. Już nigdy nie był taki sam. Jak ona się nazywała? — Sammy strzelił palcami, ale mu nie wyszło. — Gabrielle cośtam.

— Chyba coś sobie przypominam. Czy ona nie była dla niego trochę za młoda?

— Do diabła, w jego wieku leci się na młode. Zresztą Simon nie jest aż taki stary. Dopiero w zeszłym roku posiwał, a stało się to z powodu śmierci tej dziewczyny.

— Jesteś tego pewny?

— Oczywiście. Widziałem ich parę razy tej wiosny, a mam rentgen w oczach. To dzięki temu, że jestem pisarzem.

— Gdzie ich widziałeś?

— Tu i tam, między innymi w Vegas. Leżeli koło basenu w wielkim hotelu i palili jednego papierosa. — Sammy spojrzął na lśniący czubek swojego papierosa i pstryknął go do wody. — Może nie powinienem opowiadać takich szkolnych historyjek, ale ty mnie nie zacytujesz. Poza tym to i tak przeszłość. Tyle że Simon wciąż powtarza ten obłąkańczy numer ratownika. Odgrywa jej śmierć, próbuje ratować tę dziewczynę,

kapujesz? Zwróć jednak uwagę, że ratuje ją w podgrzewanym basenie.

— Nie wątpię, że sam to wykoncypowałeś.

— Tak, ale trzyma się kupy — odrzekł z nutą fanatyzmu.

— Obserwuję faceta od lat jak muchę na ścianie i poznałem go. Czytam w jego głowie jak w książce.

— Kto ją napisał? Freud?

Sammy chyba mnie nie usłyszał. Jego wzrok powędrował do drugiego końca basenu, gdzie Graff pozował do zdjęć z dziewczętami. To zastanawiające, że ludzie filmu nigdy nie mają dość uwieczniania się na kliszy.

— Możesz mnie nazywać Edypem, jeśli chcesz. Ale ja naprawdę nienawidzę tego drania.

— Co ci zrobił?

— Chodzi o to, co zrobił Flaubertowi. Układam scenariusz Kartaginy, wersję numer sześć, a Simon Graff dyszy mi w kark. — Sammy zmienił głos, naśladowując sposób mówienia Graffa: — Nie możemy pozwolić, żeby Matho, nasz młody bohater, zginął tak szybko. Trzeba go utrzymać przy życiu ze względu na tę dziewczynę, to podstawa. Jasne, jasne. Zostaje porąbany na kawałki, a ona go piastuje i przywraca do życia — może być? Nic nie tracimy, a zyskujemy serce, uczucie. Salammbó go rehabilituje, rozumiesz? Przedtem chłopak był buntownikiem, wicherzycielem, ale wpływ szlachetnej kobiety ocala go przed samym sobą. By zdobyć jej miłość, zmienia swój stosunek do barbarzyńców. Dziewczyna obserwuje go z trybun. Padają sobie w ramiona, biorą ślub. Czytałeś Salammbó? — spytał Sammy już swoim głosem.

— Dawno temu, w przekładzie. Nie pamiętam fabuły.

— Więc nie zrozumiesz, o czym mówię. Salammbó to tragedia, jej tematem jest upadek, rozkład. A Simon Graff

każe mi przykleić do niej happy end. A ja piszę to, co on chce. — W głosie Sammy'ego brzmiało zdziwienie. — I stało się. Dlaczego zrobiłem to sobie i Flaubertowi? Kiedyś uwielbiałem Flauberta.

— Robisz to dla pieniędzy?

— Taak. Pieniądze. Pieniądze. — Sammy powtórzył to słowo kilka razy, zmieniając intonację. Tak jakby znajdował w nim nowe znaczenia, subtelne pijackie odcienie, które skłaniają do łez. Był jednak zbyt zmienny i słaby, żeby utrzymać tę emocję. Klepnął się w czoło i zaśmiał. — Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Co byś powiedział na drinka, Lew? Na przykład danziger goldwasser?

— Za chwilę. Znasz może Hester Campbell?

— Widziałem ją kiedyś.

— A ostatnio?

— Nie, to było dawno.

— Co ją łączy z Graffem?

— Nie mam pojęcia — uciał Sammy. Ten temat go zaniepokoił, więc uciekł w błaznowanie. — Nikt mi nic nie mówi, jestem tutaj chłopcem na posyłki. Intelktualistą, ale chłopcem na posyłki. Taka piosenka. — Przytłumionym tenorem zaczął nucić zaimprovizowaną melodię. — Taki zmanierowany, a taki niezbędny, mój skarb niekochany. Banalny, lecz zmysłowy, mój chłopiec na posyłki intelektualny. Którego nic nie może zepsuć... Czujesz ten elegancki rytm?

— Czuję.

— To oznaka geniuszu. Wspominałem ci, że jestem geniuszem? W liceum w Galena, Illinois, miałem wskaźnik IQ sto osiemdziesiąt trzy. — Sammy zmarszczył czoło. — Co się ze mną stało? Kiedyś lubiłem ludzi, cholera, miałem talent. Nie wiedziałem, ile to jest warte. Przyjechałem tu dla hecy, dla fasonu... Siedem pięćdziesiąt na tydzień za uprawienie gierki słownych. I nagle okazuje się, że to nie żadna

heca, tylko twoje życie, jedyne, jakie masz. A Simon Graff trzyma cię za pysk i nie kierujesz się już wewnętrznymi impulsami. Nie jesteś już sobą.

— Kim ty jesteś, Sam?

— Oto mój problem. — Roześmiał się i omal nie zakrzuszył. — W zeszłym tygodniu miałem wizję, wyraźną jak film. Paskudne słowo „film”, ale nie czepiajmy się drobiazgów. Byłem królikiem biegnącym przez pustynię. Ujęcie z tyłu. — Znow się zaśmiał i zakaszłał. — Zakichanym królikiem z białym ogonkiem, który zasuwa kic, kic przez wielką amerykańską pustynię.

— Kto cię gonił?

— Nie wiem — odparł Sammy z krzywym uśmiechem.
— Bałem się obejrzeć.

ROZDZIAŁ 18

Graff kroczył w naszą stronę wzdłuż basenu ze świtą złożoną ze szczebioczącego haremu oraz eunuchów. Nie byłem gotów do rozmowy z nim, toteż odwróciłem się i poczekałem, aż przejdzie. Sammy ziewnął wrogo.

— Naprawdę muszę się napić — oznajmił. — Zaczynam zbyt wyraźnie widzieć. Idziemy do baru?

— Może później.

— Na razie. I nie cytuj moich wypowiedzi.

Obiecałem mu to, a Sammy odpłynął ku światłom i muzyce.

Przy opuszczonym basenie został tylko czarnoskóry ratownik, który kręcił się koło wieży. Podreptał w moją stronę z podwójnym naręczem grubych ręczników i wniósł je do oświetlonego pomieszczenia na końcu rzędu cabañas.

Podszedłem i zapukałem w otwarte drzwi. Ratownik odwrócił głowę znad płóciennego kosza, do którego wrzucił ręczniki. Miał na sobie szary dres z napisem CHANNEL CLUB na piersi.

— Mogę w czymś pomóc, sir?

— Nie, dzięki. Jak się miewają rybki tropikalne?

Rozpoznał mnie i uśmiechnął się.

— Dzisiaj był spokój z rybkami. Z ludźmi zawsze jest kłopot. Czemu chce im się kąpać w taki wieczór? Chyba alkohol uderza im do głowy. Wlewają go sobie do gardeł, że strach patrzeć.

— Skoro o tym mowa, twój szef jest w tym całkiem dobry.

— Pan Bassett? Pije ostatnio jak ryba, od czasu gdy umarła jego matka. Jak tropikalna ryba. Pan Bassett był bardzo przywiązany do mamy. — Ciemna twarz ratownika była pozbawiona wyrazu, ale jego oczy spoglądały sardonicznie. — Powiedział mi, że była jedyną kobietą, którą w życiu kochał.

— No to brawo dla niego. Wiesz, gdzie jest teraz pan Bassett?

— Krąży. — Ratownik zakręcił palcem w powietrzu. — Zawsze tak robi na przyjęciach. Chce pan, żebym go znalazł?

— Nie teraz, dzięki. Znasz Tony'ego Torresa?

— Znamy się dobrze. Pracujemy razem od lat.

— A znałeś jego córkę?

— Trochę — odparł ostrożnie chłopak. — Ona też pracowała w klubie.

— Tony jest gdzieś tutaj? Nie widziałem go przy bramie.

— On wieczorem schodzi ze służby, czy jest impreza, czy nie. Jego zmiennik dzisiaj się nie pojawił. Może pan Bassett zapomniał do niego zadzwonić.

— Wiesz, gdzie mieszka Tony?

— A jakże. Prawie stoi pan nad jego mieszkaniem. Ma kąk obok kotłowni, wprowadził się zeszłego roku. Mówił mi, że strasznie marznie w nocy.

— Wskażesz mi drogę?

Ratownik zerknął na zegarek.

— Jest już wpół do drugiej. Nie radzę panu budzić go w środku nocy.

— Zaryzykuję.

Chłopak wzruszył ramionami i poszliśmy korytarzem wypełnionym mydlaną wonią pryszniców, a potem betonowymi schodami w dół; było parno jak w szklarni, kostiumy kąpielowe wisały niczym skóry węży na drewnianych wieszakach umieszczonych między wielkimi kotłami podgrzewającymi wodę w basenie i budynkach. Za nimi stała budka o wymiarach dwa na cztery, zrobiona ze sklejki.

— Tony mieszka tutaj, bo chce — wyjaśnił ratownik tonem usprawiedliwienia. — Nie będzie już mieszkał w domu na plaży, wynajmuje go. Wolałbym, żeby go pan nie budził. Tony ma już swoje lata, potrzebuje odpoczynku.

Ale Tony nie spał. Jego bose stopy zaszurały. Smugi światła ukazały się w szczelinach sklejki i wokół framugi drzwi. Tony otworzył je i szybko zamrugał na nasz widok — mały staruszek z okazałym brzuchem, w długich gatkach i z medalikiem na szyi.

— Przepraszam, że wrywam pana z łóżka. Chciałbym porozmawiać.

— O czym? Co się stało? — Tony podrapał się po siwiejących, potarganych włosach.

— Nic się nie stało. — Poza dwoma morderstwami w jego rodzinie. O jednym z nich nie powinienem wiedzieć. — Mogę wejść?

— Jasna sprawa. Właściwie to sam chciałem z panem pogadać.

Tony otworzył szerzej drzwi i cofnął się z niemal dworskim gestem.

— Wchodzisz, Joe?

— Muszę iść na górę — odparł ratownik. Podziękowałem i wszedłem do środka. Pomieszczenie było małe i gorące; oświetlała je goła żarówka wisząca na kablu. Nigdy nie widziałem celi mnicha, lecz ten pokoik mógłby za nią uchodzić.

Stało tam biurko z popękaną dębową okleiną, metalowa prycza, kuchenne krzeselko, szafa ze sklejkki pozbawiona drzwi, w której wisiał garnitur z granatowej serży, skórzana kurtka i czysty mundur. Na łóżku leżała wyblakła flanelowa pościel, a pod nim stara walizka z mosiężnymi wykończeniami. Nad wezgłowiem wisiało zdjęcie i obrazek. Zdjęcie, poplamione palcami, przedstawiało ładną ciemnooką dziewczynę w białej sukience, wyglądającą na absolwentkę liceum. Na obrazku widniała Matka Boska z gorejącym sercem trzymanym w wyciągniętej ręce.

Tony wskazał mi krzesło, a sam usiadł na łóżku. Znowu podrapał się w głowę i spojrzał na podłogę oczyma nieruchomymi jak antracyty. Pokażne knykcie jego prawej dłoni były napuchnięte.

— Taak, myślałem o tym — rzekł znowu. — Przez cały dzień i pół nocy. Pan Bassett mówi, że jest pan detektywem.

— Prywatnym.

— Tak, prywatnym. Pasuje mi to. Kto by tam ufał glinom? Jeżdżą sobie eleganckimi autami i aresztują ludzi za brak tylnych świateł i wyrzucenie puszek do rowu przy autostradzie. A jak stanie się naprawdę coś złego, to ich nie ma.

— Przeważnie są, Tony.

— Może i tak. Widziało się dziwne rzeczy. Na przykład to, co się stało zeszłego roku w mojej rodzinie. — Odwrócił z wolną głowę i spojrzał na zdjęcie dziewczyny, jakby ulegając niewidzialnemu, lecz przemożnemu naciskowi. — Pewnie słyszał pan o Gabrielle, mojej córce.

— Tak, słyszałem.

— Znalazłem ją na plaży, zastrzeloną. W zeszłym roku, dwudziestego pierwszego marca. Nie wróciła na noc do domu, miała być z przyjaciółką. Znalazłem ją rano. Miała osiemnaście lat, była moją jedyną córką.

— Przykro mi.

Spojrzał na mnie, badając głębokość mojego współczucia. Słowa bolesnej prawdy wykrzywiły jego szerokie usta.

— Nie mówię, że krwawi mi serce. To moja wina, mogłem się tego spodziewać. Czy mogłem ją sam wychować, bez matki? Młodą, ładną dziewczynę? — Tony popatrzył wkoło, a potem znów na mnie. — Miałem jej mówić, co ma robić, a czego nie?

— Co się stało z pana żoną?

— Z moją żoną? — Pytanie zaskoczyło Tony'ego, musiał chwilę pomyśleć. — Uciekła ode mnie lata temu z jakimś facetem. Kiedy ostatnio o niej słyszałem, mieszkała w Seattle. Zawsze szalała za chłopami. Gabrielle chyba się w nią wrodziła. Poszedłem do katolickiego ośrodka opieki społecznej, zapytałem, co mam robić, bo moja córka gzi się jak kobyła w rui. Nie, tak księdzu nie powiedziałem, skąd tam. A ojciec mi na to, pošlij ją do szkoły zakonnej. Ale to za dużo kosztowało. Zbyt drogo kosztowałoby mnie uratowanie życia córce. A przecież miałem trochę forsy odłożonej w banku i nie było na kogo jej wydać. — Spojrzał na obrazek Matki Boskiej. — Stary dureń ze mnie i tyle.

— Nie można przeżyć życia za swoje dzieci, Tony.

— Ano nie. Ale mogłem ją zamknąć z porządnymi ludźmi, którzy by się nią opiekowali. Mogłem trzymać Manuela z dala od mojego domu.

— Manuel miał coś wspólnego z jej śmiercią?

— Siedział za kratkami, kiedy to się stało. Ale to przez niego zaczęła szaleć. Długo nie mogłem wpaść na to, że nauczył ją łącać. Mówiła mi, że idzie pograć w kosza albo na basen, albo że umówiła się z koleżanką. A tymczasem włóczyła się z chłopakami na motorach, robiła się z niej brudna...

— Tony zamilkł, nie kończąc zdania.

Po chwili kontynuował dalej spokojniejszym tonem:

— Kiedyś zobaczyłem Manuela na Venice Speedway z dziewczyną w samochodzie z opuszczanym dachem. To była Hester Campbell. Właśnie z nią Gabrielle miała podobno być tej nocy, kiedy ją zabito. A pan zjawia się tutaj rano i pyta o Manuela. Zacząłem się zastanawiać, kto jej to zrobił. Dlaczego Manuel skumał się z tą blondynką, może mi pan powiedzieć?

— Możliwe, że tak, ale jeszcze nie teraz. Czy robił pan coś jeszcze poza tym, że się zastanawiał?

— Hę?

— Czy wychodził pan dzisiaj z klubu? Widział się pan z Manuelem?

— Nie. Na oba pytania.

— Ile ma pan sztuk broni krótkiej?

— Tylko jeden.

— Jakiego kalibru?

— Colt kalibru czterdzieści pięć. — Tony pochłonięty był jedną myślą, więc nie uchwycił podtekstu moich pytań. — Proszę.

Sięgnął za zmiętą poduszkę i podał mi rewolwer. Wszystkie komory były załadowane, nic nie wskazywało na to, że broń była ostatnio używana. Tak czy inaczej łuski, które znalazłem obok ciała bratanka Tony'ego, były średniego kalibru, prawdopodobnie trzydzieści dwa.

Zważyłem rewolwer w dłoni.

— Ładna broń.

— Taak. Własność klubu. Mam na nią pozwolenie.

Oddałem Tony'emu gnata. Skierował go lufą w dół i popatrzył wzdłuż niej. Mówił suchym głosem starca, budził przerażenie:

— Jak się kiedyś dowiem, kto zabił Gabrielle, oto co go

spotka. Nie będę czekał, aż przekupne gliny mnie wyręcżą. — Nachylił się i bardzo lekko klepnął mnie lufą w ramię: — Pan jesteś detektywem, znajdź mi tego, co zabił moją córkę. Oddam wszystko: pieniądze z banku, ponad tysiąc dolarów, bo nic teraz nie wydaję. Działkę na plaży ze spłaconą hipoteką.

— I niech wszystko zostanie na swoim miejscu. Odłóż broń, Tony.

— Byłem artylerzystą w pierwszej wojnie światowej. Umiem się obchodzić z bronią.

— Udowodnij mi to. Zbyt wielu ludzi podskoczyłoby z radości, gdybym przez przypadek dostał kulkę w łeb.

Tony wsunął rewolwer pod poduszkę i wstał.

— Już za późno, co? Prawie dwa lata, szmat czasu. Nie interesuje pana szukanie wiatru w polu, ma pan inne sprawy.

— Bardzo mnie interesuje. Właśnie o tym chciałem z panem pomówić.

— To się chyba nazywa koincydencja, he? — Tony z dumą użył trudnego słowa.

— Ja nie wierzę w koincydencje. Jeśli się je rzetelnie prześledzi, zwykle wychodzi na jaw, że coś się za nimi kryje. A ja jestem prawie pewny, że właśnie tak było w tym wypadku.

— Ma pan na myśli Gabrielle, Manuela i blondynkę? — spytał powoli Tony.

— A także pana i nie tylko. Wszystko razem do siebie pasuje.

— I nie tylko?

— Nie będziemy w to teraz wnikać. Co powiedzieli panu gliniarze po śmierci Gabrielle?

— Że nie ma dowodów. Pokręcili się parę dni i zamknęli sprawę. Coś tam bąkali o rabunku, ale nie wiem. Jaki rabuś zabija dziewczynę dla siedemdziesięciu pięciu centów?

— Czy została zgwałcona?

Antracytowe oczy jakby pokryły się kurzem. Mięśnie na twarzy wybrzuszyły się niczym orzechy w skórzanej torbie. Dostrzegłem u Tony'ego ślady bojowej pasji, która w podeszłym wieku jak na boksera pozwoliła mu wytrzymać sześć rund w walce z Armstrongiem.

— Nie było gwałtu — odparł z wysiłkiem. — Lekarz od autopsji powiedział, że w nocy była z mężczyzną. Nie chcę o tym gadać. Proszę.

Tony schylił się i wyciągnął walizkę spod łóżka. Otworzył ją i zaczął gmerać pod koszulami. Po chwili wyprostował się, dysząc ciężko; w rękę trzymał magazyn z pozaginanymi rogami.

— Niech pan czyta — rzekł ostro.

Był to zbiór sensacyjnych opisów prawdziwych zbrodni. W artykule zatytułowanym: „Zamordowanie zgwałconej dziewczyny” opisano śmierć Gabrielle Torres. Znalazły się w nim zdjęcia dziewczyny i jej ojca, między innymi reprodukcja tego, które wisało na ścianie klatki. Inne przedstawiało Tony'ego w czasie rozmowy z policjantem w cywilnym ubraniu; podpis głosił, że jest to zastępca szeryfa Theodore Marfeld. Zauważyłem, że Marfeld bardzo się postarzał od marca ubiegłego roku. Przeczytałem:

Była pachnąca wiosenna noc w Malibu, centrum rozrywki stolicy filmu. Jednak ciepły wiatr pchający fale ku brzegowi nie radował Tony'ego Torresa, byłego boksera wagi lekkiej, a obecnie stróża w ekskluzywnym Channel Club. Niełatwo było go przestraszyć w ringu, lecz tej nocy Tony niepokoił się o swoją nastoletnią córkę Gabrielle.

Dlaczego nie wraca? — powtarzał Tony. Obiecała, że będzie w domu najpóźniej o północy. Minęła trzecia, potem czwarta, a Gabrielle wciąż nie było. Tani budzik Tony'ego

tykał nieubłaganie. Fale uderzające o brzeg nieopodal jego skromnego nadmorskiego domku brzmiały w jego uszach jak głos samego przeznaczenia...

Straciłem cierpliwość do banałów i kwiecistych sformułowań świadczących o tym, że autor nie ma wiele do powiedzenia. Nie myliłem się. Reszta artykułu, którą przejrzałem w pośpiechu, ubrana w pseudopoetycką formę, zawierała bardzo mało faktów.

Gabrielle miała złą opinię. W jej życiu był jakiś niewymieniony z nazwiska mężczyzna. W ciele znaleziono nasienie oraz dwie kule. Pierwsza spowodowała powierzchowną ranę w udzie i silne krwawienie. Wynikało z tego, że pomiędzy wystrzeleniem pierwszego i drugiego pocisku upłynęło co najmniej kilkanaście minut. Druga kula weszła przez plecy i między żebrami dotarła aż do serca.

Oba pociski były kalibru dwadzieścia dwa i zostały wystrzelone z tego samego długolufowego rewolweru, którego nie znaleziono. Tak stwierdzili policyjni eksperci od balistyki. Artykuł kończyło zdanie Theodore'a Marfelda: „Trzeba chronić nasze córki. Zamierzam rozwiązać zagadkę tej makabrycznej zbrodni, nawet jeśli miałbym poświęcić na to resztę życia. W tej chwili nie mam żadnych konkretnych poszlak”.

Spojrzałem na Tony'ego.

— Miły gość z tego Marfelda.

— Taak. — Tony wychwytił ironię w moim głosie. —
Zna go pan?

— Owszem, miałem okazję go poznać.

Wstałem. Tony wyjął mi z ręki gazetę, cisnął ją do walizki i kopniakiem wsunął walizkę pod łóżko. Sięgnął do sznurkowego wyłącznika i pociągnął. Dotknięty żalobą pokoik utonął w ciemności.

ROZDZIAŁ 19

Wszedłem na górę i ruszyłem galerią do gabinetu Bassetta. Wciąż go nie było. Chciałem się napić. Pod zadaszaniem wielkiego dziedzica tancerze ślizgali się po nawoskowanej posadzce w takt muzyki granej przez zdziesiątkowaną orkiestrę. Zespół Jeremy Crane and His Joy Boys był prawdziwą legendą. Smutne oczy muzyków wpatrywały się w białe prostokąty z nutami. Grali melancholijny kawałek Gershвина Someone to Watch Over Me.

Moja przyjaciółka, której biodra nie chciały się kołysać, tańczyła z wiecznym kawalerem, amatorem fotografii. Na jej cieniutkiej prawej ręce błyszczały diamenty. Nie spodobało mu się, kiedy odbiłem mu partnerkę, ale odszedł z godnością.

Miała na sobie suknię w tygrysie pasy z wąskim dekoltem i rozszerzającą się spódnicę, która do niej nie pasowała. Tańczyła drapieżnie. Miotła się, jakby przywykła do prowadzenia. Tańczyliśmy z uprzejmą intensywnością niczym zmagający się zapaśnicy, nie tracąc oddechu na słowa.

— Nazywam się Lew Archer — powiedziałem na koniec. — Mogę z tobą porozmawiać?

— Czemu nie?

Usiedliśmy przy stoliku z marmurowym blatem, oddzielnym od basenu taflą szkła.

— Przyniosę ci drinka — zaproponowałem.

— Dziękuję, nie piję. Nie jesteś członkiem klubu ani regularnym gościem Simona Graffa. Pozwól, że zgadnę. — Dotknęła spiczastego podbródka, błyskając diamentami. — Dziennikarz?

— Zgaduj dalej.

— Policjant?

— Albo jesteś bardzo spostrzegawcza, albo tak łatwo mnie rozszyfrować.

Przyjrzała mi się spod opuszczonych powiek i uśmiechnęła się wąskimi ustami.

— Nie jesteś łatwy do rozszyfrowania. Ale zapytałeś mnie o Hester Campbell. Pomyślałam więc, że możesz być policjantem.

— Nie bardzo rozumiem.

— Doprawdy? W takim razie dlaczego się nią interesujesz?

— Obawiam się, że nie mogę powiedzieć. To tajemnica.

— Czemu jest poszukiwana? Za kradzież?

— Nie powiedziałem, że jest poszukiwana.

— A powinna być, bo to złodziejka — oznajmiła z lekko zjadliwym uśmiechem. — Okradła mnie. Latem zeszłego roku zostawiłam portfel w szatni. Było wcześniej rano, z wyjątkiem personelu nikogo nie było, więc nie chciało mi się zamykać szatni. Poskakałam trochę, wzięłam prysznic, a kiedy zaczęłam się ubierać, okazało się, że portfel zniknął.

— Skąd wiesz, że to Hester go zabrała?

— Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Widziałam, jak prześlizguje się korytarzem obok łazienki tuż przed tym, jak zauważyłam jego zniknięcie. Uśmiechała się

z poczuciem winy i trzymała w dłoni ręcznik, w który coś było zawinięte. Nie dałam się nabrać. Poszłam do niej od razu i zapytałam wprost. Oczywiście wyparła się, ale widziałam kłamstwo w jej oczach.

— Kłamstwo w oczach to słaby dowód.

— To nie wszystko. Inni członkowie klubu też padli ofiarą kradzieży i tak się składa, że panna Campbell zawsze tu wtedy była. Wiem, że to brzmi, jakbym była uprzedzona, ale nie jestem. Zrobiłam wszystko, żeby pomóc tej dziewczynie. Kiedyś uważałam ją prawie za swoją podopieczną, więc dość mocno odczułam, kiedy przyłapałam ją na kradzieży. W portfelu było ponad sto dolarów, prawo jazdy i klucze, które trzeba było wymienić.

— Mówisz, że ją przyłapałaś.

— W istocie tak. Do niczego się nie przyznała, rzecz jasna. Przez ten czas zdążyła gdzieś schować portfel.

— Zgłosiłaś kradzież? — spytałem niezamierzenie ostrym tonem.

Kobieta zabębniła paznokciami o blat.

— Muszę powiedzieć, że nie spodziewałam się takiego przesłuchania. Udzielałam ci informacji dobrowolnie i robię to bez złośliwości. Ty nie rozumiesz, że lubiłam Hester. Nie miała szczęścia w dzieciństwie i było mi jej żal.

— A więc nie zgłosiłaś kradzieży.

— Nie zgłosiłam jej policji. Powiedziałam Bassettowi, ale na nic się to zdało. Ona całkowicie zamydliła mu oczy. Nie mógł uwierzyć, że Hester może zrobić coś złego, dopóki jego samego to nie spotkało.

— Co go spotkało?

— Hester go okradła — odparła moja rozmówczyni z odzieniem wyrozumiałości. — Nie mogę przysiąc, że to zrobiła, ale jestem o tym przekonana. Panna Hamblin, sekretarka

Bassetta, jest moją przyjaciółką, więc to i owo usłyszałam. Pan Bassett był bardzo wstrząśnięty tego dnia, kiedy Hester odeszła. — Nachyliła się nad stołem; widziałem rowek między jej piersiami. — A panna Hamblin powiedziała mi, że tego samego dnia zmienił kombinację sejfów.

— Wszystko to są poszlaki. Czy Bassett zgłosił kradzież?

— Oczywiście, że nie. Nikomu nie wspomniał ani słowem. Za bardzo się wstydził, że go nabrała.

— Ty też nikomu nie wspomniałaś?

— Aż do dzisiaj.

— Dlaczego teraz to zrobiłaś?

Milczała; słychać było tylko stukanie palcami o blat. Dolna część jej twarzy ściągnęła się. Odwróciła głowę od światła, tak że nie widziałem jej oczu.

— Bo zapytałeś.

— Nie pytałem o nic konkretnego.

— Mówisz, jakbyś był jej przyjacielem. Jesteś nim?

— A ty?

Zakryła dłonią usta i część twarzy.

— Uważałam Hester za przyjaciółkę—odrzekła niewyraźnie. —Byłam gotowa wybaczyć jej nawet kradzież portfela. Ale zobaczyłam ją w zeszłym tygodniu w Myrin's. Podeszłam i chciałam zaproponować, żebyśmy zapomniaty o przeszłości, ale mnie zignorowała. Udała, że mnie nie zna. — Głos mojej rozmówczyni stał się głęboki i szorstki, jej dłoń zwinęła się w pięść.—Pomyślałam, że skoro jest taka nadziana, że stać ją na ciuchy z Myrin's, to może mi przynajmniej zwrócić sto dolarów.

— Potrzebujesz pieniędzy, prawda?

Raptownym ruchem dłoni odrzuciła sugestię, jakbym zarzucił jej słabość emocjonalną bądź chorobę.

— Ależ skąd. Chodzi o zasadę. — Po chwili zastanowienia dodała: — Ty mnie ani trochę nie lubisz, prawda?

Nie spodziewałem się tego pytania i nie miałem przygotowanej odpowiedzi. Moja rozmówczyni miała w sobie to osobliwe połączenie siły i złośliwości, które często cechuje zażadne samotne kobiety.

— Ty jesteś bogata, a ja nie — odparłem. — Pamiętam o tej różnicy. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Owszem. Nie rozumiesz tego. — Odśloniła oczy i mocno oparła się o krawędź stołu. — Tu nie chodzi o pieniądze. Zdawało mi się, że Hester mnie lubi. Myślałam, że jest moją prawdziwą przyjaciółką. Uczyłam ją skakania, pozwalałam jej korzystać z basenu ojca. Kiedyś urządziłam nawet przyjęcie z okazji jej urodzin.

— Ile miała lat?

— Kończyła osiemnaście. Była wtedy najładniejszą dziewczyną na świecie i najbardziej uroczą. Nie mogę pojąć, co się stało z tym miłym dziewczęciem.

— To się przytrafia wielu ludziom.

— Czy ten przytyk jest adresowany do mnie?

— Do mnie. Do nas wszystkich. Może to z powodu oparów radioaktywnych.

Teraz jeszcze bardziej potrzebowałem drinka, przeprosiłem więc i powędrowałem do baru. Jedną część pomieszczenia zajmował półkolisty blat z mahoniem. Ściany udekorowano hollywoodzko-fowistycznymi malowidłami. Kilkadziesiąt par obrzucało się obelgami i zamawiało drinki u filipińskich barmanów. Były tam aktorki z otępiąłym i mętym spojrzeniem, przyszłe aktorki ze spojrzeniem pełnym wyczekiwania, zastępcy dyrektorów pojedynkujący się na słowa i spojrzenia, ich żony obserwujące się podejrzliwie mimo uśmiechów oraz wiele innych typów.

Usiadłem między nieznanymi, wydebiłem whisky z wodą od Filipińczyka w białym fartuchu i słuchałem. Goście byli

ludźmi kina, lecz większość ich rozmów obracała się wokół telewizji. Rozmawiali o mediach, czarnej liście, opłatach za drugą emisję, budżetach odcinków pilotażowych i o tym, co powiedzieli ich agenci. Przez gwar przebijało poczucie zawieszenia w próżni. Niektórzy nasłuchiwali odgłosów upadku. W ich oczach widziało się zapowiedź szarego poranka na kacu, gdy kumulują się wszystkie raty i topnieją możliwości. Mężczyzna siedzący po mojej prawej stronie wyglądał jak stary aktor, a przemawiał jak reżyser. Może był aktorem, który został reżyserem. Tłumaczył coś wstawionej blondynce o żabim głosie:

— To przydarza się akurat tobie, a nie komuś innemu. To ty jesteś zakochana w tej dziewczynie albo w tym chłopaku. Rzecz nie dotyczy dziewczyny na ekranie, tylko właśnie ciebie.

— Empatia i takie tam pierdoły — zarechotała beztrzesko dziewczyna. — Nie lepiej powiedzieć, że chodzi po prostu o seks?

— Nie tylko. Ale między innymi.

— W takim razie piszę się na to. Jeśli w grę wchodzi seks, ja w to wchodzę. Taka jest moja filozofia życiowa.

— I bardzo słusznie — zauważył drugi mężczyzna. — Seks i telewizja to opium dla mas.

— Myślałam, że opium dla mas to marihuana.

— Marihuana to marihuana dla mas.

Po mojej lewej stronie siedziała dziewczyna. Mignął mi jej profil: była młoda, ładna i miała cerę gładką jak szkło. Rozprawiała poważnie z mężczyzną siedzącym obok, starszącym się komikiem, którego widziałem w dwudziestu filmach.

— Mówiłeś, że podtrzymasz mnie, kiedy się potknę.

— Wtedy czułem się silniejszy.

— Obiecałeś, że ożenisz się ze mną, jeśli to się stanie.

— Masz dość rozumu, żeby nie traktować mnie poważnie. Zalegam z alimentami za dwa lata.

— Jesteś bardzo romantyczny, nieprawdaż?

— Łagodnie to określiłaś, skarbie. Ale mam odrobinę poczucia odpowiedzialności. Zrobię, co w mojej mocy, podam ci numer telefonu. Powiedz lekarzowi, żeby przysłał mi rachunek.

— Nie chcę żadnego parszywego telefonu. I nie chcę twojej brudnej forsy.

— Bądź rozsądna. Potraktuj to jak guz albo coś w tym rodzaju... jeśli to faktycznie istnieje. Jeszcze jednego drinka?

— Dla mnie kwas pruski — odparła tępo dziewczyna.

— Z wodą sodową?

Zostawiłem niedopitego drinka; potrzebowałem powietrza. Przy stoliku na dziedzińcu, pod zębatym cieniem bananowca siedział z żoną Simon Graff. Jego siwe włosy były wciąż ciemne i gładkie po kąpieli. Miał na sobie smoking, różową koszulę i szeroki pas. Jego żona była ubrana w niebieski płaszcz z nerek i czarną suknię ze złotymi dodatkami, które nie pasowały do reszty. Graff patrzył na nią i o czymś rozprawiał. Nie widziałem jej twarzy. Kobieta spoglądała na basen za przezroczystą ścianką.

Miałem w samochodzie mikrofon kontaktowy; poszedłem po niego. Samochodów było mniej niż na początku, ale pojawiło się auto Carla Sterna. Nie przyjrzałem się rejestracji.

Graff wciąż mówił, kiedy wróciłem do środka. W basenie nikt nie pływał, lecz fale nadal się unosiły, oświetlane przez podwodne światła. Ukryty przed Graffem za bananowcem, podsunąłem sznurkowe krzesło do ścianki i przycisnąłem mikrofon do szklanej tafli. Nie zawiodłem się.

— Tak, oczywiście, to wszystko moja wina — perorował Graff. — Jestem twoim osobistym bête norie i wyrażam głębokie ubolewanie.

— Proszę cię, Simon.

— Jaki Simon? Nie ma tu żadnego Simona. Jestem Mefistofeles Bête Norie, słynny łotr z piekła rodem. Nie! — rzucił ostro. — Pomyśl, Isobel, jeśli masz jeszcze czym myśleć. Pomyśl, co dla ciebie zrobiłem, ile zniósłem i dalej znoszę. Zastanów się, gdzie byś była, gdyby nie moje wsparcie.

— To ma być wsparcie?

— Nie będziemy się kłócić. Wiem, do czego dążysz i w jakim celu mnie atakujesz. — Głos Simona był gładki jak masło zroszone łzami. — Nacierpiałas się i chcesz, żebym ja też cierpiał. Ale ja odmawiam. Nie możesz mnie zmusić do cierpienia.

— Niech cię diabli — wyszeptła Isobel.

— Niech mnie diabli? Ile drinków wypiałas?

— Pięć, dziesięć albo dwanaście. Jakie to ma znaczenie?

— Wiesz, że nie wolno ci pić, że alkohol to dla ciebie śmierć. Mam wezwać doktora Freya i znów cię zamknąć?

— Nie! — Isobel była przestraszona. — Wcale nie jestem pijana.

— Ależ skąd. Jesteś aniołem trzeźwości. Wzorem do naśladowania dla Chrześcijańskiego Kobiecego Stowarzyszenia Trzeźwości, mens sana in corpore sano. Coś ci powiem. Nie zepsujesz mi przyjęcia, wybij to sobie z głowy. Jeśli nie będziesz się zachowywała, jak przystało na gospodynię, Toko odwiezie cię do domu.

— Może wolałbyś, żeby ona była gospodynią?

— Kto? O kim ty mówisz?

— O Hester Campbell. Nie wmawiaj mi, że się z nią nie spotykasz.

— Tylko służbowo. Jeśli wynajęłas detektywa, pożaluj się tego.

— Nie potrzebuję detektywa, mam swoje źródła informacji. Dom też dałeś jej służbowo? Ciuchy też kupiłeś służbowo?

— Co wiesz o domu? Byłaś w nim?

— Nie twoja sprawa.

— Moja sprawa. — Ostatnie słowo zasyczało w jego ustach jak para uciekająca z kotła. — Jak najbardziej moja. Byłaś dzisiaj w tym domu?

— Może.

— Odpowiedz, wariatko.

— Nie masz prawa tak do mnie mówić. — Zaczęła obzierać go obelgami niskim chrapliwym głosem. Miało się wrażenie, że coś w niej pęka i z tego pęknięcia wyłania się inna, bardziej gwałtowna osobowość.

Nagle wstała i ruszyła przez patio, krocząc między tancerzami, jak gdyby byli zjawami istniejącymi wyłącznie w jej umyśle. Wchodząc do baru, trąciła biodrem o futrynę.

Po chwili wyszła stamtąd drugimi drzwiami. Jej twarz mignęła mi w blasku podwodnych lamp. Była biała i emanował z niej strach. Może Isobel zlekła się ludzi. Obeszła płytszy koniec basenu, stukając szpilkami, i znikła za drzwiami cabaña.

Ruszyłem w tamtą stronę. Wieża do skoków połyskiwała na tle mgły wiszącej nad oceanem. Od klubu oddzielało go wysokie druciane ogrodzenie. Z zamkniętej na kłódkę bramy prowadziły na plażę betonowe schody. Przypiływy nadgryzły i skruszyły najniższe stopnie.

Oparłem się o słup bramy i zapaliłem papierosa. Musiałem osłonić dłońią zapalną przed strumieniem zimnego powietrza napływającym od wody. Chłodny podmuch i wiszące w górze ciężkie chmury tworzyły złudzenie, że stoję na dziobie statku sunącego wolno w mglistą ciemność.

ROZDZIAŁ 20

Gdzieś z tyłu głośno krzyknęła kobieta. Odpowiedział jej jeszcze głośniejszy krzyk mężczyzny. Odwróciłem się i spojrzałem na opustoszały, jasno oświetlony basen. Dwoje ludzi stało obok siebie na granicy światła, tak blisko, że wyglądali jak jedna ciemna bezkształtna postać. Znajdowali się przy dalszym końcu galerii, może ze czterdzieści jardów ode mnie, lecz ich głosy niosły się wyraźnie po wodzie.

— Nie! — powtórzyła kobieta. — Oszalałeś. Nie zrobiłam tego.

Ruszyłem w ich stronę, trzymając się w cieniu.

— To nie ja oszalałem — rzekł mężczyzna. — Oboje dobrze wiemy, komu tu odbiło, skarbie.

— Daj mi spokój. Nie dotykaj mnie.

Rozpoznałem głos Isobel Graff. Nie wiedziałem, kim jest mężczyzna.

— Ty suko. Ty podła suko. Dlaczegoś to zrobiła? W czym on ci zawinił?

— Nie zrobiłam tego. Zostaw mnie, bydlaku.

Użyła jeszcze innych wyrazów odnoszących się do jego pochodzenia i świadczących o bogactwie jej słownictwa.

Mężczyzna odpowiedział niskim, niewyraźnym głosem. Nie zrozumiałem słów, ale wychwyciłem akcent z Lower East Side. Po chwili znalazłem się bliżej. Był to Carl Stera.

Wydał dźwięk przypominający miaukliwe warczenie kota i spoliczkował ją dwa razy, bardzo mocno. Isobel sięgnęła do jego twarzy zakrzywionymi palcami. Złapał ją za nadgarstki. Futro z norek zsunęło się z jej ramion i opadło na beton niczym bezgłowe zwierzę. Zerwałem się do biegu.

Stern odepchnął ją od siebie. Isobel uderzyła ciężko o drzwi cabaña i osunęła się na posadzkę. Pochylił się nad nią. Zielonkawe światło z basenu tworzyło nad jego głową okrutną brązową otoczkę.

— Czemu go zabiłaś?

Isobel otworzyła usta, zamknęła je, a potem znów otworzyła, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jej uniesiona ku górze twarz przypominała zrytą kraterami tarczę księżycy. Pochylił się nad nią w niemej furii, tak pochłonięty, że nie zauważał mojej obecności, dopóki go nie uderzyłem.

Natarłem na niego ramieniem, przygwoździłem ręce i sprawdziłem, czy nie ma broni. Był czysty. Wierzgał i parskał jak koń, jego mięśnie napięły się pod moimi ramionami. Kopał mnie w tydki, deptał po palcach i próbował ugryźć mnie w ramię.

Puściłem go, a gdy się obrócił, rąbnąłem go prawą pięścią w szczękę. Nie lubię mężczyzn, którzy używają w walce zębów. Zakreśliło nim i runął twarzą do ziemi. Sięgnął ręką pod nogawkę. Wstał i odwrócił się błyskawicznie. Jego oczy wyglądały jak czarne gwoździe, na których wisiała zmięta twarz. Biała linia otaczająca usta zakrzywiała się koło czarnych

nozdrzy, teraz rozszerzających się niczym druga para oczu. Na poziomie bioder trzymał w dłoni czterocalowy nóż, który nosił przy nodze.

— Odłóż to, Stern.

— Wypruję ci flaki — wycedził głosem przypominającym zgrzyt zgniatanego metalu.

Nie czekając na jego ruch, błyskawicznie uderzyłem go prawą ręką w twarz. Zachwiał się, a prawa strona jego szczęki powędrowała na spotkanie mojej lewej pięści. Ta kombinacja oznaczała koniec walki. Stern chwiał się jeszcze przez chwilę, a potem zwałił się na posadzkę. Nóż błysnął i zadźwięczał na betonie. Podniosłem go i zamknąłem.

W galerii rozległ się odgłos stóp. Clarence Bassett truchtał, dysząc w przyspieszonym tempie. Jego koszula była mokra od potu.

— Co tu się dzieje?

— Kocie zapasy. Nic poważnego.

Bassett pomógł pani Graff wstać. Oparła się o ścianę i poprawiła pończochy, które jej się przekreśliły na nogach. Bassett podniósł futro, ostrożnie przesuwając po nim dłońmi, jak gdyby było równie ważne jak właścicielka.

Carl Stern wstał, oszołomiony, i spojrzał na mnie z tępa nienawiścią.

— Coś ty za jeden?

— Nazywam się Archer.

— Prywatny detektyw, hę?

— Prywatny detektyw i wróg damskich bokserów.

— Rycerskie maniery, co? Będziesz sobie za to pluł w brodę, Archer.

— Nie sądzę.

— A ja tak. Mam wielu przyjaciół. I sporo kontaktów. Jesteś skończony w Los Angeles. Zapamiętaj to sobie.

— Daj mi to na piśmie. Zresztą miałem już dość tutejszego smogu.

— Skoro mowa o kontaktach, to nie jest pan członkiem klubu — rzekł cicho Bassett do Sterna.

— Jestem gościem jednego z członków. Ty też zostaniesz przeczolągany.

— Ojej. Ale będzie zabawa. A kto pana zaprosił?

— Simon Graff. Chcę się z nim zobaczyć. Gdzie on jest?

— Nie będziemy teraz fatygować pana Graffa. Mogę coś zasugerować? Robi się późno, dla niektórych zbyt późno. Nie uważa pan, że lepiej byłoby opuścić teren klubu?

— Nie spełniam poleceń kamerdynerów.

— Doprawdy? — Bassett wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale jego oczy pozostały smutne. Odwrócił się do mnie.

— Przyłóż ci jeszcze raz, Stern? — spytałem. — Zrobię to z przyjemnością.

Stern gapił się na mnie przez dłuższą chwilę, w jego szklistych oczach tańczyły czerwone ogniki. Wreszcie zgasły.

— Dobrze, wyjdę — powiedział. — Oddaj mi nóż.

— Jeśli obiecasz, że poderżniesz nim sobie gardło.

Znów chciał wpaść w furję, ale zabrakło mu sił. Nie wyglądał zdrowo. Rzuciłem mu złożony nóż. Złapał go, wsunął do kieszeni płaszcza, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Potknął się kilka razy. Bassett pomaszerował za nim w pewnej odległości niczym czujny policjant.

Pani Graff usiłowała otworzyć kluczem drzwi cabaña, ale nie mogła opanować drżenia rąk. Pomogłem jej i zapaliłem światło padające od spodu z czterech ścian na zwisającą z sufitu brązową sieć rybacką. Sala była urządzona w stylu prymitywnych ludów wysp Pacyfiku: w oknach wisiały żaluzje z rozszczepionych kijów bambusowych, na podłodze leżały maty z trawy, a umeblowanie stanowiły ratanowe

Fotele i leżanki. Nawet barek w kącie był zrobiony z ratanu. Dwoje drzwi z żaluzjami prowadziło do przebieralni. Na ścianach wisiały płachty tkaniny z kory drzew oraz reprodukcje obrazów Le Douaniera w bambusowych ramach.

Jedynym fałszywym akcentem był plakat reklamowy biura podróży w jaskrawych kolorach, reklamujący Niceę. Pani Graff stanęła przed nim i powiedziała, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

— Mamy willę w pobliżu Nicei. Ojciec dał ją nam w prezencie ślubnym. Simon, był wtedy za, na całej linii. Cały za mną i za wszystkim. — Zaśmiała się bez powodu. — A teraz nawet nie zabiera mnie ze sobą do Europy. Mówi, że zawsze sprawiam kłopoty, kiedy się gdzieś razem wybieramy. Nieprawda, jestem cicha jak myszka. On lata sobie nad biegunami, a mnie zostawia tutaj, żebym gniała w upale i mrozie.

Ścisnęła głowę dłońmi i trwała w tej pozycji dłuższą chwilę. Włosy wysuwały się spomiędzy jej palców niczym czarne potargane pióra. Cichy ból, z którym się zmagала, był głośniejszy od krzyku.,

— Dobrze się pani czuje, pani Graff?

Dotknąłem jej pleców. Odsunęła się, zerwała z siebie futro i cisnęła je na łóżko. Miała olśniewające plecy i ramiona, a jej pierś wysunęła się z sukienki jak dojrzały owoc. Obejmowała się rękami z niezręcznością i dumą pomieszaną ze wstydem niczym młoda dziewczyna, która nagle uświadomiła sobie potrzeby swojego ciała.

— Podoba się panu moja sukienka? Nie jest nowa. Od lat nie byłam na żadnym przyjęciu. Simon już mnie nie zabiera.

— Wredny stary Simon — odparłem. — Dobrze się pani czuje, pani Graff?

Odpowiedziała mi z uśmiechem aktorki, który nie licował z nieruchomą górną częścią twarzy i rozpaczą w oczach:

— Cudownie. Po prostu cudownie.

Wykonała kilka tanecznych kroków, rozłożywszy szeroko ramiona i strzelając z palców. Na jej białych przedramionach pojawiły się siniaki wielkości winogron. Tańczyła mechanicznie. Potknęła się i jeden ze złotych pantofli zsunął jej się z nogi. Zamiast go włożyć, strząsnęła drugi. Usiadła na stołku przy barze, poruszając obleczoneymi w pończochę stopami, ściskając nogi i ocierając jedną o drugą. Wyglądały jak ślepe zwierzątka ukradkiem uprawiające miłość pod rąbkiem jej spódnicy.

— Nawiasem mówiąc, całkiem przez przypadek panu nie podziękowałam. Niniejszym dziękuję.

— Za co?

— Za ocalenie mnie od losu gorszego niż śmierć. Ten wstrętny mały handlarz narkotyków mógł mnie zabić. Ma strasznie dużo siły. — Po chwili dodała z niechęcią: — Oni ponoć nie są silni, prawda?

— Kto? Handlarze narkotyków?

— Pedały. Wszyscy pędzie są podobno cherlawi. Tak jak wszystkie łobuzy to tchórze, a wszyscy Grecy to restauratorzy. Ale to nie jest dobry przykład. Mój ojciec był Grekiem, choć pochodził z Cypru, i prowadził restaurację w Newark. Z małych żołądźi wyrastają wielkie dęby. Cuda współczesnej nauki. Od zatłuszczonej łyżki w Newark do bogactwa i dekadencji w ciągu jednego pokolenia. Przyspieszenie, automatyzacja.

Rozejrzała się po obcym pomieszczeniu.

— Mógł zostać na Cyprze. Co mi z tego przyszło? Wylądowałam na terapii, lepiąc garnki i tkając dywaniki jak jakaś żałosna chałupniczka. Tyle tylko, że ja za to płacę. Zawsze ja płacę.

Odniosłem wrażenie, że lepiej kontaktuje, więc zapytałem:

— Mówienie też zawsze bierze pani na siebie?

— Za dużo mówię? — Znów obdarzyła mnie szerokim jasnym uśmiechem. Wyglądało to tak, jakby usta nie mogły zasłonić uzębienia. — Czy chociaż mówię z sensem, na litość boską?

— Od czasu do czasu, na litość boską.

Uśmiech stracił nieco na intensywności, ale stał się bardziej autentyczny.

— Przepraszam, czasem jestem gadułą, słowa padają i wcale nie znaczą tego, co chcę. Tak jak u Jamesa Joyce'a, z tą różnicą, że mnie się to po prostu przydarza. Wie pan, że jego córka miała schizę? — Nie poczekała na odpowiedź. — Czasem mówię z sensem, a czasem bez. — Wyciągnęła upstrzoną sińcami rękę. — Niech pan siada, napije się i powie mi, kim jest. Archer — powtórzyła w zamyśleniu, lecz jej nie zainteresowałem. Wspomnienia płonęły w niej niczym ogień na zmiennym wietrze. — Ja też nie jestem nikim szczególnym, choć kiedyś myślałam inaczej. Mój ojciec nazywał się Peter Heliopoulos, tak w każdym razie się przedstawiał, ale jego nazwisko było dłuższe i o wiele bardziej skomplikowane. Byłam księżniczką, ojciec tak mnie nazywał. — Tak więc teraz... — jej głos zafalszował — tani hollywoodzki handlarz narkotyków może mną pomiatać i ujdzie mu to na sucho. Za czasów mojego ojca obdarliby go żywcem ze skóry. A co robi mój mąż? Prowadzi z nim interesy. Są jak papużki nierozłączki, zrosnięte mózgam.

— Ma pani na myśli Carla Sterna?

— A kogóż by innego?

— Jakie interesy prowadzi?

— Takie, jakie prowadzi się w Las Vegas, czyli hazard

i łądaczanie się. Ja nigdy tam nie jeżdżę. W ogóle nigdzie nie jeżdżę.

— Skąd pani wie, że Stern handluje narkotykami?

— Sama kupowałam od niego prochy, kiedy zabrakło mi lekarzy: żółte tabletki, demerol i te małe z czerwonym paskiem. Ale teraz nie biorę. Wróciłam do trunków. To jedyne, co dla mnie zrobił doktor Frey. — Skupiła wzrok na mojej twarzy i rzekła niecierpliwie: — Nie wziął pan sobie drinka. Proszę sobie nalać i mnie też.

— Myśli pani, że to dobry pomysł?

— Proszę nie mówić do mnie jak do dziecka. Nie jestem pijana. Potrafię utrzymać szklankę w dłoni. — Szeroki uśmiech nie schodził z jej twarzy. — Kłopot ze mną polega na tym, że jestem trochę narwana. Ale nie w tym momencie. Chwilę byłam trochę skołowana, ale pan podział na mnie jak balsam. Milusi, milusi, milusi. — Przedrzeźniała samą siebie.

— Jak miło.

— Ano miło. Niech się pan ze mnie nie śmieje. Wpadam w złość, kiedy ludzie natrzęsają się z mojej godności. Może w tej chwili się nakręcę, nie wiem, ale jeszcze nie wystartowałam. Do lotu nad biegunem, w dziką czarną czeluść — dodała cierpko.

— Brawo.

Isobel skinęła głową.

— Odezwała się moja sensowna strona, nieprawdaż? Ale w gruncie rzeczy jest inaczej. Kiedy to się dzieje, wcale nie przypomina lotu, startu ani lądowania. Wszystko inaczej odczuwam i nie dostrzegam różnicy między mną i tym, co wokół mnie. Tak jak po śmierci ojca, gdy zobaczyłam go w trumnie i przeżyłam pierwsze załamanie. Zdawało mi się, że to ja leżę w tej trumnie. Czułam się jak trup, moje ciało

było zimne. W żyłach krążył mi płyn balsamujący, wyczuwałam swoją woń. Jednocześnie leżałam martwa w trumnie i siedziałam w ławce w cerkwi, opłakując własną śmierć. A kiedy go zakopali, słyszałam, jak ziemia spada na trumnę, a potem zamieniłam się w tę ziemię. Złapała mnie za rękę i trzymała, drżąc.

— Proszę nie pozwalać mi tyle mówić. To mi szkodzi. Wtedy niemal zesłam.

— Dokąd pani się udała?

— Do przebieralni. — Puściła moją dłoń i wskazała drzwi z żaluzją. — Przez chwilę byłam tam w środku, obserwowałam nas przez drzwi i wsłuchiłam się w siebie. Niech mi pan naleje drinka. To mi dobrze robi, naprawdę. Szkocka z wodą sodową.

Wszedłem za bar, wyjąłem parę kostek lodu z małej beżowej lodówki, otworzyłem butelkę johnnie walkera i zrobiłem dwa średnio mocne drinki. Poczułem się wygodnie po niewłaściwej stronie baru. Isobel wytręcała mnie z równowagi, tak jak wytręca z równowagi widok głodnego dziecka albo zranionego ptaka. Wydawało mi się, że balansuje na granicy hysterii. Na dodatek zdawała sobie z tego sprawę. Bałem się powiedzieć cokolwiek, co mogłoby ją strącić z krawędzi.

Uniosła szklanę. Brązowy trunek zakotłosał się w jej bezustannie drżącej dłoni. Ledwie zamoczyła w nim usta, jak gdyby chciała pokazać, że się kontroluje. Upiłem łyk i pochyliłem się nad blatem w pozycji barmana chętnego nadstawić uszu.

— O co poszło, Isobel?

— Ze Sternem?

— Tak. Zachowywał się dość brutalnie.

— Poturbował mnie — odparła spokojnie. Smak whisky zmienił jej nastrój, tak jak zetknięcie z kwasem zmienia na

niebieski kolor papierka lakmusowego. — Łatwo robią mi się siniaki, to godny odnotowania fakt medyczny. — Pokazała ręce. — Założę się, że całe ciało mam w sińcach.

— Czemu Stern tak się zachowywał?

— Tacy jak on są sadystami, wielu z nich.

— A pani zna wielu takich jak on?

— Znam paru. Najwyraźniej ich przyciągam, nie wiem czemu. A może wiem. Kobiety takie jak ja nie oczekują zbyt wiele. Ja nie oczekuję niczego.

— Lance Leonard jest jednym z nich?

— Skąd mam wiedzieć? Pewnie tak. Prawie nie znałam tego chłystka.

— Pracował tu kiedyś jako ratownik.

— Nie zadaję się z ratownikami — odparła szorstko. — O co ci chodzi? Myślałam, że będziemy przyjaciółmi, że będzie wesoło. W ogóle nie mam rozrywki.

— Już nie.

Isobel to nie rozbawiło.

— Zamykają mnie i karzą, to nie w porządku. Zrobiłam w życiu jedną straszną rzecz, a teraz obwiniają mnie o wszystko. Stern to podły kłamca. Nie dotknęłam jego kochasia, nawet nie wiedziałam, że nie żyje. Czemu miałabym go zastrzelić? Mam już dość na sumieniu.

— Co na przykład?

Popatrzyła na mnie. Jej twarz była nieruchoma jak tablica.

— Podpuszczasz mnie, co? Chcesz ze mnie coś wyciągnąć?

— Właśnie tak. Co takiego strasznego zrobiłaś?

Z twarzą Isobel stało się coś dziwnego. Jedno oko się zmrużyło, a drugie rozszerzyło. Uniosła wargę i błysnęła białymi zębami.

— Jestem bardzo, ale to bardzo niegrzeczną dziewczynką — oznajmiła. — Patrzyłam, jak to robią. Stałam za drzwiami

i patrzyłam. Cuda współczesnej nauki. A ja tam byłam i patrzyłam.

— Co zrobiłaś?

— Zabiłam swoją matkę.

— W jaki sposób?

— Pragnieniem — odparła chytrze Isobel. — Życzyłam matce śmierci. Czy to wyczerpuje listę pytań, panie ankieterze? Jesteś psychiatrą? Simon cię wynajął?

— Obie odpowiedzi brzmią: nie.

— Ojca też zabiłam. Złamałam mu serce. Opowiedzieć ci o innych zbrodniach? To cały dekalog. Zazdrość, zawiść, duma, pożądanie i gniew. Siedziałam w domu i planowałam, jak go zabiję: przez powieszenie, spalenie, utopienie, otrucie, strzałem z pistoletu. Siedziałam i wyobrażałam go sobie z młodymi dziewczętami, widziałam ich ciała i machające w powietrzu białe nogi. Siedziałam w domu i próbowałam zjednywać sobie mężczyzn. Nigdy nie wychodziło. Męczyło ich zimno albo gorąco, albo ich odstraszałam. Jeden powiedział, że go przerażam, parszywy mały skurwiel. Wypijali moją gorzałę i nigdy więcej się nie pokazywali. — Isobel upiła drugi łyk. — No, wypijże tego drinka — powiedziała do mnie.

— Ty wypij swojego. Zawiozę cię do domu. Gdzie mieszkasz?

— Niedaleko stąd, na plaży. Ale nie pojedę do domu. Nie zmusisz mnie przecież, prawda? Tak dawno nie byłam na balu. Chodźmy potańczyć. Wyglądam okropnie, ale dobrze tańczy.

— Jesteś piękna, ale ja tańczę okropnie.

— Jestem brzydka — odparła. — Nie kpilij ze mnie. Wiem, jaka jestem brzydka. Taka się urodziłam i nikt mnie nigdy nie kochał.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Simon Graff. Miał kamienną twarz.

— Isobel! Co to za noc Walpurgii? Co ty wyprawiasz?

Zareagowała powoli, niemal odmierzając ruchy. Odwróciła się i wstała ze stołka. Jej ciało było napięte i wyzywające. Szklanka trzęsła się w jej dłoni.

— Co ja wyprawiam? Dzielę się swoimi sekretami. Opowiadam przyjacielowi swoje cenne brudne sekrety.

— Ty idiotko. Jedziemy do domu.

Graff zrobił kilka kroków w jej stronę. Cisnęła szklanką w jego głowę. Chybiła i szklanka rozbiła się o ścianę. Trochę płynu przysnęło mu na twarz.

— Wariatka — skwitował Graff. — Pojedziesz ze mną do domu. Zadzwońię po doktora Freya.

— Nie muszę z tobą jechać. Nie jesteś moim ojcem. — Odwróciła się do mnie. Przebiegłość wciąż wykrzywiła jej twarz. — Muszę z nim jechać?

— Nie wiem. Jest twoim prawnym opiekunem?

— Tak, jestem — odparł Graff. — A ty się nie wtrącaj.

— Spojrzał na Isobel. — Jeśli ode mnie uciekniesz, czekają cię same nieszczęścia. I nie tylko ciebie. Będziesz raz na zawsze zgubiona. — W jego głosie pojawił się nowy ton — majestatu, mroku i pustki.

— Teraz jestem zgubiona. Jak bardzo kobieta może się zgubić?

— Dowiesz się tego, Isobel, jeśli ze mną nie pójdziesz i nie będziesz posłuszna.

— Svengali — rzuciłem. — Starocie.

— Nie mieszaj się do tego, ostrzegam. — Poczulem na twarzy jego lodowate spojrzenie. — Ta kobieta jest moją żoną.

— Szczęściara z niej.

— Coś ty za jeden?

Powiedziałem mu.

— Co tu robisz? Skąd się wzięłeś na przyjęciu?

— Obserwowałem faunę.

— Oczekuję precyzyjnej odpowiedzi.

— Spróbuj zapytać innym tonem, to może się docze-
kasz. — Obszedłem bar i stanąłem obok tych dwojga. — Ci
wszyscy potakiwacze, którymi się otaczasz, strasznie cię
rozpieścili. Tak się składa, że nie jestem jednym z nich.

Spojrzał na mnie zaszokowany. Może nikt od lat mu się
nie postawił. Przypomniawszy sobie, że powinien być wście-
kły, i odwrócił się do żony.

— Czy on z tobą przyszedł?

— Nie — odparła z lękiem. — Myślałam, że jest jed-
nym z twoich gości.

— Co robi w cabaña?

— Zapropnowałam mu drinka. Pomógł mi. Pewien
człowiek mnie uderzył. — Isobel mówiła monotonnym
głosem z nutką skargi.

— Kto cię uderzył?

— Twój kumpel Carl Stern — odparłem. — Spoliczko-
wał ją i pchnął na drzwi. Wyrzuciliśmy go z Bassettem.

— Ty go wyrzuciłeś? — niepokój Graffa, zmieniony w
gniew, skierował się na jego żonę. — I ty na to pozwoliłaś?

Isobel zwiesiła głowę i przyjęła brzydką postawę na
jednej nodze, jak dziewczynka przed nauczycielem.

— Nie słyszałeś, co powiedziałem, Graff? A może zbi-
rom wolno poniewierać twoją żonę?

— Opiekuję się żoną po swojemu. Ona ma zaburzenia
psychiczne, czasem trzeba ją szorstko potraktować. Nie
jesteś tu potrzebny. Wynoś się.

— Najpierw skończę drinka. Dziękuję. — Po chwili do-
dałem mimochodem: — Co zrobiliście z George'em Wal-
lem?

— Z jakim Wallem? Nie znam żadnego Walla.

— Twoi siepacze go znają: Frost, Marfeld i Lashman. Nazwiska obudziły jego zainteresowanie.

— Kim jest George Wall?

— Mężem Hester.

— Nie mam znajomej o tym imieniu.

Żona spojrzała nań przelotnie, ale nic nie powiedziała. Spróbowałem przygwoździć i sparaliżować Graffa moim najtwardszym spojrzeniem, ale na próżno. Jego oczy były jak dziury wywiercone w murze: za nimi ziała tylko wielka mętna pustka.

— Łżesz, Graff.

Jego twarz zrobiła się purpurowa, a później biała. Podszedł do drzwi i drżącym głosem zawołał Bassetta. Kiedy ten się zjawił, rzekł:

— Wyrzuć tego człowieka. Nie lubię, jak obcy wdzierają się na imprezę...

— Pan Archer się nie wdarł — odparł beznamiętnie Basset.

— To twój przyjaciel?

— Tak, uważam go za przyjaciela. Od niedawna, tak to ujmijmy. Pan Archer jest detektywem, prywatnym detektywem, którego wynająłem z powodów osobistych.

— Co to za powody?

— Jakiś narwaniec groził mi wczoraj wieczorem. Zatrudniłem pana Archera, żeby zbadał tę sprawę.

— Wy tłumacz mu więc, żeby dał spokój moim przyjaciołom. Carl Stern to mój znajomy, należy go traktować z szacunkiem.

Oczy Bassetta zwilgotniały, ale nie dał się nastraszyć.

— A ja jestem kierownikiem tego klubu. I póki nim jestem, decyduję o standardach zachowania, które obowiązują gości. Bez względu na to, czyimi są przyjaciółmi.

Isobel Graff, która siedziała na futrze i szczypała włosie, zaśmiała się piskliwie. Graff zacisnął pięści przy boku i zaczął się trząść.

— Wynoście się stąd, obaj.

— Chodźmy, Archer. Dajmy panu Graffowi szansę przypomnienia sobie o dobrych manierach.

Bassett był błądny ze strachu, ale wytrzymał. Nie podejrzewałem, że go na to stać.

ROZDZIAŁ 21

Poszliśmy do jego gabinetu. Bassett kroczył jak żołnierz, sztywno, z wysoko uniesionymi ramionami. Wydawało się, że jego ruchy podlegają zewnętrznemu ciśnieniu, które krępuje go jak gorset.

Wyjął szklanki z barku i nalał mi słuszną porcję whisky, a sobie jeszcze słusniejszą. Butelka była inna niż ta, którą widziałem u niego rano, i prawie pusta. Jednak picie przez cały dzień pod pewnymi względami uszlachetniło Bassetta niczym upływ lat. Znikła gdzieś krępująca go niepewność, przestał udawać młodszego, niż był w rzeczywistości. Kości czaszki rysowały się pod cienką skórą jak pośmiertny odcisk twarzy.

— Dałeś niezłe przedstawienie — zauważyłem. — Myślałem, że boisz się Graffa.

— Tak, kiedy jestem całkiem trzeźwy. On zasiada w zarządzie, czyli praktycznie, że jest moim zwierzchnikiem. Ale są granice tego, co można znieść. Dla odmiany nie czuć strachu — to całkiem przyjemne.

— Mam nadzieję, że nie wpędziłem cię w tarapaty.

— Nie martw się o mnie. Jestem stary, umiem o siebie zadbać. — Machnięciem ręki wskazał mi krzesło i usiadł za biurkiem z połową szklanki czystej whisky. Napił się i spojrział na mnie znad brzegu naczynia. — Co cię tutaj sprowadza, staruszkę? Coś się wydarzyło?

— Owszem, i to sporo. Wieczorem widziałem się z Hester. Spojrział na mnie, jakbym powiedział, że spotkałem ducha.

— Widziałeś ją? Gdzie?

— W jej domu w Beverly Hills. Odbiliśmy rozmowę, która do niczego nie doprowadziła...

— Wieczorem?

— Około północy.

— A więc ona żyje!

— Tak, o ile nie rozmawiałem z manekinem. Myślałeś, że nie żyje?

Bassett nie odpowiedział od razu. W jego szklistych oczach zaszła jakaś tajemnicza zmiana. Wydawało mi się, że poczuł ogromną ulgę.

— Śmiertelnie się bałem, że zginęła. Przez cały dzień dręczyła mnie myśl, że George Wall ją zabije.

— To nonsens. Poza tym Wall zniknął. Możliwe, że sam wpadł w poważne tarapaty. Ludzie Graffa mogli go załatwić.

Wall w ogóle nie interesował Bassetta, który obszedł biurko i ciężkim gestem położył dłoń na moim ramieniu.

— Nie bujasz mnie? Jesteś pewien, że Hester nic się nie stało?

— Kilka godzin temu czuła się dobrze, w każdym razie fizycznie. Nie wiem, co o niej sądzić. Wygląda i zachowuje się jak porządna dziewczyna, ale ma konszachty z bandą najgorszych szumowin na południowym zachodzie. Na przykład z Carlem Sternem. A ty co o niej myślisz?

— Nie wiem. Nigdy tego nie wiedziałem.

Oparł się o biurko, przyłożył rękę do czoła i pogładził się po końskiej twarzy. Uniósł powoli powieki. Wyzierał spod nich tępy ból.

— Lubisz ją, prawda?

— I to bardzo. Wątpię, czy potrafisz zrozumieć mój stosunek do tej dziewczyny. Można go nazwać ojcowskim uczuciem. Nie ma w tym nic fizycznego. Znałem Hester od dziecka, jej siostrę też. Jej ojciec był członkiem klubu, jednym z moich najlepszych przyjaciół.

— Pracujesz tu od bardzo dawna.

— Dwadzieścia pięć lat jako kierownik. Miałem kartę klubową. Na początku było nas dwudziestu pięciu. Każdy wniósł po czterdzieści tysięcy dolarów.

— Ty też wniósłeś czterdzieści tysięcy?

— Tak. Moja mama i ja byliśmy kiedyś niezłe sytuowani, zmiotł nas krach w dwudziestym dziewiątym. Kiedy to się stało, przyjaciele z klubu zaproponowali mi stanowisko kierownika. To moja pierwsza i jedyna praca.

— Co się stało z Campbellem?

— Zapił się na śmierć. A ja z pewnym opóźnieniem idę w jego ślady. — Z sardonicznym uśmiechem sięgnął po szklankę i opróżnił ją. — Jego żona była głupia, całkowicie pozbawiona zmysłu praktycznego. Po śmierci Raymonda mieszkała w Topanga Canyon. Zrobiłem dla osieroconych córek tyle, ile mogłem.

— Nie powiedziałaś mi o tym wczoraj rano.

— Wpojono mi zasadę, że nie należy się chełpić filantropią.

Mówił bardzo oficjalnym tonem, trochę niewyraźnie. Whisky zaczynała działać. Spojrzał powoli na mnie, a potem na butelkę. Nalał sobie ćwierć szklanki i pociągnął łyk. Jeśli wypije dostatecznie dużo, ból za powiekami zniknie. Albo przybierze jakąś dziwną postać. Oto mankament alkoholu w roli środka uśmierzającego: na chwilę odrywa

cię od rzeczywistości, ale później wlecze z powrotem, zahaczając po drodze o zakamarki piekła.

Rzuciłem pytanie na chybił trafił, licząc, że trafię nim Bassetta niczym harpunem, zanim pogrąży się w odmetach Lete:

— Czy Hester cię wykołowała?

Zaskoczyłem go, ale odpowiedział, starannie dobierając słowa:

— O czym ty pleciesz, na miłość boską?

— Ktoś zasugerował mi, że Hester cię okradła, kiedy stąd odchodziła.

— Mnie okradła? To nonsens.

— Nie ukradła niczego z sejfów?

— Na Boga, nie. Hester nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Ja zresztą nie miałem nic wartego kradzieży. W klubie nie używamy gotówki, wszystkie transakcje są załatwiane kartą...

— To mnie nie interesuje. Chcę tylko, żebyś zaświadczył, że Hester nie okradła sejfów we wrześniu.

— Oczywiście, że nie. Nie wyobrażam sobie, skąd ci to przyszło do głowy. Ludzie zawsze coś insynuują. — Nachylił się w moją stronę, chwając się lekko. — Kto ci to powiedział?

— To nie ma znaczenia.

— Dla mnie ma. Powinieneś sprawdzać źródła informacji, staruszkule. To zabijanie słowem. Za kogo ty uważasz Hester?

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Znałeś ją lepiej niż ktokolwiek inny i twierdzisz, że nie jest zdolna do kradzieży.

— Mnie z pewnością by nie okradła.

— A kogoś innego?

— Nie wiem, do czego Hester jest zdolna.
— Czy jest zdolna do szantażu?
— Zadajesz coraz dziwniejsze pytania...
— Kiedy rozmawialiśmy wcześniej, nie wykluczyłeś tego kategorycznie. Mógłbyś być ze mną szczery. Czy Simon Graff jest szantażowany?

Bassett pokręcił poważnie głową.

— Z jakiego powodu ktoś miałby szantażować pana Graffa?

Zerknąłem na zdjęcie trojga młodych ludzi.

— Na przykład z powodu Gabrielle Torres. Słyszałem, że coś ją łączyło z Graffem.

— Co mianowicie?

— Nie udawaj głupiego, Clarence, bo nie jesteś głupcem. Znałeś tę dziewczynę, pracowała u ciebie. Gdyby coś się działo między nią i Graffem, prawdopodobnie byś o tym wiedział.

— Gdyby coś się między nimi działo, nigdy by do mnie nie doszło — odparł z uporem. Dumął przez chwilę, kołyszając się. — Boże drogi, czyżbyś sugerował, że on ją zabił?

— To niewykluczone. Ale ja miałem na myśli panią Graff. Bassett zmierzył mnie mrocznym spojrzeniem.

— Cóż za przerażająca myśl.

— Właśnie to byś powiedział, gdybyś ich krył.

— Ależ to całkowicie... — Skrzywił się i zaczął od nowa: — To całkowicie absurdalne i niedorzeczne.

— Dlaczego? Isobel jest wystarczająco pomyłona, by zabić. I miała motyw.

— Ona nie jest pomyłona. W swoim czasie była... to znaczy miała poważne problemy emocjonalne.

— Była w zakładzie zamkniętym?

— Nie sędzę. Raz na jakiś czas przebywała w prywatnym sanatorium doktora Freya w Santa Monica.

— Kiedy tam była ostatnio?

— W zeszłym roku.

— W jakich miesiącach?

— Przez cały rok. Widzisz więc... — Bassett machnął ręką, jak gdyby opędzał się od brzęczącej muchy — że to całkowicie niemożliwe. W czasie, gdy zginęła ta dziewczyna, Isobel była zamknięta. Można ją wykluczyć.

— Wiesz to na pewno?

— Na sto procent. Regularnie ją odwiedzałem.

— Isobel też jest twoją przyjaciółką?

— Bez wątpienia. Bardzo starą i drogą przyjaciółką.

— Tak starą i drogą, że warto dla niej łąać?

— Nie pleć głupstw. Isobel nie skrzywdziłaby muchy.

Oczy Bassetta zachodziły mgłą, słowa się zlewały, lecz szklankę trzymał pewnie w dłoni. Uniósł ją do ust i opróżnił, a potem nieco zbyt raptownie usiadł na krawędzi biurka. Kołysał się z boku na bok, trzymając szklankę w dłoniach, jakby dodawała mu sił.

— Bardzo starą i drogą przyjaciółką — powtórzył sentymentalnie. — Biedna Isobel, to tragiczna historia. Matka umarła młodo, ojciec dał jej wszystko oprócz miłości. Potrzebowała współczucia, kogoś, do kogo mogłaby otworzyć usta. Ja starałem się być tym kimś.

— Tak?

Posłał mi przenikliwe, smutne spojrzenie. Uderzenie alkoholu na chwilę go otrzeźwiło, lecz efekt był bardzo nikły. Twarz Bassetta przybrała kolor gotowanego mięsa, rzadkie włosy zwisały bezwładnie u skroni. Oderwał jedną dłoń od szklanki i odgarnął je do tyłu.

— Wiem, że to brzmi nieprzekonująco. Pamiętaj, że mi-nęto dwadzieścia lat. Nie zawsze byłem stary. Poza tym

Isobel lubiła starszych mężczyzn. Bardzo kochała ojca, ale on nie mógł dać jej zrozumienia, którego potrzebowała. W tym czasie po raz trzeci lub czwarty rzuciła studia. Była bardzo zamknięta w sobie. Spędzała tutaj całe dnie, siedziała sama na plaży. Stopniowo odkryła, że ze mną może pogadać. Rozmawialiśmy przez całe lato i jeszcze później, jesienią. Nie chciała wracać na studia i nie chciała ode mnie odchodzić. Zakochała się we mnie.

— Chyba żartujesz.

Specjalnie wbijałem mu szpile, a on reagował z pijacką namiętnością. Gniew zaczerwienił jego poszarzałe policzki.

— Naprawdę była we mnie zakochana. Ja też miałem problemy emocjonalne i byłem jedynym człowiekiem, który ją rozumiał. A ona mnie szanowała! Skończyłem Harvard, wiesz o tym? W czasie pierwszej wojny spędziłem trzy lata we Francji. Byłem noszowym.

Oznaczało to, że ma około sześćdziesiątki. Dwadzieścia lat temu miał ze czterdzieści lat, a Isobel jakieś dwadzieścia.

— A jakie były twoje uczucia wobec niej? — spytałem. — Też ojcowskie?

— Kochałem ją. Ona i moja matka były jedynymi kobietami, które kiedykolwiek kochałem. I ożeniłbym się z nią, gdyby jej ojciec nie wszedł mi w drogę. Nie przypadłem do gustu Peterowi Heliopoulosowi.

— Wydał ją za Simona Graffa.

— Otóż to, za Simona Graffa. — Zadrzał z pasją słabego, zastraszonego mężczyzny, który rzadko okazuje uczucia. — Za dorobkiewicza, prostaka, dziwkarza i oszusta. Znałem Graffa, kiedy był jednym z rzeszy imigrantów, nikiem w tym mieście. Asystentem reżysera przy kręconych naprędce wes-

ternach, z jednym porządnym garniturem w szafie. Lubiłem go, a on udawał, że tę sympatię odwzajemnia. Pożyczyłem mu trochę forsy, załatwiłem członkostwo w klubie, przedstawiłem ludziom. Boże drogi, przedstawiłem go Helio-poulosowi. Nie minęły dwa lata, a został producentem filmowym i ożenił się z Isobel. Wszystko, co ma, wszystko, co osiągnął, zaczęło się od tego małżeństwa. A jemu brak nawet zwykłej przyzwoitości, żeby ją dobrze traktować!

Bassett wstał i wykonał zamaszty ruch, po którym zatonął się na ścianę. Upuściwszy szklankę, oparł się dłonią o mur. A ten nachylił się ku niemu i Bassett rąbnął czołem w tynek. Złożył się wpół i z głuchym odgłosem klapnął na wykładzinę.

Spojrzał na mnie, śmiejąc się głupekowato. Jedno mętne oko patrzyło na wprost, a drugie w bok. Wyglądał jak człowiek cierpiący na łagodną odmianę obłądu.

— Sztorm na morzu, dziesięć w skali Beauforta — wymamrotał.

— Czas zamknąć luki.

Wziąłem go pod pachy, postawiłem na nogi i zaprowadziłem do krzesła. Osunął się na nie ze zwieszonymi rękami i otwartymi ustami. Choć widział podwójnie, jego spojrzenie skupiło się na butelce. Sięgnął do niej. Na dnie zostało jeszcze pięć czy sześć uncji whisky. Bałem się, że następny drink może go powalić albo nawet zabić. Wyjąłem butelkę z ręki Bassetta, zakręciłem i odstawiłem. Klucz do barku tkwił w zamku. Przekręciłem go i włożyłem do kieszeni.

— Jakim prawem konfiskujesz grog? — Poruszając z wysiłkiem ustami, Bassett wyglądał jak przeżuwiający wielbłąd. — To bezprawne zawłaszczenie. Powołuję się na habeas corpus.

Pochylił się i wyciągnął rękę po moją szklanę. Odsunąłem ją.

— Masz dość, Clarence.

— Sam o tym zdecyduję. Jestem człowiekiem decyzji. Człowiekiem wybitnym. Obalam butelkę dziennie, nie masz ze mną szans.

— Nie wątpię. Ale wracając do Simona Graffa. Ty chyba nie za bardzo go lubisz, prawda?

— Nienawidzę drania — wybełkotał Bassett. — Bądźmy szczerzy. Ukraść jedyną kobietę, którą kochałem. Oprócz matki. Zwędził mi też maître de. Najlepszego maître de na całym Południu, Stefana. Zaproponowali mu podwójną pensję i uprowadzili do Vegas.

— Kto się ważył?

— Graff i Stern. Chcieli go do swojego tak zwanego klubu.

— Skoro już o nich mówimy, dlaczego Graff zgodził się zostać słupem dla gangstera?

— Pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary. Nie znam odpowiedzi. Nawet gdybym wiedział, i tak bym nie powiedział. Ty mnie wcale nie lubisz.

— Przejrzyj na oczy, Clarence. Pewnie, że cię lubię.

— Kłamca. Okrutny i nieludzki. — Dwie łyzy oderwały się od kącików jego oczu i spęzły po pociętych zmarszczkami policzkach niczym srebrne ślimaki. — Nie chcesz mi dać drinka. Bierzesz mnie na spytki i zabraniasz grogu. T-nie w porządku, t-nieludzkie.

— Przykro mi, ale na dzisiaj koniec z grogiem. Zabiłby cię.

— Dlaczego? Jestem sam na tym świecie. Nikt mnie nie kocha. — Rozpląkał się nagle i cała jego twarz zrobiła się mokra. Przezroczystry śluz płynął z nosa i ust. Szloch wstrząsał jego ciałem niczym wewnętrzne fale.

Nie był to atrakcyjny widok. Ruszyłem w stronę drzwi.

— Nie zostawiaj mnie — wymamrotał między jednym szlochem a drugim.

Wyszedł zza biurka, potknął się jak podcięty niewidzialnym drutem i runął na wykładzinę ślepy, głuchy i nieprzytomny. Przekręciłem mu głowę na bok, żeby się nie udusił, i wyszedłem.

ROZDZIAŁ 22

Powietrze się ochłodziło. Śmiechy i inne odgłosy zabawy wciąż sączyły się z baru, lecz muzyka na dziedzińcu umilkła. Jakiś samochód toczył się z wolna alejką w stronę autostrady, za nim drugi. Zabawa dobiegała końca.

W pomieszczeniu ratowników na końcu korytarza paliło się światło. Zjrzałem. Młody Murzyn siedział, czytając książkę. Zamknął ją na mój widok i wstał. Książka nosiła tytuł Elementy socjologii.

— Późna lektura.

— Lepiej późno niż wcale.

— Co się robi z Bassettem, kiedy zejdzie?

— Znowu zszedł?

— Leży na podłodze w gabinecie. Ma gdzieś tutaj łóżko?

— Taak, na zapleczu — odparł chłopak z wyrazem rezygnacji na twarzy. — Chyba muszę go tam złożyć, co?

— Pomóc ci?

— Nie, dzięki. Poradzę sobie, mam dużą praktykę. — Uśmiechnął się bardziej szczerze niż przedtem. — Jest pan przyjacielem pana Bassetta?

- Niezupełnie.
- Dał panu jakąś pracę?
- Można tak powiedzieć.
- Tu w klubie?
- Częściowo.

Ratownik był zbyt grzeczny, żeby pytać, na czym polegają moje obowiązki.

— Położę do łóżka pana Bassetta, a pan niech poczeka, zaparzę kawę.

— Chętnie się napiję. A propos, nazywam się Lew Archer.

— Joseph Tobias. — Miał taki uścisk, że mógłby w rękach zginać podkowy. — Nietypowe nazwisko, prawda? Usiądź gdzieś tutaj, jeśli chcesz.

Magazyn był zavalony zwiniętymi parasolami plażowymi, składanymi leżakami, nadmuchiwanymi pływakami bez powietrza i piłkami plażowymi. Rozłożyłem leżak i wyciągnąłem się na nim. Zmęczenie zadziało jak narkoza. Usnąłem niemal natychmiast.

Kiedy się obudziłem, Tobias stał koło mnie. Przesunął kilka dzwigniek i na korytarzu za drzwiami zapanowała grafitowa ciemność. Odwrócił się i zobaczył, że mam otwarte oczy.

— Nie chciałem cię budzić. Jesteś zmęczony.

— A ty w ogóle się nie męczysz?

— Nie. Jakoś tak jest, że nie. Tylko raz w życiu się zmęczyłem, to było w Korei. Dostałem w kość, pchając jeepa w głębokim błocie, którego tam pełno. Chcesz teraz kawę?

— Prowadź.

Poszliśmy do jasno oświetlonego pomieszczenia z białymi ścianami; nad drzwiami widniał napis: Bar przekąskowy. W szklanym ekspresie za barkiem bulgotała woda. Elektryczny zegar na ścianie metodycznie pożerał czas kawałek po kawałku. Była za kwadrans czwarta.

Usiadłem na wyściełanym stołku przy barku. Tobiasz przeskoczył barenki i wylądował po drugiej stronie z beznamietnym wyrazem twarzy.

— Cuchulain, Pies Ulsteru — rzekł niespodziewanie. — Kiedy utrudził się walką w bitwach, siedł nad rzekę i ćwiczył. W taki sposób wypoczywał. Napaliłem ogień pod grillem, w razie gdybyśmy mieli ochotę na jajka. Jeśli o mnie chodzi, zjadłbym ze dwa lub trzy.

— Ja też.

— Trzy?

— Trzy.

— Może zaczniemy od soku pomidorowego? To oczyszcza podniebienie.

— Świetnie.

Joseph otworzył dużą puszkę i napełnił dwie szklanki sokiem. Podniosłem szklankę i spojrzałem. Gęsta ciecz miała ciemnoczerwoną barwę w blasku świetlówek. Odstawiłem szklankę.

— Coś nie tak z sokiem?

— Wydaje mi się, że wygląda dobrze — odparłem nieprzekonująco.

Joseph przestraszył się, że uchybił gościnności.

— Jakiś brud w soku? — Nachylił się nad blatem, marszcząc czoło. — Przed chwilą otworzyłem puszkę, więc jeśli coś jest w soku, to z winy producenta. W tych wielkich koncernach myślą sobie, że nawet ludobójstwo ujdzie im na sucho. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy rząd przemysłowców. Otworzę drugą puszkę.

— Nie fatyguj się.

Wypiłem zawartość szklanki. Smakowała jak sok pomidorowy.

— W porządku?

— Bardzo dobre.

— Przestraszyłem się, że coś jest nie tak z tym sokiem.

— To ze mną było coś nie tak.

Joseph wyjął z lodówki sześć jaj i wpuścił do grilla. Zaskwierczały przyjemnie, bielejąc po brzegach.

— To nie zmienia faktu, że powiedziałem prawdę o wielkich korporacjach — rzekł przez ramię Joseph. — Masowa produkcja i marketing dają pewne korzyści społeczeństwu, ale wielkość organizacji zwraca się przeciwko elementowi ludzkiemu. Dotarliśmy do punktu, w którym powinniśmy już liczyć straty. Jakie jajka lubisz?

— Lekko wysmażone.

— Już się robi. — Przewracając jajka łydą, Joseph włożył cztery kromki chleba do tosterów. — Sam sobie posmarujesz czy ci posmarować? Mam specjalną szczoteczkę do smarowania. Osobiście tak wolę.

— Ty posmaruj.

— Dobra. Jaką chcesz kawę?

— O tej porze wolę czarną. Macie tu doskonałą obsługę.

— Staramy się. Zanim zostałem ratownikiem, pracowałem w barze na kółkach. Jako ratownik nie zarabiam więcej, ale mam czas na studiowanie.

— Jesteś studentem?

— Owszem. — Joseph nałożył jaja na talerze i nalał kawy. — Na pewno jesteś zaskoczony, że tak dobrze się wysławiam.

— Wyjąłeś mi to z ust.

Joseph się rozpromienił. Ugryzł kawałek tostu.

— Zwykle trzymam język na wodzy. Im bogatsi ludzie, tym bardziej nie lubią słuchać, jak Murzyn starannie dobiera słowa. Chyba uważają, że nie ma sensu być bogatym, jeśli nie można odczuć swojej wyższości nad kimś. Studiuję angielski w college'u, ale gdybym mówił jak student,

straciłbym pracę. Ludzie są bardzo wyczuleni.

— Studiujesz na UCLA?

— Dopiero się przygotowuję — odparł. — Mam dwadzieścia pięć lat, dużo czasu przede mną. Pewnie, że byłbym już o wiele dalej, gdybym wcześniej zaczął. Trzeba było pójść do wojska, żeby pozbyć się tej młodzieńczej lekkomyślności. — Z przyjemnością wypowiedział tę frazę. — Pewnej zimnej nocy obudziłem się na wzgórzu w drodze powrotnej z Yalu. I nagle do mnie dotarło: przecież ja nie mam o niczym pojęcia!

— O wojnie?

— O wszystkim. O wojnie i pokoju. O tym, co nadaje życiu wartość. — Wsunął sobie do ust porcję jajka i żuł, spoglądając na mnie z powagą. — Uświadomiłem sobie, że nie wiem, kim jestem. Nosilem maskę, na twarzy i na umyśle, która tak do mnie przywarła, że nie wiedziałem, kto się pod nią kryje. Postanowiłem, że muszę się dowiedzieć, kim jestem, i stać się człowiekiem. Jeśli zdołam. Czy to głupie, że ktoś taki jak ja podejmuje takie postanowienie?

— Moim zdaniem to brzmi rozsądnie.

— Ja też tak wtedy myślałem. I wciąż myślę. Jeszcze kawy?

— Nie, dziękuję. Ale dolej sobie.

— Ja też wypijam tylko jedną filiżankę. Tak jak ty, jestem uzależniony od wstrzemięźliwości. — Uśmiechnął się na dźwięk tych słów.

— Jakie są twoje dalsze zamierzenia?

— Chcę uczyć w szkole. Uczyć i trenować.

— To dobre życie.

— Jasne, że tak. Nie mogę się doczekać. — Zrobił pauzę, jakby chciał wyobrazić sobie przyszłość. — Bardzo lubię

objaśniać ludziom ważne sprawy. Zwłaszcza dzieciom. Uwielbiam przekazywać myśli, wartości. A ty czym się zajmujesz?

— Jestem prywatnym detektywem.

Joseph spojrział na mnie z pewnym rozczarowaniem.

— Czy to nie jest nudne? Nie ma się przy tym zbyt wiele kontaktu z ideami. Nie znaczy to, że stawiam idee ponad inne wartości — dodał szybko, nie chcąc mnie urazić. — Emocje. Działanie. Honorowe uczynki.

— To szorstkie życie — odparłem. — Widzi się to, co w ludziach najgorsze. Jak się miewa Bassett?

— Umarł dla świata. Położyłem go do łóżka. Odsypia pijactwo, nie awanturuje się, więc mogę go zataszczyć na wyrko. Dobrze mnie traktuje.

— Od jak dawna tu pracujesz?

— Ponad trzy lata. Zacząłem w barze, a latem zeszłego roku przekwalifikowałem się na ratownika.

— Znałeś więc Gabrielle.

— Tak, znałem — potwierdził zdawkowo. — Mówiłem ci już.

— Widywałeś ją w tym czasie, gdy zginęła?

Oblicze Josepha przybrało nieprzenikniony wyraz. Blask zniknął z oczu niczym małe płochliwe zwierzątko.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie uciekaj przede mną tylko dlatego, że zadałem ci parę pytań.

— Ja nie uciekam — odrzekł pozbawionym emocji głosem. — Już odpowiedziałem na wszystkie pytania.

— Co to znaczy?

— Jeśli jesteś detektywem, to wiesz, co mam na myśli. Kiedy Gabrielle... panna Torres zginęła, mnie pierwszego aresztowali. Zabrali mnie do biura szeryfa i przesłuchiwali na zmiany, przez cały dzień i pół nocy.

Spuścił głowę pod ciężarem wspomnień. Nieprzyjemnie było patrzeć, jak traci fason.

— Dlaczego akurat ciebie się uczepili?

— Bez powodu. — Uniósł rękę i odwrócił ją. W blasku świetlówek miała grafitowoczarny kolor.

— Nie przesłuchali nikogo innego?

— Kiedy udowodniłem, że całą noc spędziłem w domu, zgarnęli kilku pijaczków i zboczeńców z okolic Malibu i paru włóczęgów, którzy się tu szwendali. Zadawali też pytania pannie Campbell.

— Hester?

— Tak. To z nią Gabrielle podobno miała być tego wieczoru.

— Skąd wiesz?

— Tony tak powiedział.

— Gdzie naprawdę spędziła ten wieczór?

— A skąd mam to wiedzieć?

— Myślałem, że czegoś się domyślasz.

— Więc źle myślałeś. — Od pewnego czasu unikał mojego wzroku, ale teraz powoli spojrzał mi w oczy. — Chcesz otworzyć śledztwo od nowa? Po to wynajął cię pan Bassett?

— Niezupelnie. Zacząłem badać inną sprawę, ale tropy co chwila prowadzą mnie do Gabrielle. Dobrze ją znałeś, Joseph?

— Pracowaliśmy razem — odparł ostrożnie. — W weekendy Gabrielle przyjmowała zamówienia na kanapki i drinki od gości na basenie. Była za młoda, żeby sama podawać drinki, więc ja to robiłem. Panna Torres była bardzo miłą młodą dziewczyną. To straszne, co się z nią stało.

— Widziałeś, co się z nią stało?

— Nie to miałem na myśli. Nie widziałem, jak to się stało. Ale byłem w tym pomieszczeniu, kiedy Tony wrócił z plaży. Ktoś ją zastrzelił, pewnie o tym wiesz, i zostawił tuż

koło klubu. Tony mieszkał nieopodal. Spodziewał się, że Gabrielle wróci do domu przed północą. Kiedy się nie zjawiła, zadzwonił do domu Campbellów. Usłyszał, że jej nie widzieli, więc sam wyszedł na poszukiwanie. Znalazł ją o świcie z ranami od kul, fale zalewały ciało. Tego dnia Gabrielle miała pomagać pani Lamb. Tony przyszedł tu, żeby ją zawiadomić.

Joseph oblizał spierzchnięte wargi. Patrzył w moją stronę, ale nie widział mnie, tylko przeszłość.

— Stał tutaj, przed barem. Długo nie potrafił wydusić słowa. Nie mógł otworzyć ust, żeby powiedzieć pani Lamb, że Gabrielle nie żyje. Ale ona widziała, że trzeba go pocieszyć. Wyszła zza baru, objęła go i trzymała w ramionach jak dziecko. Wtedy jej powiedział. Pani Lamb kazała mi wezwać policję.

— Sam zadzwoniłeś?

— Chciałem to zrobić. Ale pan Bassett był w swoim gabinecie i zadzwonił. Podeszedłem do końca basenu i spojrziałem przez ogrodzenie. Gabrielle leżała na piasku, spoglądając w niebo. Tony wyciągnął ją z wody. Widziałem piasek w jej oczach, chciałem podejść i go zgarnąć, ale się bałem.

— Dlaczego?

— Nie miała na sobie ubrania. Jej ciało było takie białe. Złąkłem się, że zastaną mnie tam i przyjdzie im do głowy coś głupiego. Ale i tak im przyszło. Aresztowali mnie tego samego ranka. Nawet się tego spodziewałem.

— Spodziewałeś się?

— Ludzie muszą zrzucić na kogoś winę. Nas obwiniali przez trzysta lat. Chyba sam się podłożyłem. Nie powinienem był się z nią zaprzyjaźniać. Na dokładkę miałem w kieszeni kolczyk, który należał do Gabrielle.

— Co to był za kolczyk?

— Mały okrągły kolczyk z masy perłowej. Był w kształcie koła ratunkowego, miał otwór w środku i napis USS

Malibu. Najgorsze było to, że drugi od pary wciąż wisiał w jej uchu

— Skąd wzięłeś ten kolczyk?

— Po prostu go znalazłem i miałem zamiar oddać. Leżał koło basenu — dodał po chwili Joseph.

— Tego ranka?

— Tak. I nagle okazało się, że Gabrielle nie żyje. Marfeld i pozostali gliniarze zrobili z tego wielką aferę. Chyba zdawało im się, że mnie dopadli, dopóki nie udowodniłem swojego alibi. — Joseph wydał dźwięk, który był na poły parsknięciem, a na poły jękiem. — Jakbym to ja ją skrzywdził.

— Kochałeś Gabrielle?

— Tego nie powiedziałem.

— Ale tak było?

Joseph oparł łokieć na blacie, a podbródek na dłoni.

— Mógłbym się w niej zakochać, gdybym dostał szansę — przyznał. — Ale nie dostałem. Ona miała w żyłach tylko połowę latynoskiej krwi i nie widziała we mnie człowieka.

— To mógłby być motyw zabójstwa.

Obserwowałem twarz Josepha. Posmutniał, ale nie okazał innych uczuć. Jego policzki i szerokie usta wyglądały jak rzeźbiona, polerowana maska spoczywająca na dłoni.

— Nie zabiłeś jej?

Skrzywił się, ale nie z zaskoczenia, tylko jakbym nacisnął mu na bliznę po starej ranie. Pokręcił smutno głową.

— Nie tknąłbym jej palcem, wiesz o tym.

— No dobrze. Pomińmy to.

— Ani myślę. Wycofaj te słowa albo się wynoś.

— Dobrze. Wycofuję.

— Nie powinieneś tego mówić. Gabrielle była moją przyjaciółką. Ciebie też uważałem za przyjaciela.

— Wybacz, Joseph. Musiałem ci zadać te pytania.

— Dlaczego? Kto cię zmuszał? Powinieneś uważać, co mówisz. Wiesz, co Tony Torres by zrobił, gdyby uwierzył, że zamordowałem jego córkę?

— Zabiłby cię.

— Otóż to. Groził, że mnie zabije, kiedy policja mnie wypuściła. Ledwo udało mi się go przekonać. Jeśli on coś sobie umyśli, tkwi to w jego głowie jak ćwiek. A nosi w sobie jeszcze wiele gniewu.

— Tak jak my wszyscy.

— Wiem. Ja też go w sobie mam. Ale Tony ma go więcej od innych. W młodości zabił człowieka samymi pięściami.

— Na ringu?

— Nie na ringu, i nie był to wypadek. Poszło o kobietę, i on zrobił to z premedytacją. Kiedyś zaprosił mnie do swojej pakamery, upił się muszkatelem i opowiedział mi o tym zdarzeniu.

— Kiedy to się stało?

— Przed paroma miesiącami. Chyba go to naprawdę gryzło. Tą kobietą była matka Gabrielle. Tony zabił faceta, z którym się włóczyła, a ona później od niego odeszła. Tamten miał nóż, więc sędzia we Fresno orzekł, że to była samoobrona, ale Tony i tak się obwinał. Powiązał to ze śmiercią Gabrielle, powiedział, że Bóg go w ten sposób pokarał. Tony jest bardzo zabobonny.

— Znasz jego bratanka Lance'a?

— Tak, znam. — Niechętny ton odpowiedzi określał nastawienie Josepha do Manuela. — Zajmował moje stanowisko parę lat temu, kiedy zaczynałem pracować w barze. Słyszałem, że teraz jest ważną figurą, choć trudno w to uwierzyć. Taki był z niego lewus, że nie utrzymałby nawet posady ratownika, gdyby wujek się za nim nie wstawiał. Tony odwał za niego sprzętanie, a Lance ćwiczył skoki do wody.

— Jaki jest teraz stosunek Tony'ego do Lance'a?
Joseph podrapał się po gęstych włosach.

— Wreszcie przejrzał na oczy. Powiedziałbym, że prawie go nienawidzi.

— Na tyle mocno, by go zabić?

— Co z tym zabijaniem, panie Archer? Czyżby ktoś zgiął?

— Powiem ci, jeśli umiesz dotrzymać tajemnicy.

— Umiem.

— Widzę, że tak. Twój przyjaciel Lance został zastrzelony wczoraj wieczorem.

Joseph nie oderwał spojrzenia od blatu.

— On nie był moim przyjacielem. Był dla mnie nikim.

— Ale był kimś dla Tony'ego.

Joseph pokręcił powoli głową.

— Szkoda, że powiedziałem ci o Tonym. Zrobił coś, kiedy był młody i narwany. Nie powtórzyłby tego. On nie skrzywdziłby muchy, chyba żeby go ukąsiła.

— Może być albo tak, albo tak. Sam powiedziałeś, że nienawidził Lance'a.

— Powiedziałem, że prawie go nienawidził.

— Za co go znienawidził?

— Miał ważne powody.

— Wymień je.

— Nie zrobię tego, jeśli wykorzystasz tę informację przeciwko Tony'emu. Lance nie jest wart tego, żeby sznurować mu buty.

— Ty też podejrzewasz, że Tony mógł go zastrzelić.

— Skądże. Nic nie podejrzewam.

— Powiedziałeś, że miał ważne powody. Jakie?

— Gabrielle — odparł Joseph, spoglądając w podłogę.

— Lance był pierwszym, z którym poszła, jeszcze w liceum. Opowiedziała mi o tym. Nauczył ją pić, i to na różne sposoby. Jeśli Tony zastrzelił tego pachuco, oddał światu przysługę.

— Światu być może, ale nie sobie. Gabrielle ci to wszystko powiedziała?

Joseph skinął głową, a jego czarny cień powtórzył ruch.

— Czy byliście ze sobą blisko?

— Nigdy, jeśli masz na myśli to, co mi się zdaje. Traktowała mnie tak, jakbym nie miał ludzkich uczuć. Dręczyła mnie swoimi opowieściami... o tym, czego się od niego nauczyła. — Joseph mówił zdławionym głosem. — Pewnie nawet nie wiedziała, że mnie to boli. Po prostu myślała, że nic nie czuję.

— A ty czujesz, i to aż za dużo.

— Właśnie. Czasami nie daję sobie z tym rady. Tak jak wtedy, gdy Gabrielle opowiedziała mi, czego od niej chciał. Zaproponował, żeby pojechali do Los Angeles i zamieszkali w hotelu, a on będzie ją umawiał na spotkania z mężczyznami. Zważyło mnie to z nóg, poszedłem do Tony'ego. Właśnie wtedy zerwał kontakty z Lance'em, kazał go zwolnić i wyrzucił go z domu.

— Gabrielle z nim odeszła?

— Nie. Myślałem, że kiedy Lance zniknie z pola widzenia, ona wróci na dobrą drogę. Ale dla niej było za późno. Już była po drugiej stronie.

— Co się później działo?

— Panie Archer, może mnie pan wpędzić w tarapaty — rzekł napiętym głosem. — Szpiegowanie członków klubu nie należy do mojej pracy.

— Praca jest aż tak ważna?

— Nie chodzi o pracę. Mogę sobie znaleźć inną. Mam na myśli prawdziwe kłopoty.

— Wybacz. Nie chciałem cię straszyć. Myślałem, że chcesz pomóc.

ROZDZIAŁ 23

Spojrzał na światło. Jego twarz była gładka, nie było z niej napięcie. Ale wyczuwałem je pod spodem.

— Gabrielle nie żyje — rzekł, nie opuszczając głowy.
— Jak mogę pomóc, opowiadając o niej?

— Są inne dziewczęta, które może spotkać ten sam los. Joseph wciąż milczał. Po dłuższej chwili rzekł:

— Nie jestem takim tchórzem, za jakiego mnie uważasz. Chciałem powiedzieć policjantom, kiedy pytali mnie o kolczyk. Ale ich to nie interesowało.

— Co ich nie interesowało?

— Jeśli muszę to powiedzieć, to powiem. Gabrielle wchodziła do jednej szatni praktycznie codziennie i spędzała tam godzinę albo więcej.

— Sama?

— Wiesz, że nie to chciałem powiedzieć.

— Z kim się spotykała?

Nawet nie musiałem pytać, bo znałem odpowiedź.

— Z panem Graffem.

— Jesteś tego pewien?

— Jestem. Gabrielle była młoda i głupia, czuła się dumna, że ktoś taki jak pan Graff interesuje się nią. Prosiła, żebym zbierał za nią zamówienia, kiedy ona będzie... zajęta w inny sposób. Nie wstydziła się tego, że ja wiem — dodał z goryczą. — Wstydziła się pani Lamb.

— Czy spotkali się kiedyś w nocy? Graff i Gabrielle.

— Możliwe. Nie wiem. W tym czasie nigdy nie pracowałem na nocą zmianę.

— Była w klubie tej nocy, kiedy zginęła — zauważyłem. — Wiemy o tym.

— Skąd wiemy? Tony znalazł ją na plaży.

— Ale ty znalazłeś jej kolczyk. Gdzie leżał?

— W korytarzu przed cabañas. Ale mogła go zgubić kiedy indziej.

— Nie, jeśli drugi wciąż tkwił w jej uchu. Wiesz na pewno, że go miała, czy tylko ci tak powiedziano?

— Wiem na pewno. Sam go widziałem. W czasie przesłuchania zaprowadzili mnie do niej. Wyciągnęli ją z chłodni i kazali mi na nią spojrzeć. Wtedy zobaczyłem ten mały biały kolczyk w jej uchu.

W oczach Josepha błysnęły łzy. To wspomnienie go zabolowało.

— Zatem musiała być w klubie tuż przed śmiercią. Kiedy dziewczyna gubi kolczyk, nie chodzi dalej z jednym. Co oznacza, że nie miała czasu zauważyć straty. Możliwe, że zgubiła go w chwili śmierci. Pokaż mi, gdzie znalazłeś ten kolczyk.

Pierwsze światło dnia obmywało niebo na wschodzie. Nieliczne gwiazdy roztapiały się w nim jak płatki śniegu na ciepłym kamieniu. Poranna bryza marszczyła szarą powierzchnię basenu, która wyglądała jak odgradzony kawałek oceanu.

Joseph poprowadził mnie korytarzem do połowy długości basenu. Minęliśmy zamknięte drzwi kilku szatni, między innymi tej, która należała do Graffa. Zauważyłem, że ratownik nie kroczy tak sprężysto jak przedtem. Jego klapki stuknęły smętnie o beton. Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

— Kolczyk leżał tutaj, w kratce. — Okrągła kratka maskująca odpływ była zamocowana w płytkim zagłębieniu betonu. — Ktoś splukał korytarz wodą z węża i zmył kolczyk. Zauważyłem coś błyszczącego.

— Skąd wiesz, że ktoś splukał korytarz wodą?

— Wciąż widać było mokre plamy.

— Wiesz, kto to zrobił?

— Każdy pracownik mógł to zrobić. Albo członek klubu. Nigdy nie wiadomo, co im strzeli do głowy.

— Kto wtedy pracował przy basenie?

— Przeważnie ja i Gabrielle, Tony i ratownik... Nie, wtedy nie było jeszcze ratownika, ja zacząłem dopiero latem. Panna Campbell go zastępowała.

— Była w klubie tego ranka?

— Tak mi się wydaje. Tak, teraz pamiętam. Do czego pan zmierza, panie Archer?

— Chcę się dowiedzieć, kto zabił Gabrielle, dlaczego, gdzie i w jaki sposób.

Joseph oparł się o ścianę. Jego oczy i usta lśniły na tle czarnej jak bazalt twarzy.

— Na miłość boską, chyba nie chce pan znów skierować podejrzeń na mnie?

— Ależ skąd. Chcę poznać twoje zdanie. Uważam, że Gabrielle została zabita w klubie, może właśnie w tym miejscu. Morderca zawlókł ją na plażę albo doczołgała się tam o własnych siłach. Został krwawy ślad, który trzeba było usunąć. I kolczyk, który utknął w kratce.

— Kolczyk to słaba poszlaka.
— To prawda.
— Myśli pan, że panna Campbell to zrobiła?
— Właśnie o to chcę cię zapytać. Miała jakiś powód, motyw?
— Możliwe. — Joseph oblizał wargi. — Próbowwała zbliżyć się do pana Graffa, ale on jej nie chciał.
— Gabrielle ci to powiedziała?
— Mówiła, że panna Campbell jest o nią zazdrosna. Zresztą nie musiała mówić. Sam to widziałem.
— Co widziałeś?
— Złe spojrzenia między nimi tej wiosny. Nadal się przyjaźniły na swój sposób, dziewczyny to potrafią, ale nie lubiły się już tak jak kiedyś. A później, tuż po śmierci Gabrielle, panna Campbell nagle się ulotniła.
— Ale wróciła.
— Ponad rok później, kiedy wszystko ucichło. Ale wciąż interesowała się tą sprawą. Latem zeszłego roku zadawała mi mnóstwo pytań. Opowiadała, że ona i jej siostra Rina chcą o tym napisać do gazety, ale wydaje mi się, że nie o to im naprawdę chodziło.
— Jakie pytania ci zadawała?
— Nie wiem — odparł zmęczonym głosem Joseph. — Niektóre chyba były podobne do pańskich. A zadał ich pan z milion.
— Powiedziałeś jej o kolczyku?
— Możliwe. Nie pamiętam. Czy to ważne? — Joseph odepchnął się od ściany, przeczłapał przez korytarz i spojrział na bielejące niebo. — Muszę iść do domu i trochę się zdrzemnąć. O dziewiątej zaczynam dyżur.
— Myślałem, że nigdy się nie męczysz.
— Ale czasem dopada mnie depresja. Dotknął pan wielu rzeczy, o których chcę zapomnieć. Szczerze powiedziałem,

dał mi pan nieźle w kość.

— Przepraszam. Ja też jestem zmęczony. Ale warto było się poświęcić, jeśli zdołamy rozwiązać zagadkę tego morderstwa.

— Czyżby? Powiedzmy, że panu się uda. I co wtedy? — Twarz Josepha wyglądała posepnie w szarym świetle; w jego głosie wyczuwało się dawną gorycz. — To samo co kiedyś. Gliny przejmą sprawę i znów ją zamkną. Nikogo nie aresztują.

— Tak było wtedy?

— Właśnie tak. Kiedy Marfeld zobaczył, że mnie nie przygwoździ, stracił zainteresowanie sprawą. Ja zresztą też.

— Mogę uderzyć wyżej niż do Marfelda.

— I co z tego? Za późno dla Gabrielle, za późno dla mnie. Zawsze było dla mnie za późno.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

— Podwieźć cię gdzieś? — zapytałem.

— Mam samochód.

ROZDZIAŁ 24

Mogłem to rozegrać lepiej. Dotarłem do końca basenu jako ostatni uczestnik przyjęcia; o tak wczesnej porze serce bije wolniej, krew stygnie i płynie ospale. Mgła zasnuwała morze. Pieniła się i piętrzyła, tworząc powolną kataraktę na zachodzie. Tu i ówdzie prześwitywały marmurowo czarne plamy oceanu.

Musiałem wiedzieć, na co patrzę, zanim to sobie uświadomiłem. Kłoda czarnego drewna ze skręconym korzeniem na końcu unosiła się w wodzie na płyciźnie. Zbliżała się wolno do brzegu, pchana zrywami fal. Jej gałęzie były zaskakująco giętkie. Kolejna fala osadziła obiekt na mokrym brązowym piasku. Mężczyzna miał na sobie ciemny, ściągnięty paskiem płaszcz i leżał twarzą do ziemi.

Brama klubu była zamknięta na kłódkę. Dźwignąłem znak NIE BIEGAĆ ustawiony na ciężkiej betonowej podstawie i rąbnąłem nim w kłódkę. Brama odskoczyła. Zszedłem po schodach i przewróciłem Carla Sterna na plecy. Na jego czole widniała głęboka szrama w miejscu, w które został uderzony twardym przedmiotem. Rana na jego szyi ziała niczym bezzębne, niemo krzyczące usta.

Ruszyłem do samochodu, pamiętając ze szkoły, że wzdłuż brzegu płynie w tym miejscu prąd z prędkością około mili na godzinę. Niespełna trzy mile na północ od Channel Club od autostrady odchodził skalny występ wiszący nad morzem, na którym urządzono betonowy taras widokowy zabezpieczony ogrodzeniem. Świeący chromem wynajęty samochód Sterna stał zaparkowany przy ogrodzeniu. Przednia szyba, deska rozdzielcza i przedni fotel były zbryzgane krwią. Zakrwawione było także ostrze noża leżącego na macie podłogowej. Nóż wyglądał jak ten, który widziałem wcześniej u Sterna.

Niczego nie dotykałem, bo nie chciałem maczać palców w zabójstwie. Dojechałem do domu na autopilocie i położyłem się do łóżka. Przyśnił mi się człowiek mieszkający samotnie pośród krajobrazu pełnego kruszących się głazów. Większość czasu spędził, nadaremnie próbując odtworzyć w pamięci monumenty i budowle, których jedyny ślad stanowiły rozrzucone kamienie. Jak przez mgłę pamiętał ustne podanie mówiące o tym, że niegdyś stało tam wielkie miasto. I drugie, jeszcze bardziej mgliste — a może był to sen we śnie? — że ludzie, którzy wzniesli metropolię, lub ich potomkowie wrócą pewnego dnia, by ją odbudować. A on chciał tam być, kiedy to się stanie.

ROZDZIAŁ 25

Teleserwis obudził mnie o wpół do ósmej.

— Wstajemy z uśmiechem jak słoneczko, panie Archer!

— Czy naprawdę muszę wstawać z uśmiechem? Trochę mi się ćmi w oczach. Godzinę temu się położyłem.

— A ja w ogóle się nie kładłam. Poza tym mógł pan odwołać budzenie.

— Niniejszym odwołuję je na wieki wieków. — Czułem się pozbawiony sił i rozbity. Kiedy człowiek jest w takim nastroju, wszystko albo go śmieszy, albo doprowadza do łez, w zależności od tego, jak trzyma głowę. — Proszę się rozłączyć w diabły i pozwolić mi spać. To okrutna i niezасłużona kara.

— Ojej, ale mamy dzisiaj nastrój! — Służbowy instynkt telefonistki wziął górę. — Proszę się nie rozłączać. Były dwa połączenia z pana numerem, oba z Las Vegas. Pierwsze o pierwszej czterdzieści; dzwoniła młoda dama, której bardzo zależało na rozmowie, ale nie podała nazwiska. Zapowiedziała, że jeszcze zadzwoni, ale nie zadzwoniła. Odnotował pan? Drugie połączenie było o trzeciej piętnaście. Doktor Anthony

Reeves z oddziału wewnętrznego Memorial Hospital dzwonił w sprawie pacjenta George'a Walla, którego odebrano z lotniska z obrażeniami głowy.

— Z lotniska w Vegas?

— Tak. Czy coś to dla pana oznacza?

Oznaczało to dla mnie wielką ulgę, ale także bolesną świadomość, że będę musiał dowlec się na lotnisko i wdrapać na pokład samolotu.

— Może mi pani zrobić rezerwację, Vero?

— Pierwszy samolot do Vegas?

— Tak jest.

— Był jeszcze jeden telefon, wczoraj po południu. Niejaki Mercer o ze służby drogowej przekazał, że jaguar jest zarejestrowany na Lance'a Leonarda. Czy to ten aktor, którego zastrzelono wczoraj wieczorem?

— Piszą o tym w porannych gazetach?

— Przypuszczam, że tak. Ja usłyszałam przez radio.

— Co jeszcze pani usłyszała?

— Nic więcej. To był taki błyskawiczny serwis informacyjny.

— Wcale nie chodziło o tego aktora. Jak brzmiało nazwisko?

— Już zapomniałam. — Vera była prawdziwym skarbem.

Przed dziesiątą siedziałem w gabinecie doktora Anthony'ego Reevesa w Southern Nevada Hospital. Miał nocny dyżur na pogotowiu i zbadał wstępnie George'a Walla, gdy ludzie szeryfa go przywieźli. Znaleźli go blakającego się na lotnisku McCarran. Miał pękniętą kość policzkową, przypuszczalnie wstrząśnienie mózgu i pękniętą czaszkę. Musiał mieć zapewniony absolutny spokój co najmniej przez tydzień i prawdopodobnie czekał go miesięczny pobyt w szpitalu. Nikt nie mógł się z nim widzieć.

Nie było sensu dyskutować z doktorem Reevesem. W jego ustach nawet masło by się nie rozpuściło. Ruszyłem na poszukiwanie spolegliwej pielęgniarki i udało mi się znaleźć pulchną rudowłosą dziewczynę w czepku LA General, na której zrobiła wrażenie moja stara odznaka zastępcy szeryfa. Zaprowadziła mnie więc do półprywatnej salki z napisem ODWIEDZINY ZABRONIONE na drzwiach. George, jedyny pacjent, spał. Obiecałem, że go nie obudzę.

Zastony były dokładnie zaciągnięte, w pomieszczeniu panował mrok. Było tak ciemno, że ledwie dostrzegłem obandażowaną głowę George'a na poduszce. Usiadłem w fotelu między jego łóżkiem a drugim, pustym, i wsłuchałem się w oddech pacjenta. Był spokojny i powolny. Po chwili i mnie zachciało się spać.

Wyrwał mnie z letargu okrzyk bólu. Myślałem, że krzyczał George, ale to był ktoś po drugiej stronie ściany. Po chwili krzyknął po raz drugi.

George poruszył się, jęknął i usiadł, podnosząc ręce do twarzy zabandażowanej jak u mumii. Zakołysał się i omal nie spadł z łóżka. Złapałem go za ramiona.

— Spokojnie, chłopcze.

— Puść mnie. Kim ty jesteś?

— Archer — odparłem. — Florence Nightingale dla ubogich.

— Co mi się stało? Dlaczego nie widzę?

— Bandaż zsunął ci się na oczy. Poza tym tu jest ciemno.

— Tu, to znaczy gdzie? Jestem w więzieniu?

— W szpitalu. Nie pamiętasz, jak prosiłeś doktora Reevesa, żeby do mnie zadzwonił?

— Obawiam się, że nie. Która godzina?

— Jest sobota rano, zbliża się południe.

Ta informacja nim wstrząsnęła. Położył się i przez chwilę leżał spokojnie.

— Straciłem jeden dzień.

— Uspokój się. Wcałe byś nie chciał, żeby ten dzień wrócił.

— Zrobiłem coś strasznego?

— Nie wiem, co zrobiłeś. Zadajesz za dużo pytań.

— Łagodnie mnie traktujesz — rzekł z zakłopotaniem w głosie. — Pewnie wyszedłem na skończonego durnia.

— Większości z nas się to przytrafia od czasu do czasu. Ale jesteś na dobrym tropie.

George poszukał ręką sznurkowego wyłącznika światła u wezglowia łóżka i pociągnął. Rozsunąwszy palcami bandaże na twarzy, spojrzął na mnie przez szparę. Dostrzegłem nabrzmiałe, popękane wargi.

— Czy to ten konus w piżamie tak mnie urządził? — spytał nie bez odrobiny podziwu.

— Częściowo. Kiedy go ostatnio widziałeś?

— Powinieneś to wiedzieć, bo przy tym byłeś. Co to znaczy częściowo?

— Miał pomocników.

— Jakich pomocników?

— Nie pamiętasz?

— Coś mi się majaczy — odparł z dziecinną niepewnością. Szok fizyczny i psychiczny pomniejszyły ego George'a. — To musiał być koszmar. Jakby wiele starych filmów zlało się ze sobą w jeden w mojej głowie. Tylko że ja w nich byłem. Gonił mnie jakiś facet ze spluwą. Sceneria wciąż się zmieniała, to nie mogło się dziać naprawdę.

— Ale się działo. Zadarłeś z ochroniarzami studia filmowego Simona Graffa. Mówi ci coś to nazwisko?

— Owszem. Leżałem w łóżku w jakiejś nędznej norze w Los Angeles i ktoś wymienił je w rozmowie telefonicznej. Wstałem, wezwałem taksówkę i kazałem kierowcy zawieźć się do Simona Graffa.

— To ja rozmawiałem przez telefon. U siebie w domu.

— Ja byłem w twoim domu?

— Wczoraj. — Pamięć George'a funkcjonowała nader wybiórczo. Nie wątpiłem w jego szczerłość, ale mnie to złościło. — Przywłaszczyłeś też sobie nędzny stary garnitur, który kosztował sto dwadzieścia pięć dolców.

— Naprawdę? Przykro mi.

— Zrobi ci się naprawdę przykro, kiedy dostaniesz rachunek. Ale nie mówmy o tym. Jak dostałeś się ze studia Graffa do Vegas? I co robiłeś w międzyczasie?

Mózg kryjący się za nabiegłymi krwią oczami zaczął szukać po omacku w ciemności.

— Wydaje mi się, że przyleciałem samolotem. To możliwe?

— Czemu nie. Publicznym czy prywatnym?

— To musiał być prywatny samolot — odparł po chwili George. — Było nas tylko dwóch, ja i jeszcze jeden facet. Chyba ten sam, który gonił mnie z pistoletem. Powiedział, że Hester grozi niebezpieczeństwo i potrzebuje mojej pomocy. Wtedy urwał mi się film. Potem szedłem ulicą i widziałem mnóstwo błyskających znaków. Wszedłem do hotelu, w którym miała być Hester, ale zniknęła, a recepcjonista nie chciał mi powiedzieć, dokąd się udała.

— Który to był hotel?

— Nie jestem pewien. Szyld miał kształt kieliszka do wina. Albo do martini. Dry Martini? Czy to brzmi prawdopodobnie?

— Jest taki jeden w mieście. Kiedy tam byłeś?

— W nocy. Całkowicie straciłem rachubę czasu. Musiałem szukać Hester przez resztę nocy. Zauważyłem kilka dziewcząt podobnych do niej, ale za każdym razem okazywało się, że to nie ona. Wciąż urywał mi się film, a później przytomniałem gdzieś indziej. To było okropne, światła mnie raziły, wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Brali mnie za

pijaka. Nawet policjant tak myślał.

— Zapomnij o tym, George. Już po wszystkim.

— Nie zapomnę. Hester jest w niebezpieczeństwie, prawda?

— Możliwe, ale nie mam pewności. O niej też powinie-
neś zapomnieć. Zakochaj się. Co chwila cię nokautują,
więc powinieś się zakochać w pielęgniarce. A propos,
leż spokojnie, bo pielęgniarka da nam obu wycisk.

Zamiast się położyć, usiadł, rozpychając ramionami
szpitalną koszulę, i spojrzął na mnie spod bandaży czerw-
nymi oczyma.

— Coś się stało Hester. A ty nie chcesz mi powiedzieć.

— Nie pleć głupstw. Odpręż się. Dostyc już namąciłeś.

— Jeśli mi nie pomożesz, wstanę i wyjdę stąd — zagro-
ził. — Ktoś musi zacząć działać.

— Daleko nie zajdziesz.

W odpowiedzi George zrzucił kołdrę, przeniósł nogi
nad krawędzią łóżka, spuścił na posadzkę i wstał chwiej-
nie. A potem osunął się na kolana z głową bezwładną jak
łeb ubitego jelenia. Dźwignąłem go z powrotem na łóżko.
Leżał bez ruchu, oddychając szybko i płytko.

Nacisnąłem guzik alarmowy i wychodząc, minąłem się
z pielęgniarką.

ROZDZIAŁ 26

Dry Martini to mały hotelik na skraju dzielnicy hazardu starego śródmieścia. Dwie starsze panie grały na pieniądze w kanasę w pudełkowatym holu wykładanym sosnową boazerią. Recepcjonistą był tłuścioch w marynarce z rayonu. Jego twarz wiecznie miała jowialny wyraz, którego ludzie oczekują od grubasów.

— Czym mogę panu służyć?

— Jestem umówiony z panną Campbell.

— Obawiam się, że panny Campbell jeszcze nie ma.

— O której godzinie wyszła?

Grubas złożył dłonie na brzuchu i zakręcił kciukami.

— Hm, zacząłem zmianę o północy. Panna Campbell zajęła pokój godzinę później, zmieniła sukienkę i wyszła. Było parę minut po pierwszej.

— Jest pan spostrzegawczy.

— Jak mógłbym przeoczyć taki seksowny kąsek. — Recepcjonista wsunął czubek języka między zęby wykonane z dobrego tworzywa.

— Ktoś z nią był?

— Nie. Weszła i wyszła sama. Jest pan jej znajomym?

— Taak.

— Zna pan jej męża? Taki dryblas z rudawą czupryną.

— Owszem, znam go.

— Co mu dolega? Wparował tu w środku nocy jak gniew boży. Miał podrapaną twarz, krew we włosach i wrzeszczał jak opętany. Ubzdurał sobie, że żonie grozi niebezpieczeństwo, a ja jestem w to zamieszany. Upierał się, że wiem, gdzie ona jest. Niełatwo było się go pozbyć.

Spojrzałem na zegarek.

— Ona faktycznie może być w opałach. Nie ma jej od jedenastu godzin.

— Niech się pan tym nie przejmuje. One spędzają na mieście dwadzieścia cztery, a czasem trzydzieści sześć godzin. Może miała randkę. Ktoś dał niezły wycisk jej mężowi. Bo to był jej mąż, prawda?

— Owszem, a wycisk dał mu nie jeden człowiek, tylko kilku. Zresztą on sam się podkłada. Teraz leży w szpitalu, a ja miotam się w poszukiwaniu jego żony.

— Prywatny detektyw?

— Skinąłem głową.

— Domyśla się pan, dokąd poszła?

— Mogę się dowiedzieć, jeśli tak panu zależy. — Spojrzałem na mnie, szacując wartość mojego ubrania i portfela.

— To będzie mnie kosztować.

— Ile?

— Dwadzieścia. — Zabrzmiało to jak pytanie.

— Ja nie kupuję pana z butami.

— No dobra, może być dycha — odparł szybko. — Lepsze to niż dziura w kieszeni.

Wziął banknot i wyszedł ma zaplecze; usłyszałem, że rozmawia z kimś o imieniu Rudy. Wrócił zadowolony z siebie.

— Zadzwoń do dyspozytora firmy transportowej. Wczoraj wieczorem panna Campbell jechała ich taksówką. Dyspozytor podeśle tu kierowcę, który przyjął zlecenie.

— Ile będzie mnie kosztował?

— Ustalcie to między sobą.

Czekałem za przeszklonymi drzwiami, obserwując przejeżdżające samochody. Pochodziły ze wszystkich stanów, lecz najwięcej było rejestracji z południowej Kalifornii. To wesołe miasteczko był w gruncie rzeczy najdalszym przedmieściem Los Angeles.

Rozklekotana żółta taksówka oderwała się od strumienia pojazdów płynącego na zachód i podjechała do krawężnika. Kierowca wysiadł i ruszył chodnikiem. Nie był stary, ale miał pociągłą twarz i sylwetkę ogara, którego zbyt długo karmiono ochłapami. Wyszedłem na zewnątrz.

— To pan interesuje się blondynką?

— Zgadza się.

— Nie powinniśmy podawać informacji o naszych kursach. Chyba że to oficjalne...

— Godło na dziesiątaku jest jak najbardziej oficjalne. Taksówkarz stanął na baczność i zasalutował.

— Co cię interesuje, kolego?

— O której ją zabrałeś?

— Kwadrans po pierwszej. Sprawdziłem na wykazie.

— Gdzie wysiadła?

Wyszczerył do mnie żółte zębiska i przesunął do tyłu czapkę z daszkiem, która zawisła niemal pionowo na jego głowie.

— Nie poganiaj mnie, kolego. Chcę najpierw zobaczyć kolor twoich pieniędzy.

Zapłaciłem.

— Wysadziłem ją na ulicy — odparł. — Nie lubię wyrzucać panienek w środku nocy, ale ona chyba wiedziała, co robi.

— Gdzie to było?

— Kawalek za Stripem. Pokażę ci, jeśli chcesz. To będzie kosztowało dwa dolary.

Taksówkarz otworzył mi tylne drzwiczki. Z identyfikatora wynikało, że nazywa się Charles Meyer. Mijaliśmy disnejowskie fasady, na których nazwiska gwiazd Hollywoodu i innych osobistości kusily anonimowych milionerów, a Charles Meyer snuł opowieść o swoich nieszczęściach. Musiałem przyznać, że miał ich niemało. Alkohol doprowadził go do upadku, kobiety zrujnowały mu życie, a hazard wpędził go w biedę.

— Trzy miesiące tłukę się w tym gruchocie — zawodził żałośnie. — Chcę uciąć trochę kasy, kupić jakieś ubrania i brykę. W zeszłym tygodniu już myślałem, że wyszedłem na swoje. Miałem dwieście trzydzieści dolców i spłaciłem wszystkie długi. Poszedłem do apteki po insulinę, wydali mi w srebrnym bilonie, dwa dolary i cztery centy. Tak dla zabicia czasu wrzuciłem drobniki do maszyny i na tym miałem poprzestać. — Cmoknął szydyczko. — Puściłem dwieście trzydzieści dolców. Zajęło mi to trzy godziny z minutami. Szybki ze mnie gość, co?

— Mógłbyś za to kupić bilet autobusowy.

— Nic z tego. Muszę zarobić na furę, najlepiej z demobilu, taką samą jak ta, którą straciłem, i porządny garnitur. Nie wrócę do Dago w łachmanach.

Minęliśmy kilka placów budowy; napisy na tablicach głośniły, że będą to nowe hotele z klubami o egzotycznych nazwach. Była wśród nich Casbah, hotel Simona Graffa. Dźwigary wznosiły się w niebo na skraju pustyni jak szkielety, na których ludzie mogą rozsnuwać swoje lekkomyślne, zepsute marzenia.

Strip kończyła się długim szeregiem motelików, które przylgnęły do obrzeży blasku wielkiego świata. Charles Meyer zawrócił i zatrzymał się przed jednym z nich o nazwie

Fiesta Motor Court. Odwrócił się i oparł swoją psią twarz o górną krawędź fotela.

— Tu wysadziłem tę blondynkę.

— Ktoś na nią czekał?

— Nikt nie rzucił mi się w oczy. Stała na ulicy sama, kiedy ruszałem.

— Zauważyłeś jakiś nadjeżdżający samochód?

— Zawsze coś jedzie.

— Czy dziewczyna się za kimś rozglądała?

— Trudno powiedzieć. Ogólnie była trochę rozkojarzona.

— W jaki sposób?

— No wiesz. Niepokojna. Rozhisteryzowana. Nie chciałem jej samej zostawiać w takim stanie, ale kazała mi jechać. No to odjechałem.

— W co była ubrana?

— W czerwoną sukienkę i ciemny płaszcz, nie miała kapelusza. Zauważyłem, że nosi bardzo wysokie obcasy. Pomyślałem, że daleko w nich nie zajdzie.

— W którą stronę ruszyła?

— Nigdzie się nie ruszyła. Stała przy krawężniku, dopóki ją widziałem. Chcesz wrócić do Dry Martini?

— Zabawię tu parę minut.

— Jak chcesz, ale licznik bije.

Właściciel Fiesta Motor Court siedział przy stoliku z parasolem na małym patio obok biura. Palił fajkę wodną i wachlował się postrzępionym liściem palmowym. Wyglądał jak zadowolony z życia Macedończyk albo rozczarowany Ormianin. Kilka ciemnookich dziewcząt, które mogły być jego córkami, uwijało się wśród małych domków, ciągnąc wózki na bieliznę.

Twierdził, że nie widział w nocy młodej damy w czerwonej sukience. Nie widział niczego po wpół do dwunastej;

wywiesił tablicę z napisem BRAK WOLNYCH MIEJSC o dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć i położył się spać. Gdy odchodziłem, warknął coś rozkazująco do jednej z ciemnokochanych dziewcząt, jak gdyby chciał mi pokazać, jak się trzyma krótko kobietę.

Sąsiedni motel, Colonial Inn, miał małą schludną recepcję, w której królował schludny mały człowieczek z przyciętym wąsikiem i astmatycznym akcentem z północno-wschodniej części Stanów. Nie widział wspomnianej młodej damy, bo miał wtedy ciekawsze rzeczy do roboty. Miał też ciekawsze rzeczy do roboty niż odpowiadanie na pytania o cudze żony.

Ruszywszy w stronę centrum i ozdobionego zgaszonym neonem silosu hotelu Flamingo, odwiedziłem po kolei Bar-X Tourist Ranch, Welcome Traveller i Oasis. Otrzymałem trzy różne odpowiedzi, wszystkie negatywne. Charles Meyer sunął za mną taksówką, szczerząc zęby i kiwając głową.

Rancho Eldorado składało się z dwóch szeregów pastelowych kurników oplecionych rurkami neonów. W recepcji nikogo nie zastałem. Dzwoniłem do skutku, bo motel stał na rogu, tuż przy ulicy. Jakaś kobieta otworzyła drzwi i zlustrowała mnie od góry do dołu. Miała długi nos zeszpecony starymi bliznami po trądziku, małe czarne oczy i włosy nawinięte na wałki. Była tak brzydka, że zrobiło mi się jej żal. Opis pięknej blondynki w czerwonej sukni zabrzmiał w jej obecności niemal jak obelga.

— Tak, widziałam ją — odparła. Czarne oczka zaświeciły się złośliwie. — Wczoraj w nocy sterczała na rogu dziesięć albo dwanaście minut. Nie mnie osądzać innych, ale byłam zła, gdy ujrzałam, jak się puszy, żeby ją ktoś podebrał. Od razu widzę, czy dziewczyna wyszła na podryw. A tu nic! — W głosie kobiety zabrzmiała nuta triumfu. — Nie tak łatwo złapać faceta jak kiedyś, żaden się nie zatrzymał.

— Czym ona pani zawiniła?

— Niczym, ale wkurzyło mnie, że się tak obnosi pod światłami na rogu, tuż pod moim nosem. To nie pomaga mi w interesach, prowadzę motel rodzinny. Wysłałam więc w końcu na ulicę i kazałam jej znaleźć sobie inne miejsce. Zrobiłam to bardzo grzecznie. Po prostu powiedziałam jej spokojnie, żeby prezentowała swoje walory gdzie indziej. — Zamknęła usta, które ułożyły się w poziomą linię zagiętą na końcach. — Pana znajoma, tak?

— Nie. Jestem prywatnym detektywem.

Twarz kobiety się rozpromieniła.

— Teraz rozumiem. Widziałam, jak ta blondyna wchodzi do Dewdrop Inn, dwa numery dalej. Już czas, żeby ktoś zrobił porządek z tą jaskinią rozpusty. Ściga ją pan z powodu jakiejś zbrodni?

— Tak. Za śmiertelnie niebezpieczną urodę.

Właścicielka motelu przeżuła moją odpowiedź niczym wielbłąd suchą paszę, a potem zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Hotel Dewdrop Inn mieścił się w zapuszczonej rudrze w kształcie litery L z opadającymi okiennicami i drzwiami, które prosiły się o nową farbę. Drzwi recepcji otworzyła kobieta ciasno owinięta poplamionym szlafrokiem. Miała kędzierzawe rude włosy i skórę spaloną w solarium; tylko jej pierś bieląca beztrąsko w wycięciu dekoltu. Zauważyła mój wzrok i uchyliła szerzej drzwi oraz dekolt.

— Szukam kobiety.

— Co za boskie zrządzenie losu, boja szukam mężczyzny. Tylko że jak dla mnie jest ciut za wcześnie. Trochę mi jeszcze szumi w głowie po wczorajszej balandze.

Ziewając, zacisnęła jedną rękę w pięść, a drugą wyprostowała nad głową. W jej oddechu woń ginu mieszała się z zapachem fermentującej kobiecości. Stopy miały brudnobiały kolor.

— Proszę do środka, nie zjem pana.

Wszedłem do recepcji. Kobieta stała w drzwiach, więc musiałem się o nią otrzeć całą długością ciała. Nie była mną naprawdę zainteresowana, tylko trenowała dla wprawy. Pomieszczenie było brudne i panował w nim bałagan; blat zdobiło kilka szklanek ze śladami szminki, a na podłodze walały się magazyny plotkarskie.

— Było wesoło?

— Jeszcze jak. Ubaw na maksa. Koktajle do czwartej, pobudka o szóstej i szlaban na łóżko. Rozwód nie daje już takiego kopa jak kiedyś.

Sprężyłem się w oczekiwaniu na następną historię życia. Być może rys naiwności w mojej twarzy prowokuje do tego ludzi. Jednak gospodyni postanowiła mnie oszczędzić:

— No dobra, nie owijajmy w bawełnę. Rozglądasz się za tą dziewczuszką w czerwonej sukience.

— Jest pani spostrzegawcza.

— Taa. Nie ma jej tu. I nie wiem, gdzie jest. Pan z mafii czy jak?

— Zabawne pytanie.

— Śmieszne, że boki zrywać. Gnat wypycha ci marynarke pod pachą, a nie jesteś bohaterem Dzikiego Zachodu.

— A ja się łudziłem.

Posłała mi twarde spojrzenie. Jej oczy wyglądały jak zakurzone okazy minerałów: malachity albo bryłki siarczanu miedziowego.

— No o co biega? Ta mała mówiła, że gangsterzy depczą jej po piętach. Ale ty nie jesteś gangsterem?

— Jestem prywatnym detektywem. Jej mąż wynajął mnie, żebym ją odszukał.

Nagle uprzytomniłem sobie, że jestem dokładnie w tym samym miejscu, w którym zacząłem, tylko dwadzieścia osiem godzin później, w innym stanie. Ale czułem się tak,

jakby minęło dwadzieścia osiem dni.

— A co on robi, jak już ją znajdziesz? — spytała kobieta. — Spierze ją?

— Zaopiekuje się nią. Ona tego potrzebuje.

— Możliwe. Wciskała mi kit o tej mafii? Znaczy się bujała mnie?

— Raczej nie. Wymieniała jakieś nazwiska?

Gospodyni skinęła głową.

— Jedno. Carl Stern.

— Słyszała pani o nim kiedyś?

— Taak. Zeszłej jesieni cwaniaki z „Sun” zdobyli jego kartotekę i umieścili na pierwszej stronie, kiedy starał się o licencję na hazard. To nie on jest mężem tej małej?

— Jej mężem jest miły chłopak z Toronto. Nazywa się George Wall. Kumple Sterna posłali go do szpitala. Chcę dotrzeć do jego żony, zanim z nią zrobią to samo.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej.

— Co zrobiła Sternowi?

— O to właśnie chcę ją zapytać. Gdzie ona teraz jest?

Kobieta znów zmierzyła mnie kamiennym spojrzeniem.

— Pokaż no mi swoją licencję. Licencja nic nie znaczy, wiem. Gość, który załatwił mi rozwód, był licencjonowanym prywatnym detektywem. I draniem jakich mało.

— Ja jestem inny — odparłem z nieodzownym uśmiechem, prezentując dokument.

Spojrzała na mnie ostro.

— Nazywasz się Archer?

— Tak.

— Ale numer. Ona próbowała się do ciebie wczoraj dozwonić. Zapukała do drzwi koło drugiej i chciała skorzystać

z mojego telefonu. Była blada i cała się trzęsła. Zapytałam, co jest grane. Załamała się i powiedziała, że gangsterzy ją ścigają albo niedługo zaczną ścigać. Chciała zadzwonić na lotnisko, wsiąść do samolotu i jak najprędzej stąd prysnąć. Zamówiłam rozmowę, ale bilety były dopiero na rano. Wtedy zaczęła wydzwaniać do ciebie.

— Po co?

— Nie powiedziała. Jeśli jesteś jej przyjacielem, czemuś nic nie gadał? Więc znasz Rinę Campbell?

— Kogo?

— Rinę Campbell. Tę dziewczynę, o której mówimy. Musiałem jakoś zatuszować wpadkę, ale marnie mi to wyszło.

— Tak mi się zdaje. Ona wciąż tu jest?

— Podałam jej nembutal i sama położyłam do łóżka. Do tej pory nawet nie pisnęła. Pewnie jeszcze śpi, biedaczka.

— Chcę się z nią zobaczyć.

— Takie odniosłam wrażenie. Ale to wolny kraj i jeśli dziewczyna nie wyrazi chęci, nie można jej zmusić.

— Nie mam złych zamiarów.

— Oby tak było, braciszku. Tylko spróbuj ją tknąć, a osobiście cię zastrzelę.

— Lubi ją pani, prawda?

— A dlaczego nie? To naprawdę dobra dziewczyna, nie spotkasz porządniejszej. Nie obchodzi mnie, co przeskrobała.

— Pani też jest w porządku.

— Czyżby? Wątpię. Byłam kiedyś, jak miałam te lata co Rina. Zaoszczędziłam trochę dobrego na czarną godzinę. Jeśli nie potrafisz dać światu krzty ciepła i dobroci, to lepiej schowaj się w mysiej dziurze.

— Nie dosłyszałam pani nazwiska.

— I nic dziwnego, bo się nie przedstawiłam. Jestem Carol. Carol Busch. — Podała mi zaczerwienioną, nieładną rękę.

— Pamiętaj, że jeśli Rina zmieniła zdanie i nie chce cię widzieć, zmywasz się raz-dwa.

Otworzyła wewnętrzne drzwi, a potem zamknęła je mocno za sobą. Wyszedłem na zewnątrz, żeby widzieć obydwu wyjścia. Charles Meyer wciąż czekał w taksówce.

— Hej. No i co, udało się?

— Pudło. Koniec akcji. Ile ci jestem winien?

Taksówkarz przechylił się i spojrzał na licznik.

— Trzy siedemdziesiąt pięć. .Odstawić cię do śródmieścia? Za pół ceny.

— Przejdę się. Trochę ruchu dobrze mi zrobi.

Spojrzał na mnie z kocim smutkiem. Wiedział, że kłamie, i znał powód: nie ufałem mu. Carol Busch zawołała z pomieszczenia sąsiadującego z recepcją:

— Możesz wejść. Chce z tobą porozmawiać.

ROZDZIAŁ 27

Carol wpuściła mnie i została za drzwiami. W pokoju było chłodno i panował półmrok. Okiennice i ciężkie zasłony nie przepuszczały światła. Jedyne jego źródłem była lampa stojąca przy łóżku. Dziewczyna siedziała w nogach nieposłanego hollywoodzkiego łóża, twarzą odwrócona od lampy.

Zrozumiałem, dlaczego kryje twarz, kiedy na mnie spojrzała. Miała powieki spuchnięte od łez albo nembutalu. Jasne włosy były niestarannie uczesane. Nosila czerwoną sukienkę tak, jakby to była niewyprawioną skórą. Noc osłabiła w niej przekonanie, że uroda wszystko za nią załatwi.

— Witam — odezwała się cicho i trochę piskliwie.

— Cześć, Rino.

— Wie pan, kim jestem — zauważyła ponuro.

— Tak, wiem. Powinienem był się domyślić, że gra pani siostrzyczkę. Gdzie ona się podziewa?

— Hester ma kłopoty. Musiała wyjechać z kraju.

— Jest pani tego pewna?

— Nie jestem pewna niczego od czasu, jak dowiedziałam się o śmierci Lance'a.

— Skąd pani się dowiedziała? Wczoraj nie chciała mi pani uwierzyć.

— Teraz nie mam wyjścia. W hotelu była gazeta z Los Angeles, w artykule z pierwszej strony pisano o jego śmierci. — Rina uniosła ciężko powieki. Jej ciemnoniebieskie oczy zmieniły się w subtelny sposób w ciągu tych trzynastu godzin: widziały więcej i coraz mniej podobało im się to, co widzą. — Czy moja siostra... czy Hester go zabiła?

— Nie wykluczam tego, ale wątpię. Powiedzieli pani, że wyjechała do Meksyku, Kanady czy na Hawaje?

— Tego nie powiedzieli. Carl Stern stwierdził, że lepiej, abym nie wiedziała.

— W jakim celu pani tu jest? Ma pani zapewnić jej alibi?

— Myślę, że o to właśnie chodzi. — Spojrzała na mnie. — Niech pan tak nade mną nie stoi. Chętnie powiem panu, co wiem, ale proszę mnie nie przesłuchiwać. Mam za sobą straszną noc.

Dotknęła palcami mokrego czoła. Na nocnym stoliku leżała paczka chusteczek higienicznych. Podałem jej jedną otarła czoło i wydmuchała nos. Nagle cienkim jak dźwięk fletu głosem zadała mi zaskakujące pytanie:

— Jest pan dobrym człowiekiem?

— Chętnie tak o sobie myślę — odparłem, ale jej szczerość zmusiła mnie do zastanowienia. — Nie, nie jestem dobrym człowiekiem. Staram się nim być, kiedy pamiętam, ale z każdym rokiem jest coraz trudniej. To tak jak podciąganie jedną ręką na drążku. Można ćwiczyć przez całe życie i się nie nauczyć.

Rina chciała się uśmiechnąć, ale łagodne kąciki jej ust nie chciały się unieść.

— Mówi pan jak przyzwoity człowiek. Czemu przyszedł pan wczoraj do domu mojej siostry? Jak dostał się pan do środka?

- Włamałem się.
- Dlaczego? Ma pan coś przeciwko niej?
- Nic osobistego. Jej mąż poprosił mnie, żebym ją odnalazł. I właśnie to chciałem zrobić.
- Hester nie ma męża. Miała, ale umarł.
- Tak pani powiedziała?
- A to nieprawda?
- Ona nie mówi prawdy, jeśli kłamstwo może załatwić sprawę.
- Wiem! — Rina westchnęła. Po chwili głosem pozbawionym sentymentu dodała: — Ale jest moją siostrą i kocham ją. Zawsze robiłam dla niej tyle, ile mogłam. I nadal będę.
- I dlatego pani tu jest.
- Tak, właśnie dlatego. Lance i Carl Stern powiedzieli, że mogę oszczędzić Hester wiele łez, może nawet więzienia. Miałam tylko przylecieć tutaj pod jej nazwiskiem, zameldować się w hotelu i zniknąć, a potem pojechać taksówką na skraj pustyni za lotniskiem. Carl Stern miał mnie stamtąd zabrać. Ale go nie spotkałam. Wróciłam tutaj. Nerwy mnie zawiodły.
- Czy dlatego chciała pani do mnie zadzwonić?
- Tak. Gdy zobaczyłam w gazecie ten artykuł o Lansie, dało mi to do myślenia. Lance nie żył, więc może reszta też była prawdziwa. Przypomniałam sobie pierwszą rzecz, którą powiedział pan na mój widok w sypialni Hester. — Rina mówiła bardzo uważnie jak dziecko powtarzające wyuczoną na pamięć lekcję. — Wziął mnie pan za moją siostrę i powiedział, że myślał, że ja — to znaczy ona nie żyje.
- Tak powiedziałem.
- To była prawda?
- Zawahałem się. Rina wstała, chwiejąc się lekko, i chwyciła mnie mocno za rękę.
- Czy Hester nie żyje? Proszę mi powiedzieć. Zniosę to.

— Przykro mi, ale nie znam odpowiedzi na to pytanie.

— A jak pan uważa?

— Myślę, że została zabita wczoraj po południu w Beverly Hills. A alibi, które ci ludzie usiłują stworzyć, nie jest dla Hester, tylko dla jej zabójcy.

— Pan wybaczy, ale nie rozumiem.

— Przypuścimy, że Hester zginęła wczoraj po południu. Pani się za nią podała, przyleciała tutaj, zameldowała się w hotelu i zniknęła. Wówczas nie wypytywano by o nią w Los Angeles.

— Ja bym wypytywała.

— Gdyby wróciła pani żywa.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens moich słów, a w następnej zdołała dopasować go do swojej sytuacji. Zamrugła powiekami, wstrząśnięta tą myślą. W jej oczach dostrzegłem strach.

— Co pana zdaniem powinnam zrobić?

— Ulotnić się, dopóki rzecz nie zostanie wyjaśniona. Ale najpierw chciałbym się czegoś od pani dowiedzieć. Nie wyjaśniła pani, dlaczego pozwoliła im wykorzystać się jak jakaś naiwna. Nie powiedziała też pani, ile wie o siostrze. Czy ona opowiedziała pani o swoich sprawach?

— Nie miała takiego zamiaru, ale się domyśliłam. Ja chętnie o wszystkim panu opowiem, panie Archer. W pewnym sensie ponoszę taką samą winę jak Hester. Czuję się za wszystko odpowiedzialna.

Rina zrobiła pauzę i rozejrzała się po żółtych ścianach. Brzydota tego wnętrza zdawała się ją paraliżować. Jej wzrok zatrzymał się na drzwiach za moimi plecami i znieruchomiał. Rozwarły się w chwili, gdy się odwróciłem. Ostry blask słońca uderzył mnie w oczy i odbił się od trzech pistoletów. Jeden z nich trzymał Frost. U jego boków stali Lashman i Marfeld.

Dostrzegłem na zewnątrz panią Busch, która czołgała się po żwirze. Rozklekotana taksówka Charlesa Meyera oddalała się w stronę centrum. Kierowca nie obejrzał się za siebie.

Objąłem to wszystko wzrokiem, sięgając pod pachę. Nie zdołałem dokończyć ruchu. Dzień, noc i następny dzień otepiły mnie i reagowałem w niewłaściwy sposób, ale wiedziałem, że broń w mojej ręce byłaby spełnieniem ich marzeń. Zamarłem więc z dłonią na piersi.

Frost uśmiechnął się jak trupia czaszka na tle boleśnie błękitnego nieba. Był ubrany w kolorową jedwabną koszulę, kapelusz panama z paskiem i białe flanelowe spodnie, jakie noszą tenisiści. W dłoni trzymał niemiecki pistolet maszynowy. Przycisnął czubek lufy do środka mojej klatki piersiowej i odebrał mi broń.

— Ręce na głowę. Cóż za urocza niespodzianka.

Podniosłem ręce.

— Mnie też się podoba.

— Odwróć się.

Pani Busch podniosła się na nogi.

— Wstrętne dranie! — krzyknęła, rzucając się na najbliższego napastnika. Był nim Marfeld. Odwrócił się i rąbnął ją w twarz lufą pistoletu. Upadła na ziemię, jej włosy rozsypały się na posadzce niczym płomień ognia.

— Zabiję cię, Marfeld — warknąłem.

Spojrzał na mnie z radością. Jeśli Marfeld potrafi odczuwać coś takiego jak radość.

— Kogo do tego wynajmiesz, chłoptasiu? Jesteś tu workiem, a nie bokserem. Zapamiętaj to sobie.

Trzasnął mnie pistoletem w bok głowy. Niebo zakołysało się niczym niebieski balonik na sznurku.

— Przestań — rzekł ostro Frost. — I odczep się od tej

kobiety, na litość boską. — Do mnie odezwał się łagodniej: — Odwróć się i nie opuszczaj rąk.

Spełniłem polecenie. Strużki krwi przesuwaly się po moich włosach i twarzy niczym robaczki. Rina siedziała na łóżku pod ścianą, z nogami podciągniętymi pod brodę. Drżała.

— Rozczarowujesz mnie, laleczko — rzekł Frost. — Ty też, Lew.

— Sam jestem sobą rozczarowany.

— Po tylu latach przyjaźni nie chciałeś posłuchać moich dobrych rad.

— Wzruszasz mnie. Ostatnio się tak wzruszyłem, słysząc wycie hieny.

Frost dźgnął mnie lekko lufą w nerkę. Marfeld zrobił kilka zamaszystych kroków i stanął przede mną.

— Tak się nie mówi do pana Frosta.

Zamachnął się grzbietem dłoni w stronę mojej szyi. Opuściłem podbródek, żeby zasłonić krtań, i przyjąłem cios na usta. Zacharczałem i wyrzuciłem ku niemu ręce. Lashman złapał mnie za prawe ramię i uwiesił się. Marfeld uderzył mnie hakiem w brzuch. Zgiąłem się w pół, a potem wyprostowałem, czując w ustach gorzki smak wykrztuszonej kawy.

— Dość tego — powiedział Frost. — Trzymaj go na muszce, Lash.

Frost ominął mnie i podszedł do łóżka. Poruszał się niezgrabnie, z przygarbionymi ramionami.

— Jesteś gotowa, skarbie? — zapytał suchym zmęczonym głosem.

— Gdzie moja siostra?

— Przecież wiesz, że musiała wyjechać z kraju. Chcesz jej pomóc, prawda? — Nachylił się do niej, udając szarmancką opiekuńczość.

Zasyczała na niego, szczerząc zęby.

— Nie pozwoliłabym ci się przeprowadzić przez ulicę. Cuchniesz z daleka! Chcę zobaczyć siostrę.

— Pójdiesz z nami, nawet jeśli trzeba będzie cię wynieść. Więc się rusz.

— Nie. Chcę stąd odejść. Zabiliście moją siostrę.

Zsunęła się z łóżka i skoczyła do drzwi. Marfeld złapał ją w pasie i szczerząc zęby, przyciągnął szarpiącą się dziewczynę do siebie. Zadrapała go w policzek. Złapał jej rękę i wygiął do tyłu, a potem płaską dłonią zdzielił ją w głowę. Rina stanęła potulnie pod ścianą.

Poczułem, że lufa broni odsunęła się od moich pleców. Obejrzałem się. Lashman łakomymi oczyma podglądacza gapił się na kompana poniewierającego dziewczynę. Wyrwałem mu broń, zanim zdążył wystrzelić, i rąbnąłem go w lewą skroń. Zwalił się na drzwi.

Marfeld skoczył mi na plecy. Był masywny i silny. Zaciśnął rękę na mojej szyi. Zwinąłem się i uderzyłem jego ciałem o futrynę. Omal nie urwał mi głowy, ale runął na Lashmana twarzą do góry. Walnąłem go między oczy ręką-jeścią pistoletu.

Odwrociłem się do Frosta w chwili, gdy naciskał spust, i rzuciłem się w bok. Kule wbiły się w ścianę nad moją głową. Trafiłem go prawą rękę. Pistolet spadł z łoskotem na podłogę. Podniosłem go wolną ręką, wstałem, oparłem się plecami o ścianę i rozejrzałem.

Klimatyzator dudnił i zawodził w ścianie za moją głową niczym zraniony ptak. Dziewczyna z pobielaną twarzą stała naprzeciwko. Frost siedział między nami na podłodze, trzymając się lewą dłonią za rękę. Krew wypływała mu spomiędzy palców. Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Strach przed śmiercią, który nigdy nie opuszczał jego oczu, zawładnął teraz całą twarzą. Marfeld leżał w drzwiach z głową na piersi Lashmana. Jego pocięte czerwonymi żyłkami oczy patrzyły w stronę głębokiego sinego rozcięcia na czole.

Oprócz jego chrapliwego oddechu i rżenia klimatyzatora w pokoju panowała cisza.

Pani Busch stanęła chwiejnie w wejściu. Jedno oko miała podbite i spuchnięte, ale jej uśmiechnięte usta krwawiły. W dłoniach trzymała półautomatyczny pistolet kalibru .45. Frost spojrzął w jego drżące oko i zaczął się czołgać pod łóżko. Było zbyt niskie. Legł obok niego, pojękując.

— Niech pani nie strzela, błagam. Jestem chory.

Kobieta zaśmiała się głośno.

— Patrzcie, jak się wije i skomle.

— Nie zabijaj go — powiedziałem. — Może to dziwnie zabrzmiało, ale ten padalec jest mi potrzebny.

ROZDZIAŁ 28

Rina usiadła za kierownicą cadillaca Frosta. Ja jechałem na tylnym siedzeniu z właścicielem. Rina zrobiła z kilku hotelowych ręczników opaskę uciskową i temblak. Frost siedział, piastując zranioną rękę i odmawiając rozmowy. Wskazywał tylko drogę.

Za lotniskiem odbiliśmy w prawo w stronę gór, które stały w promieniach słońca, nagie i pocięte zmarszczkami. Droga pięła się ku niebu, coraz węższa; nawierzchnia zmieniła się w szutrową. Pokonaliśmy niski grzbiet i znaleźliśmy się nad doliną z białym dnem, na którym nic nie rośło.

Na wewnętrznym stoku w pobliżu grzbietu stał betonowy budynek z zaokrąglonym dachem. Przysadzisty i pozbawiony okien, przypominał bunkier. I rzeczywiście był to nieużywany magazyn amunicji.

— Ona jest w środku — oznajmił Frost.

Rina obejrzała się przez ramię. Zahamowała nerwowo, samochód drgnął i znieruchomiał. Wysiedliśmy. Smuga kondensacyjna odrzutowca przecinała jasne błękitne niebo niczym długa biała blizna. Powiedziałem Rinie, żeby została w aucie.

— Możesz odłożyć broń — rzekł Frost. — W środku nie ma nikogo oprócz Hester.

Prowadziłem go przed sobą po stoku w stronę jedynych drzwi do budynku. Były okute rdzewiejącą blachą i do połowy otwarte. Na sztabie wisiała pęknięta kłódka. Otworzyłem je do końca, trzymając Frosta na muszce. Z wnętrza doleciał podmuch ciepłego powietrza. Niósł swąd pieca, w którym przypaliło się mięso.

Frost stanął nieruchomo, ale zmusiłem go do wejścia. Staliśmy na wąskiej platformie, spoglądając w półmrok. Betonowa posadzka znajdowała się jakieś sześć stóp poniżej poziomu drzwi. Padały na nią nasze cienie obramowane światłem. Odepchnąłem Frosta w bok i spojrzałem. Na posadzce leżała poczerniała postać podobna do mumii. Strawił ją ogień, choć powinien to zrobić czas.

— To twoja robota?

— Ależ skąd, jej męża — zaprzeczył bez przekonania Frost. — To z nim powinieneś gadać. Przywłókł się tu za nią z Los Angeles, wiedziałeś o tym? Ogłuszył ją i podpalił.

— Kiepsko ci idzie łganie, Frost. Rozmawiałem z jej mężem. Przywieźliście go tutaj samolotem Sterna, chcieliście go wrobić w morderstwo. Zwłoki Hester pewnie leciały z wami. Ale się nie udało. Wszystkie wasze plany szlag trafił.

Frost milczał; drganie jego powieki odmierzało czas.

— To nie był mój pomysł, tylko Sterna. Benzynę też on wymyślił. Zaproponował podpalenie, żeby policja po znalezieniu ciała nie mogła ustalić, kiedy nastąpił zgon. Dziewczyna już nie żyła, my ją tylko kremowaliśmy.

Spojrzałem na ciało Hester. Wystraszony Frost zamilkł i gapił się na zwłoki szeroko otwartymi oczyma. Nagle złapał mnie za rękę i mocno ścisnął.

— Wyjdźmy stąd, Lew. Jestem chory, nie mogę na to patrzeć.

Strzasnąłem jego dłoń.

— Najpierw powiesz mi, kto ją zabił.

Po dłuższej chwili odparł:

— Isobel Graff.

— Skąd wiesz?

— Marfeld ją widział. Wybiegła z domu Hester strasznie roztrzęsiona. Wszedł do środka i zobaczył Hester na podłodze w salonie. Miała głowę rozwaloną pogrzebaczem, który leżał na niej. Nie mogliśmy jej tak zostawić. Gliny na pewno uczepliłyby się Graffa...

— Co łączyło Hester z Graffem?

— Isobel uważała, że często przebywają w swoim towarzystwie, tak to ujmijmy. W każdym razie musiałem coś zrobić ze zwłokami. Chciałem je wrzucić do oceanu, ale Graff się sprzeciwił: powiedział, że ma dom nad oceanem w Malibu. A potem Lance Leonard wpadł na inny pomysł.

— A co Lance miał do tego?

— Przyjaźnił się z Hester. Pożyczyła jego wóz, a on podjechał, żeby go odebrać. Miał klucz do jej domu, wszedł do środka i zastał Marfelda przy zwłokach. Miał powody, żeby zatuszować zabójstwo, więc zaproponował, by zwrócić się o pomoc do siostry Hester. Są do siebie podobne jak dwie krople wody, a Leonard znał obie. Namówił Rinę, żeby przyleciała do Las Vegas.

— Co miało się z nią stać?

— To już był problem Sterna. Ale wygląda na to, że zerwał umowę. Nie rozumiem, jak może sobie na to pozwolić.

— Wszystko wymyka ci się z rąk — zauważyłem. — A kiedyś pociągałeś za sznurki. Od kiedy to goryle i cyngle myślą za ciebie?

Frost skrzywił się i zwiesił głowę.

— Przystałem być sobą. Od trzech miesięcy faszeruję się demerolem.

— Jesteś uzależniony?

— Jestem umierający. Choroba wyżera mi wnętrzności. W tej chwili czuję potworny ból. Nie powinienem w ogóle chodzić.

— Nie będziesz musiał. W celi wolno siedzieć.

— Twardy z ciebie gość, Lew.

— Przestań mi mówić po imieniu. Powinienem cię tu zostawić, musiałbyś wrócić pieszo.

— Nie zrobisz mi tego. — Znów chwycił mnie za rękę.

— Posłuchaj, Lew... Panie Archer. Rozmawialiśmy o wyjeździe do Włoch, prawda? Mogę panu zapłacić pięćset dolarów na tydzień przez dwadzieścia sześć tygodni. Żadnych obowiązków. Nic do roboty. Wakacje na koszt firmy...

— Obejdzie się. Nie tknąłbym twojego miedziaka w gumowych rękawiczkach.

— Ale nie zostawi mnie pan tu?

— Czemu nie? Ty ją zostawiłeś.

— Nie rozumie pan. Zrobiłem to, co musiałem. Byliśmy w potrzasku. Ta dziewczyna tak to ustawiła. Miała coś na szefa i jego żonę, dowody przeciwko nim. Dała je Carlowi Sternowi. To on wymusił na nas umowę, w pewnym sensie. Ja rozegrałbym to inaczej.

— A więc wszystko, co zrobiłeś, to wina Sterna.

— Tego nie powiedziałem, ale on dyktował warunki. Musieliśmy z nim współdziałać. Tak było od miesiący. Stern zmusił nawet szefa, żeby użył nazwiska jego nowej inwestycji.

— Jakie dowody ma Stern przeciwko Graffom?

— Ja miałbym to panu powiedzieć?

— Tak. I to natychmiast. Mam cię powyżej uszu, Frost.

Cofnął się i oparł o pionową belkę. W padającym z boku świetle jego twarz była blada jak papier. Tak jakby korupcja zżarła go od środka i zostawiła tylko cieniutką powłokę.

— Broń — wyduślił z siebie Frost. — Pistolet sportowy należący do pana Graffa. Parę lat temu Isobel zastrzeliła z niego dziewczynę.

— Gdzie Stern trzyma tę broń?

— W skrytce depozytowej. Tyle się dowiedziałem, jednak nie mogłem się do niej dostać. Ale wczoraj wieczorem miał go ze sobą w samochodzie. Pokazał mi. — Mętnożółte oczy Frosta rozjaśniły się na chwilę. — Lew, dostałem pozwolenie, żeby zapłacić sto tysięcy za ten pistolecik. Bystry i silny z ciebie gość. Możesz go odebrać Sternowi?

— Ktoś już to zrobił. Wczoraj w nocy Sternowi poderżnięto gardło. A może już o tym wiesz, Frost?

— Nie wiedziałem. Jeśli to prawda, to sytuacja bardzo się zmieniła.

— Ale nie dla ciebie.

Wyszliśmy z budynku. Dno doliny mieniło się połyskliwe od gorąca. Ślad samolotu na niebie zaczął się rozmywać. W tej niegościnniej scenerii cadillac wyglądał nie na miejscu jak statek kosmiczny, który rozbił się w górach księżycowych. Rina stała z twarzą zwróconą ku górze i pozbawioną wyrazu. Miałem dla niej złe wieści.

ROZDZIAŁ 29

Później, gdy o zachodzie słońca znaleźliśmy się na równinie, mogliśmy o tym pomówić. Leroy Frost — który wszystkiego się wypierał, protestował i wzywał adwokatów i lekarzy — został razem z Marfeldem i Lashmanem odstawiony do strzeżonego oddziału szpitala. Szczątki Hester Campbell trafiły do podziemi tej samej kliniki i czekały na autopsję. Wyjawiłem szeryfowi i prokuratorowi okręgowemu tyle, że byli gotowi wydać Frosta władzom innego stanu w związku z zarzutem popełnienia morderstwa. Ostateczne rozwiązanie sprawy miało nastąpić w Kalifornii.

Samolot DC-6 oderwał się od pasa i wspiął się po błękitnej rampie powietrza. Na pokładzie było zaledwie kilkadziesiąt pasażerów, więc Rina i ja mieliśmy dla siebie całą przednią część kabiny. Kiedy napis PROSIMY NIE PALIĆ zgasł, skrzyżowała nogi i zapaliła papierosa.

— Chyba zawdzięczam ci życie, jak to mówią w książkach — rzekła cicho, nie spoglądając na mnie. — Nie wiem, jak mogłabym ci się odwdzieczyć. Pewnie powinnam zaproponować, że pójdę z tobą do łóżka. Chciałbyś?

— Przystań — odparłem. — Masz za sobą ciężkie przejścia i popełniłaś błąd, a ja jestem w to uwikłany. Ale nie musisz się na mnie wyżywać.

— Nie chciałam być uszczypliwa — odparła nieco uszczypliwie. — Całkiem poważnie zaproponowałam ci swoje ciało. Nic lepszego nie mam.

— Daj spokój, Rina.

— Nie jestem dość atrakcyjna, to chcesz powiedzieć?

— Pleciesz. Ale nie mam ci tego za złe. Przeżyłaś straszne chwile.

Na moment pograżyła się w posępnym milczeniu, spoglądając na chiński mur pasma górskiego, nad którym przelatywaliśmy.

— Masz całkowitą rację — rzekła po namyśle tonem skruchy. — Bałam się, pierwszy raz w życiu naprawdę się bałam. To dziwne uczucie. Poczułam się prawie jak dziwka, jakbym nie była nic warta.

— Tym draniom chodzi właśnie o to, żebyś tak się czuła. Gdyby wszyscy czuli się jak zombi, byłibyśmy na tym samym poziomie. A łotrom uchodziłyby na sucho ich najgorsze sprawy. Ale nie uchodzą. Występek nie cieszy się już takim poważaniem jak kiedyś, nawet w Los Angeles. Dlatego trzeba było zbudować Las Vegas.

Rina się nie uśmiechnęła.

— Czy tam jest aż tak strasznie?

— Zależy, kogo wybierzesz sobie do zabawy. Ty wybrałaś najgorzej, jak można.

— Nie wybierałam ich sobie. I nigdy się z nimi nie bawiłam. Gardzę nimi. Już przed laty ostrzegałam Hester, że Lance to trucizna. A Carlowi Sternowi powiedziałam prosto w twarz, co o nim myślę.

— Kiedy to było? Wczoraj wieczorem?

— Parę tygodni temu. Poszłam na podwójną randkę z Lance'em i Hester. Może to było głupie, ale chciałam wy badać, co jest grane. Hester przyprowadziła dla mnie Carla Sterna, wyobrażasz sobie? Podobno jest milionerem, a Hester zawsze uważała, że pieniądze są najważniejsze. Nawet wtedy nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chcę grać tak, jak zagra mi Stern. Choć to i tak na nic by się zdało — ciągnęła z ironią. — On nie był bardziej zainteresowany mną niż ja nim. Przez całym wieczór spędzony w różnych klubach trącał się pod stołem nogami z Lance'em. Hester nic nie widziała, a może jej to nie obchodziło. W pewnych sprawach była bardzo tępa. Mnie jednak obchodziło, przez wzgląd na nią. W końcu powiedziałam im, że mam dość, i zostawiłam całą trójkę.

— Co im powiedziałaś?

— Prosta niezawalowaną prawdę. Że Carl Stern to homoseksualista i pewnie jeszcze gorzej, i że Hester odbiło, jeśli włączy się z nim i jego chłoptasiem.

— Wspomniałaś o szantażu?

— Tak. Powiedziałam, że mam takie podejrzenia.

— To było nieostrożne. Dałaś Sternowi powód, żeby zapragnął twojej śmierci. Jestem prawie pewny, że wczoraj w nocy chciał cię zabić. Twoje szczęście, że zginął pierwszy.

— Naprawdę? Nie mogę uwierzyć... — Ale uwierzyła. Zaschło jej w gardle; przez chwilę siedziała i przetykała ślinę. — Tylko dlatego, że coś podejrzewałam...?

— Podejrzewałaś szantaż i nazwałaś go pedałem. Morderstwo to dla niego pestka. Dzisiaj po południu obejrzałem jego kartotekę; władze stanu Nevada sporo na niego mają. Nic dziwnego, że nie mógł dostać licencji na swoje nazwisko. W latach trzydziestych był związany z chicagowskim syndykatem zbrodni, podejrzewanym o popełnienie ponad trzydziestu zabójstw.

— Czemu go nie aresztowano?

— Był aresztowany, ale nie mogli mu niczego udowodnić. Nie pytaj dlaczego. Zapytaj polityków, którzy mają pod sobą gliny w Nowym Jorku, Jersey, Cleveland i w innych miastach. Zapytaj wyborców, którzy na tych polityków głosowali. Stern wylądował w Vegas, ale działał dla wszystkich. Pracował dla Lepkego i Game Boya Millera z Cleveland, dla Lefty'ego Clarka z Detroit i gangu Trans America z Los Angeles. Terminował u Siegla, a kiedy zdmuchnięto Siegla, postanowił go zastąpić w interesach.

— Jakie to były interesy?

— Przekręty bukmacherskie, handel narkotykami, prostytutka i wszystko, na czym można było szybko i nielegalnie zarobić. Został milionerem, a nawet multimilionerem. W samej Casbah utopił milion dolarów.

— Nie rozumiem, dlaczego wziął się do szantażu. Nie potrzebował pieniędzy.

— Był wychowankiem syndykatu, a szantaż to od dawna jedno z głównych źródeł potęgi gangów. Nie chodziło o forszę, tylko o wpływy. Nazwisko Simona Graffa dało mu szansę zalegalizowania działalności, zaistnienia.

— A ja mu pomogłam. — Rysy twarzy Riny aż tak się wyostrzyły, że stała się niemal brzydka. — Umożliwiłam to. Powinnam sobie odgryźć język.

— Zanim to zrobisz, wyjaśnij mi, co masz na myśli. Rina wciągnęła szybko powietrze.

— Po pierwsze, jestem pielęgniarką psychiatryczną.

Zamilkła. Trudno było jej zacząć.

— Tak powiedziała mi twoja matka.

Rina spojrzała na mnie przeciągle.

— Kiedy widziałeś moją matkę?

— Wczoraj.

— Co o niej sądzisz?

— Polubiłem ją.

— Naprawdę?

— Lubię kobiety w ogóle i nie jestem przesadnie krytyczny.

— A ja jestem — rzekła Rina. — Zawsze podejrzliwie patrzyłam na mamę, jej wyniosłe miny, pozy i wielkie plany. Ona odpłacała mi tym samym. Hester była jej ulubienicą, małą powierniczką. Albo na odwrót. Rozpieściła moją siostrę, a jednocześnie miała wobec niej wielkie oczekiwania: chciała, żeby Hester została kimś wielkim. Tylko tyle. A ja przez piętnaście lat siedziałam z boku i obserwowałam, jak dziewczynki uprawiają ten emocjonalny ping-pong. Nie byłam całkiem niewinnym gapiem, trzecią niepotrzebną osobą do towarzystwa, tą, która obserwuje bez sympatii. — Brzmiało to jak przemówienie, które wielokrotnie sama przed sobą ćwiczyła. W jej głosie brzmiała gorycz zaprawiona rezygnacją. — Wyrwałam się z tego, gdy tylko mama mi pozwoliła, zaraz po skończeniu liceum. Poszłam do szkoły dla pielęgniarek w Santa Barbara i rozpoczęłam staż w Camarillo.

Mówienie o zawodzie albo wylanie swoich emocji związanych z rodziną przywróciły jej trochę pewności siebie. Wyprostowała ramiona i wypięła piersi.

— Mama twierdziła, że postradałam zmysły. W czasie pierwszego roku doszło między nami do ostatecznej kłótni i od tego czasu rzadko ją widywałam. Tak się składa, że lubię pomagać chorym, zwłaszcza tym z zaburzeniami psychicznymi. To pragnienie bycia potrzebnym, tak myślę. Ostatnio zainteresowałam się terapią zajęciową. Właśnie to jest moja specjalność u doktora Freya.

— Tego samego, który prowadzi sanatorium w Santa Monica?

Rina skinęła głową.

— Pracuję tam od ponad dwóch lat.

— Znasz więc Isobel Graff.

— Naturalnie. Została przyjęta wkrótce po tym, jak zaczęłam pracować. Była tam już wcześniej, więcej niż raz. Doktor orzekł, że jest w gorszym stanie niż zwykle. Ona cierpi na schizofrenię od dwudziestu lat, która przy silnym natężeniu prowadzi do iluzji paranoidalnych. Doktor powiedział, że były skierowane przeciwko jej ojcu, kiedy jeszcze żył. Tym razem kierowały się przeciwko panu Graffowi. Wydawało jej się, że mąż spiskuje przeciwko niej, i postanowiła go uprzedzić. Doktor Frey uważał, że pan Graff powinien umieścić ją w zakładzie zamkniętym dla własnego bezpieczeństwa. Raz na jakiś czas iluzje przeradzają się w czyny. Widziałam to na własne oczy. Doktor Frey zaaplikował jej leczenie metrazolem i pani Graff stopniowo się uspokoiła. Kiedy to się stało, wciąż trudno było nawiązać z nią kontakt. Ja nadal chciałam się nią opiekować, ale doktor twierdził, że nie stanowi zagrożenia. Znał ją lepiej ode mnie i w końcu to on był lekarzem, nie ja. W połowie marca pozwolił jej poruszać się po terenie. Nie powinnam kwestionować decyzji lekarza, ale doktor popełnił błąd. Isobel nie była gotowa do swobody. Wystarczył drobny incydent i choroba wróciła.

— Co się wydarzyło?

— Nie wiem dokładnie. Może ktoś rzucił bezmyślną uwagę albo źle na nią spojrzął. Paranoicy tego rodzaju są prawie jak odbiorniki radiowe. Odbierają najslabszy sygnał z eteru i sami go wzmacniają tak bardzo, że nie słyszą nic innego. W każdym razie Isobel wymknęła się i nie przyszła przez całą noc. A gdy się zjawiła, wyglądała okropnie. Miała to straszne szklane spojrzenie jak ryba na haczyku. Powróciła do stanu, w którym ją w styczniu przyjęliśmy.

— Kiedy to się stało?

— Dwudziestego pierwszego marca, w pierwszy dzień wiosny. Nigdy nie zapomnę tej nocy. Właśnie wtedy zastrzelono w Malibu dziewczynę, którą znałam, Gabrielle Torres. Wówczas nie połączyłam ze sobą tych dwóch faktów.

— Ale teraz widzisz związek?

Rina zwiesiła smutno głowę.

— Hester mi go uświadomiła. Wiedziała coś, czego ja nie wiedziałam: że Gabrielle była kochanką Simona Graffa.

— Kiedy to wyszło na jaw?

— Latem zeszłego roku, kiedy jadłyśmy razem obiad. Hester nie miała wtedy ani centa, stawiałam jej lunch przy każdej okazji. Plotkowałyśmy i w pewnym momencie wspomniła o tamtej sprawie. Tak jakby nie dawała jej ona spokoju; Hester znów pracowała wtedy w Channel Club, dawała lekcje skoków do wody. Powiedziała mi o tym romansie; prawdopodobnie Gabrielle się jej zwierzyła. Bez zastanowienia opowiedziałam jej o ucieczce Isobel Graff z sanatorium tamtej nocy. Hester zareagowała jak licznik Geigera na promieniowanie i od razu zasypała mnie pytaniami. Myślałam, że pragnie tylko dowiedzieć się, kto zabił jej przyjaciółkę. Bez żadnych podejrzeń powiedziałam jej wszystko, co wiedziałam o Isobel, jej ucieczce i stanie psychicznym po powrocie. Tego dnia miałam dyżur wcześniej rano i to ja zajmowałam się Isobel przed przyjściem doktora Freya. Isobel przywlokła się przed świtem. Znajdowała się w bardzo złym stanie, nie tylko psychicznym. Była wyczerpana fizycznie. Teraz wydaje mi się, że pokonała całą drogę z Malibu, idąc, biegnąc i czołgając się. Musiała też wpaść do wody, bo miała mokre ubranie i piasek we włosach. Zaczęłam od tego, że zrobiłam jej gorącą kąpiel.

— Powiedziała ci, gdzie spędziła ten czas?

— Nie, nic nie powiedziała. Przez kilka dni w ogóle się nie odzywała. Doktor Frey zaczął się martwić, że wpada w katatonię. A gdy już zaczęła mówić, nigdy nie nawiązywała do tamtej nocy, w każdym razie werbalnie. Kiedyś, tej samej wiosny, zobaczyłam ją w sali robót ręcznych. Zwróciłam uwagę na przedmioty, które wykonała z gliny. Po tym, co widziałam na oddziałach chorób psychicznych, nie powinienam być zaszokowana, a jednak.

Rina zamknęła oczy, jak gdyby chciała odciąć się od tego wspomnienia.

— Lepiła dziewczęce figurki, a potem odrywała im głowy i niszczyła kawałek po kawałku niczym szamanka. Robiła też podobizny mężczyzn z ogromnymi... organami. Kopulujące zwierzęta z ludzkimi twarzami. Pistolety i pomieszane części ludzkiego ciała.

— To musiało być bardzo nieprzyjemne, ale niekoniecznie musiało coś znaczyć — zauważyłem. — Czy rozmawiała z tobą o tych rzeźbach?

— Nie ze mną. Doktor Frey nie zachęca pielęgniarek do praktykowania psychiatrii.

Odwróciła się na fotelu, dotykając mnie kolanem; szybko je cofnęła. Popatrzyła na mnie ciemnoniebieskimi oczyma. Zdumiałem się: zobaczyła w życiu tyle strasznych rzeczy, a mimo to jej spojrzenie pozostało niewinne.

— Spotkasz się z doktorem Freyem? — zapytała.

— Prawdopodobnie tak.

— Ale nie mów mu o mnie, proszę cię.

— Nie mam powodu, by to robić.

— To jest straszne złamanie zasad etyki zawodowej, kiedy pielęgniarka opowiada o swoich pacjentach. Przez kilka miesięcy po tym, jak wygadałam się przed Hester, chorowałam ze zmartwienia. Byłam taka głupia. Uwierzyłam, że raz

w życiu jest szczerą, że chce tylko poznać prawdę o śmierci Gabrielle. Nie powinnam była powierzać jej tak niebezpiecznej informacji. To jasne, do czego była jej potrzebna. Chciała ją wykorzystać do szantażowania pani Graff.

— Od jak dawna to wiesz?

Przez dłuższą chwilę zawodził ją albo głos, albo odwaga. Czekałem. Jej oczy pociemniały w zamyśleniu.

— Trudno to jednoznacznie stwierdzić. Można coś wiedzieć, a zarazem czegoś nie wiedzieć. Kiedy się kogoś kocha, długo trwa, zanim człowiek zmierzy się z prawdą o ukochanej osobie. Żywiłam podejrzenia prawie od początku. Od czasu gdy Hester odeszła z klubu i zaczęła mieszkać sama, praktycznie nie miała żadnych dochodów. Wszystko wyszło na jaw w czasie tej podwójnej randki, o której ci wspomniałam. Carl Stern się upił i zaczął się przechwalać hotelem w Las Vegas i tym, że trzyma w garści Simona Graffa. A Hester siedziała, popijając drinki z błyskiem w oczach. Przyszła mi do głowy dziwna myśl, że chce mi pokazać, jak świetnie się jej powodzi. Jak doskonale sobie poradziła w życiu, mimo wszystko. Właśnie tego nie wytrzymałam.

— Jak zareagowała twoja siostra?

— Nie czekałam na jej reakcję. Wysłałam z lokalu, siedzieliśmy w barze Dixie, i pojechałam taksówką do domu. Nigdy więcej nie zobaczyłam Hester. Nie widziałam żadnej z tych osób aż do wczoraj, gdy Lance do mnie zadzwonił.

— Poprosił cię, żebyś poleciała do Vegas, podszywając się pod siostrę?

Rina skinęła głową.

— Dlaczego się zgodziłaś?

— Wiesz dlaczego. Chodziło o zapewnienie Hester alibi.

— Mimo to wciąż nie wiem, dlaczego chciałaś to zrobić.

— Czy muszę się tłumaczyć? Po prostu chciałam. —

Namyśliła się chwilę i dodała: — Czułam, że jestem jej to winna. W pewnym sensie ponoszę taką samą winę jak ona. Nigdy by do tego wszystkiego nie doszło, gdyby nie ja. To ja ją wplątałam i uważałam, że muszę ją wyciągnąć. Ale Hester już nie żyła, prawda?

Rina zaczęła się trząść tak mocno, że szczękały jej zęby. Objąłem ją ramieniem; po chwili spazmy minęły.

— Nie obwiniaj się.

— Muszę. Nie rozumiesz? Jeśli Isobel Graff zabiła Hester, to z mojej winy.

— Nie rozumiem. Ludzie odpowiadają za swoje czyny. Poza tym mam pewne wątpliwości, czy to Isobel zabiła twoją siostrę. Nie jestem nawet pewien, czy zastrzeliła Gabrielle Torres. I nie będę pewien, dopóki nie zdobędę mocnych dowodów: przyznania się do winy, zeznania świadka albo pistoletu, z którego strzelała.

— Tak tylko mówisz.

— Nie. W tej sprawie zbyt pochopnie przyjąłem z góry pewne założenia.

Nie zapytała jakie. I dobrze, bo wciąż nie znałem ostatecznych odpowiedzi.

— Posłuchaj mnie, Rino. Masz silne poczucie sprawiedliwości i wiele wycierpiałś. Masz także skłonność do obwiniania siebie. Pewnie wychowano cię tak, żebyś za wszystko brała na siebie winę.

Rina siedziała sztywno, otoczona moim ramieniem.

— To prawda. Hester była młoda i wciąż pakowała się w kłopoty, a mama kierowała pretensje do mnie. Ale skąd to wiesz? Masz świetną intuicję.

— Szkoda tylko, że moja intuicja działa przeważnie wstecz. Ale jednego jestem pewny. Nie ponosisz odpowiedzialności za to, co stało się z Hester, i nie zrobiłaś niczego złego.

— Naprawdę w to wierzysz? — spytała ze zdumieniem.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Była przyzwoitą dziewczyną, zgodnie z tym, co powiedziała pani Busch. Była też bardzo zmęczona, przygnębiona i wstrząśnięta. Przez chwilę siedzieliśmy w niezręcznym milczeniu. Szum silników zmienił ton. Samolot osiągnął najwyższy punkt i zaczął obniżać pułap, schodząc w stronę Los Angeles i czerwonej tarczy słońca. Zanim dotknął kołami ziemi, Rina wylała trochę łez na moim ramieniu. A potem na chwilę przysnęła.

ROZDZIAŁ 30

Mój samochód stał na parkingu lotniska międzynarodowego. Rina poprosiła, żebym wysadził ją pod domem matki w Santa Monica. Tak też zrobiłem, ale sam nie wysiadłem z samochodu. Następnie ruszyłem przez Wilshire i San Vicente do sanatorium doktora Freya. Ośrodek zajmował ogrodzony teren, należący niegdyś do dużej prywatnej posiadłości pomiędzy Sawtelle i Brentwood. Portier w garniturze otworzył automatyczną bramę i oznajmił, że doktor Frey prawdopodobnie je obiad.

Sanatorium mieściło się w dworku w stylu edwardiańskim z późniejszymi dodatkami, stojącym na terasowym zboczu wzgórza. Doktor Frey mieszkał w domku obok głównego budynku. Po terasach przechadzali się ludzie, którzy wyglądali zupełnie zwyczajnie. Żyli jak wszyscy z tą różnicą, że ich życie toczyło się za murem. Z werandy domu doktora Freya, ponad owym murem można było podziwiać ocean. Na jego wypukłej powierzchni gęstniała ciemność i mgła. Za horyzontem słońce płonęło niczym wielki samolot, który rozbił się i stanął w płomieniach.

Zamieniłem parę słów z pokojówką w kostiumie i siwo-
włosą gospodynią domu, a potem skierowano mnie do dok-
tora Freya. Był to starszy mężczyzna z przygarbionymi ra-
mionami, ubrany w strój wieczorowy; w dłoni trzymał kielis-
zek do koktajli. Inteligencja i zwątpienie wyryły głębokie
zmarszczki na jego twarzy. Bruzdy pogłębiły się jeszcze
bardziej, gdy powiedziałem mu, że podejrzewam Isobel
Graffo morderstwo. Postawił kieliszek na kominku i stanął
przed nim w bojowej postawie, jak gdybym stanowił zagro-
żenie dla jego domostwa.

— Czy mam rozumieć, że jest pan policjantem?

— Prywatnym detektywem. Później zawiadomię o
wszystkim policję. Najpierw postanowiłem przyjść do pana.

— Nie czuję się zbyt zaszczycony — oznajmił doktor
Frey. — Chyba nie oczekuje pan, że będę rozmawiał o takim
oskarżeniu z obcym człowiekiem. Nic o panu nie wiem.

— Wie pan sporo o Isobel Graff.

Psychiatra rozłożył szeroko ręce.

— Wiem tyle, że jestem lekarzem, a ona moją pacjentką.
Czego się pan ode mnie spodziewa?

— Może mi pan powiedzieć, że te oskarżenia są bezpod-
stawne.

— Dobrze więc. Są bezpodstawne. A teraz proszę wyba-
czyć, ale zaprosiłem gości na obiad.

— Czy pani Graff przebywa tu teraz?

Doktor Frey odpowiedział mi pytaniem:

— Mogę wiedzieć, jaki jest cel tej indagacji?

— Zginęło czworo ludzi, troje w ciągu ostatnich trzech
dni.

Mój rozmówca nie okazał zaskoczenia.

— Ofiary były pańskimi przyjaciółmi?

— Nie. Ale należały do ludzkiej rasy.

— Jest pan zatem altruistą? — spytał doktor z gorzką
ironią wieku. — Bohaterem kultury Hollywoodu ubranym

w sportową marynarkę. Zamierza pan w pojedynkę oczyścić stajnię Augiasza?

— Nie mam takich ambicji. I nie chcę sprawiać panu kłopotów, doktorze. Natomiast Isobel Graff jest pańskim problemem. Bez względu na to, czy zabiła czworo ludzi, czy tylko jednego, powinna być umieszczona w miejscu, w którym nie będzie mogła nikogo więcej pozbawić życia. Zgadza się pan?

Doktor Frey odpowiedział po dłuższej chwili.

— Dziś rano podpisałem jej dobrowolną zgodę na umieszczenie w zamkniętym ośrodku.

— Czy to znaczy, że pani Graff jest w drodze do szpitala?

— Powinno, ale obawiam się, że nie znaczy. — Po raz trzeci w ciągu kilku minut wyraził obawę. — Zanim decyzja została... wcielona w życie, pani Graff zbiegła. Wykazała wielką determinację, znacznie większą, niż podejrzewaliśmy. Przyznaję się do błędu. Powinienem był umieścić ją pod maksymalnym nadzorem. Wybiła krzesłem wzmocnione okno i zdołała uciec na przyczepie samochodu z bielizną przeznaczoną do prania.

— Kiedy to się stało?

— Dzisiaj rano, tuż przed lunchem. Jak dotąd jej nie znaleziono.

— Czy poszukiwania były intensywne?

— To pytanie proszę skierować do jej męża. Jego prywatna policja prowadzi akcję. Pan Graff zabronił... — Doktor zacisnął usta i sięgnął po drinka. Napił się i kontynuował: — Obawiam się, że nie mogę się poddać dalszemu przesłuchaniu. Gdyby był pan przedstawicielem... — Wzruszył ramionami; kostki lodu zadzwoniły w kieliszku.

— Chce pan, żebym wezwał policję?

— Jeśli ma pan dowody.

— Pana o nie pytam. Czy pani Graff zabiła Gabrielle Torres?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć.

— A innych?

— Nie wiem.

— Widział ją pan i rozmawiał z nią?

— Naturalnie. Wiele razy. Także dziś rano.

— Czyjej stan psychiczny wskazywał, że mogła popełnić morderstwo?

Doktor uśmiechnął się z wyrazem zmęczenia na twarzy.

— To nie jest sala sądowa, drogi panie. Za chwilę zażąda pan ode mnie snucia hipotez. A ja będę musiał odmówić.

— Moje pytanie nie jest hipotetyczne. Czy Isobel zastrzeliła Gabrielle Torres w nocy dwudziestego pierwszego marca ubiegłego roku?

— Pytanie nie jest hipotetyczne, ale z pewnością akademickie. Pani Graff cierpi na chorobę psychiczną i cierpiała na nią także dwudziestego pierwszego marca ubiegłego roku. Nie można było skazać jej za morderstwo ani za żadną inną zbrodnię. Marnujemy więc czas, nie uważa pan?

— To tylko czas, a ja mam wrażenie, że czegoś się dowiaduję. W gruncie rzeczy przyznał pan, że to pani Graff strzelała tej nocy.

— Czyżby? Nie sądzę. Jest pan bardzo natarczywy, młody człowieku, i naprzykrza mi się pan.

— Przywykłem do tego.

— A ja nie. — Doktor Frey podszedł do drzwi i otworzył je. Z drugiej strony domu dobiegał męski śmiech. — Raczycie pan przenieść swój tani urok w inne miejsce. Zaoszczędzi mi pan kłopotu, bo w przeciwnym razie będę zmuszony pana wyrzucić

— Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Dlaczego Isobel

Graff wybrała na ucieczkę właśnie tę noc? Czy miała wtedy gościa albo dzień wcześniej?

— Gościa? — Jednak zdołałem zaskoczyć pana doktora.
— Nic nie wiem o tym, że miewała gości.

— O ile mi wiadomo, Clarence Bassett odwiedzał ją tutaj regularnie.

Doktor spojrział na mnie szeroko rozwartymi oczami.

— Ma pan płatnego szpiega wśród moich pacjentów?

— Prawda jest o wiele prostsza. Rozmawiałem z Bassettem. Właściwie to on wciągnął mnie w tę sprawę.

— Czemu pan tego od razu nie powiedział? Znam Bassetta bardzo dobrze. — Gospodarz zamknął drzwi i zrobił krok w moją stronę. — To on wynajął pana do zbadania tych zgonów?

— Zaczęło się od poszukiwania zaginionej dziewczyny, które zamieniło się w poszukiwanie jej mordercy. Nazywała się Hester Campbell.

— Ją także znam. Przez lata spotykałem ją w klubie. Jej siostra u mnie pracuje. — Doktor zrobił pauzę; ożywienie pojawiło się na jego twarzy i znikło. Jego jedynym śladem było drżenie ręki trzymającej kieliszek. Napił się, by zamaskować szmer kostek lodu. — Czy Hester Campbell jest jedną z ofiar?

— Wczoraj po południu została śmiertelnie uderzona po grzebaczem.

— Ma pan powody wierzyć, że zabiła ją pani Graff?

— Isobel Graff jest zamieszana w tę sprawę, choć nie wiem jak bardzo. Wiele wskazuje na to, że była na miejscu zbrodni. Jej mąż zachowuje się tak, jakby wierzył, że popełniła tę zbrodnię. Nie jest to jednak jednoznaczny dowód. Isobel mogła zostać wrobiona. Inna możliwość jest taka, że wykorzystano ją jako narzędzie. To znaczy popełniła je własnymi rękami, ale ktoś inny ją do tego nakłonił. Czy byłaby

podatna na taką sugestię?

— Im więcej dowiaduję się o ludzkim umyśle, tym mniej rozumiem. — Doktor chciał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu żałosny grymas. — Przepuszczałem, że będzie pan zadawał hipotetyczne pytania.

— Staram się tego unikać, doktorze, ale pan zdaje się je prowokować. I nie odpowiedział pan na moje pytanie o wizyty Bassetta.

— Nie było w nich nic nadzwyczajnego. Odwiedzał panią Graff co tydzień, a czasem częściej, kiedy o to prosiła. Istniała między nimi bardzo silna więź, a nawet coś więcej: kiedyś, przed laty, byli zaręczeni i mieli się pobrać. Czasem myślę, że Isobel powinna była wyjść za Clarence'a zamiast za mężczyznę, który został jej mężem. Clarence ma nieomal kobiecą zdolność empatii, której tak dotkliwie jej brakowało. Żadne z nich nie jest dość silne, by radzić sobie w pojedynkę. Razem, gdyby pozwolono im się pobrać, mogliby stworzyć funkcjonalny związek — ciągnął elegijnym tonem doktor.

— Co pan ma na myśli, mówiąc, że żadne nie jest dość silne, by radzić sobie w pojedynkę?

— W przypadku pani Graff wydaje się to dość jasne. Od czasu gdy była nastolatką, zdarzały jej się napady schizofrenii. Można powiedzieć, że w pewnym sensie nią pozostała: w ciele kobiety w średnim wieku wciąż żyje nastolatka niepotrafiąca sprostać wymogom dorosłego życia. — Z nutą goryczy dodał: — Simon Graff nie był jej pomocny.

— Wie pan, co spowodowało jej chorobę?

— Etiologia schizofrenii wciąż pozostaje zagadką, lecz myślę, że wiem coś o tym konkretnym przypadku. Isobel wcześniej straciła matkę, a Peter Heliopoulos nie okazał się roztroptym ojcem. Wywierał na nią nacisk, kierując w stronę dorosłości, a jednocześnie pozbawił córkę autentycznego

ludzkiego kontaktu. W sensie społecznym została jego drugą żoną jeszcze przed osiągnięciem fizycznej dojrzałości. Obarczał ją wielkimi oczekiwaniami jako swoją małą hostessę i narzędzie spełnienia swych ambicji. Niestęchanie wątle narzędzie. Jego oczekiwania okazały się nie do udźwignięcia dla dziewczynki, która być może od urodzenia miała skłonność do schizofrenii.

— A Clarence Bassett? Czy on też jest chory psychicznie?

— Nie mam powodu, by tak sądzić. Jest kierownikiem klubu, do którego należę, a nie moim pacjentem.

— Powiedział pan, że nie potrafi sobie radzić.

— Miałem na myśli wymiar społeczny i seksualny. Clarence to wieczny kawaler, organizator cudzych uroczystości, mężczyzna, który zadowala się pozycją na obrzeżach życia. Jego zainteresowanie kobietami ogranicza się do młodych dziewcząt i kobiet ze skazą, takich jak Isobel, które nie zdołały wyrosnąć z dzieciństwa. Jest to typowy element przystosowania.

— Do czego?

— Do własnej natury. Jego słabość skłania go do unikania życiowych burz. Niestety, jego przystosowanie doznało ogromnego uszczerbku kilka lat temu, po śmierci matki. Od tego czasu dużo pije. Zaryzykowałbym hipotezę, że jego alkoholizm ma w istocie charakter samobójczy. Clarence w sensie dosłownym topi swoje smutki. Podejrzewam, że chętnie widziałby się w grobie obok ukochanej matki.

— Nie uważa go pan za potencjalnie niebezpiecznego? Doktor odpowiedział po chwili namysłu:

— Trudno mi to całkowicie wykluczyć. Pragnienie śmierci zawiera w sobie potężną ambiwalencję. Może się obrócić przeciwko innym ludziom. Ludzie nieprzystosowani

często próbowali się spełniać poprzez przemoc. Na przykład Kuba Rozpruwacz był prawdopodobnie mężczyzną z silnym pierwiastkiem żeńskim, który usiłował w sobie unicestwić, pozbawiając życia kobiety.

Abstrakcyjne sformułowania śmigały w powietrzu niczym nietoperze.

— Sugeruje pan, że Clarence Bassett może być wielokrotnym mordercą?

— W żadnym razie. Mówię w kategoriach ogólnych.

— Po co więc snuć takie dywagacje?

Doktor zmierzył mnie spojrzeniem, w którym było współczucie, tragizm wiedzy i zmęczenie. Wypalił się w stajniach Augiasa i wiedział, czym jest rozpacz w obliczu ludzkich poczynań.

— Jestem starcem — rzekł. — Spędzam bezsenne noce na nocnych dyżurach i spekuluję, co leży w granicach ludzkich możliwości. Zna pan najnowsze interpersonalne teorie psychiatryczne? Słyszał pan o pojęciu folie á deus?

Pokręciłem głową.

— Można to przetłumaczyć jako szaleństwo dwojga. Obłąd, skłonność do przemocy może ujawnić się w związku dwojga osób, które w pojedynkę nie są groźne dla otoczenia. W moich nocnych spekulacjach pojawili się Clarence Bassett i Isobel. Dwadzieścia lat temu ich związek mógł przyjąć postać małżeństwa. Taki związek może również zgorzknieć, zdegenerować się i zamienić w coś znacznie gorszego. Nie mówię, że tak jest. Ale warto rozważyć taką możliwość, która pojawia się wtedy, gdy dwie osoby łączą to samo nieświadome i zakazane dążenie. To samo pragnienie śmierci.

— Czy Bassett odwiedził panią Graff przed jej ucieczką w marcu ubiegłego roku?

— Wydaje mi się, że tak. Musiałbym sprawdzić w archiwum.

— Niech się pan nie fatyguje, sam go o to zapytam. Proszę powiedzieć mi jeszcze jedno, doktorze: czy wie pan coś, co potwierdzałoby te spekulacje?

— Być może. Ale gdybym rzeczywiście coś takiego wiedział, nie mógłbym i nie chciał się tym z panem podzielić. — Doktor uniósł dłoń do twarzy w niepewnym geście obrony.

— Zasypuje mnie pan pytaniami. A ja jestem już stary, jak mówiłem. To jest, albo raczej była, godzina mojego posiłku.

Po raz drugi otworzył ciężkie drzwi. Podziękowałem mu i wyszedłem. Zatrzasnął je za mną. Ludzie spacerujący po zalanych blaskiem zachodzącego słońcem terasach odwrócili blade jak u mieszkańców czyścica twarze, przestraszeni hałasem.

ROZDZIAŁ 31

Była noc, kiedy dojechałem do Malibu. Na parkingu Channel Club stał jeden samochód, zdezelowany przedwojenny dodge z imieniem Tony na kolumnie kierownicy. Wewnątrz, wokół basenu, nie było nikogo widać. Zapukałem do drzwi gabinetu Bassetta. Odpowiedziało mi milczenie.

Okrzyłem galerię i zszedłem po schodach do basenu. Woda marszczyła się leciutko od słabych podmuchów znad morza. Zewsząd wyzierała pustka. Bez wątpienia byłem ostatnim uczestnikiem przyjęcia.

Wykorzystałem okazję, by włamać się do przebieralni Simona Graffa. Drzwi były zamknięte na zamek yale, łatwy do sforsowania. Wszedłem do środka i zapaliłem światło; miałem dziwne wrażenie, że kogoś tam zastanę. Ale pomieszczenie było puste; sprzęty stały na swoim miejscu, obrazy wciąż wisiały na ścianach.

Czułem pęd czasu w moich nerwach i tętnicach, czułem go w ustach wyraźnie jak oddech. Dręczyło mnie to niepokojące wrażenie, które czasem przychodzi w ostatnich godzinach trudnego śledztwa: że jeśli się chce, można dostrzec

to, co kryje się tuż za rogiem, a nawet w mroku ludzkiej świadomości.

Otworzyłem dwuskrzydłowe drzwi szatni. Każda miała jeszcze jedno wejście prowadzące na korytarz. W przebieralni po prawej stronie znajdowała się szara stalowa szafka z męskimi rzeczami: były w niej szlafroki i kąpielówki, bermudy, koszulki sportowe i tenisówki. W drugiej szatni, która musiała należeć do pani Graff, nie było nic oprócz drewnianej ławeczki i pustej szafki.

Zapaliłem światło, nie mając pewności, czego szukam. To było coś mglistego, a zarazem pewnego: przecucie tego, co stało się w tę wiosenną noc, gdy Isobel Graff wymknęła się z sanatorium, a na plaży znaleziono ciało młodej dziewczyny. „Przez chwilę byłam tam w środku — mówiła. — Obserwowałam nas przez drzwi i wsłuchiłam się w siebie. Niech mi pan naleje drinka. To mi dobrze robi, naprawdę. Szkocka z wodą sodową”.

Zamknąłem drzwi szatni. Były w nich szeroko rozstawione szczeliny wentylacyjne umożliwiające dopływ powietrza do pozbawionego okien sześciennego pomieszczenia. Stąpawszy na palcach, mogłem zajrzeć do drugiej szatni. Isobel Graff musiała stanąć na ławeczce.

Przyciągnąłem ławeczkę do drzwi i wstałem na nią. Sześć cali poniżej poziomu oczu, na krawędzi jednej ze szczelin widniał szereg zagłębień wyglądających jak ślady po zębach. Otaczał je półksiężyc czerwonej szminki, pociemniały od starości. Spojrzawszy na dolną część miękkiej drewnianej listewki, znalazłem podobne znaki. Ból, który mną wstrząsnął, wywołał obraz w moim mózgu. Wczułem się w cierpienie kobiety, która stała w ciemności na tej ławce i obserwowała przez szczelinę drugie pomieszczenie, gryząc drewno.

Zgaśliem światło, wszedłem do drugiej szatni i stanąłem

przed litografią Matisse'a Błękitne wybrzeże. Gwałtownie zatęskniłem do tego jasnego, uporządkowanego świata, który nigdy nie istniał. Świata, w którym nikt nigdy nie żył ani nie umarł, uchwyconego w oku nigdy niezachodzącego słońca. Ktoś odchrząknął cicho za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem Tony'ego, który spoglądał na mnie, mrużąc oczy. W rękę trzymał broń.

— Czy to pan wyłamał drzwi, panie Archer?

— Tak, to ja.

Pokręcił karcąco głową i schylił się, żeby ocenić szkody. Na korpusie zamka został jasny ślad po zadrapaniu, krawędź drewna była lekko wgnieciona. Tony przesunął grubym palcem po metalu i drewnie.

— Panu Graffowi to się nie spodoba. Ma bzika na punkcie swojej cabaña, sam ją urządził inaczej niż pozostałe.

— Kiedy to zrobił?

— W zeszłym roku, przed sezonem letnim. Sprowadził robotników, kazał wszystko dokładnie wyczyścić i odnowić.

— Tony mierzył mnie poważnym, nieruchomym wzrokiem. Zdjął czapkę z daszkiem i podrapał się po siwiejących włosach. — Kłódkę na bramie też pan rozwalił?

— Tak. Chyba opętał mnie dzisiaj duch zniszczenia. Czy to ważne?

— Gliny tak uważają. Kapitan Spero wypytywał mnie, kto otworzył bramę. Znaleźli na plaży kolejnego nieboszczyka, wie pan?

— Carla Sterna.

— Taak, właśnie jego. Był kiedyś menedżerem mojego bratanka. Kapitan Spero powiedział, że to zabójstwo mafijne, ale nie wiem. A jak pan myśli?

— Wątpię.

Tony ukucnął na piętach. Miałem wrażenie, że czuje się

nieswojo, przebywając w szatni Graffa. Znów podrapał się w głowę, a potem przesunął palcami po bruzdach obok ust. — Panie Archer, co się stało z moim bratankiem?

— Manuel został zastrzelony wczoraj wieczorem.

— To wiem. Kapitan Spero powiedział mi, że zginął. — Tony dotknął kciukiem powieki prawego oka. Jego twarz przypominała popękaną maskę pośmiertną.

— Co jeszcze mówił Spero?

— Nic takiego. Że to mogło być jeszcze jedno zabójstwo gangsterskie, ale ja nie wiem. Pytał, czy Manuel miał wrogów. Ja mu na to, że owszem, miał jednego wielkiego wroga, Manuela Torresa. Zapytał, co wiem o jego życiu, znajomych. Uciekł ode mnie dawno temu i samochodem bez dachu odjechał własną drogą prosto do piekła. — Za maską indiańskiego stoicyzmu w oczach Tony'ego krył się dojmujący żal. — Nie umiałem wyrwać tego chłopaka z serca. Kiedyś był dla mnie jak syn.

Przygarbione ramiona Tony'ego poruszały się w rytm jego oddechu.

— Muszę się stąd wynieść, to miejsce przynosi pecha mnie i mojej rodzinie. Mam jeszcze przyjaciół we Fresno. Powinienem tam zostać, nigdy się stamtąd nie ruszać. Popełniłem ten sam błąd co Manuel, myślałem, że mogę wziąć sobie wszystko, co chcę. Ale oni mi nie pozwolili. Nic mi nie zostało, straciłem żonę, córkę, Manuela.

Zacisnął dłoń w pięść i zdzielił się w twarz, a potem rozejrzał się z lękiem po szatni, jak gdyby było to siedlisko bogów, których obraził. To spojrzenie przypomniało mu o obowiązkach.

— Co pan tu robi, panie Archer? Nie ma pan prawa tu być.

— Szukam pani Graff.

— Dlaczego od razu pan nie powiedział? Nie musiał się

pan włamywać. Pani Graff była tu parę minut temu. Szukała pana Bassetta, ale jego tu nie ma.

— Gdzie jest teraz pani Graff?

— Poszła na plażę. Próbowałem ją zatrzymać, nie jest w zbyt dobrym stanie. Ale nie chciała ze mną pójść. Myśli pan, że powinienem zadzwonić do pana Graffa?

— Jeśli zdoła pan go złapać. Gdzie jest Bassett?

— Nie wiem, pakował się, kiedy go widziałem. Może wybiera się na wakacje. Po sezonie zawsze wyjeżdża na miesiąc do Meksyku. Pokazywał mi kolorowe zdjęcia...

Tony mówił dalej do pustego pomieszczenia, a ja ruszyłem w stronę morza. Brama była otwarta. Dwadzieścia stóp niżej plaża opadała ku wodzie; jej kraniec znaczyła drżąca linia białej piany. Widok oceanu wywołał dreszcz na moich plecach: przypominałem sobie kołyszące się na fali zwłoki Carla Sterna.

Fale wyrastały jak zjawy, a potem opadały niczym walące się mury. Znad morza w stronę lądu sunęła ściana mgły. U szczytu schodów usłyszałem dźwięk, który doleciał do mnie pomiędzy łoskotem fal. To Isobel Graff mówiła do oceanu głosem przypominającym krzyk mewy. Wzywała go, by przyszedł i ją zabrał. Siedziała, trzymając się za kolana, tuż poza zasięgiem fal, i wymachiwała pięścią pomrukującej wodzie.

— Nie boję się ciebie, ty brudna kloako.

Wysunęła twarz do przodu; tylko oko bieląło na tle ciemnego profilu. Usłyszała moje kroki i zasłoniła się ramieniem.

— Zostaw mnie. Nie chcę tam wracać. Wolę śmierć.

— Gdzie pani była cały dzień?

Kobieta spojrzała na mnie znad ramienia mokrymi oczyma.

— To nie pana sprawa. Proszę odejść.

— Zostanę z panią.

Usiadłem obok niej na wilgotnym piasku tak blisko, że

dotykaliśmy się ramionami. Isobel się wzdrygnęła, ale nie wykonała żadnego ruchu. Jej ciemna ptasia głowa odwróciła się raptownie w moją stronę.

— Cześć — powiedziała własnym głosem.

— Cześć, Isobel. Gdzie się podziewałaś przez cały dzień?

— Przeważnie na plaży. Miałam ochotę na długi, przyjemny spacer. Jakaś dziewczynka podarowała mi lody, rozplakała się, kiedy je od niej brałam. Jestem stara i okropna. Ale nic oprócz lodów dzisiaj nie zjadłam. Obiecałam, że przyślę jej czek, ale boję się wracać do domu. Ten wstrętny staruch może tam być.

— Jaki staruch?

— Ten, który dobierał się do mnie, kiedy połknęłam tabletki nasenne. Widziałam go, gdy traciłam przytomność. Miał cuchnący oddech jak ojciec po śmierci. I robaki zamiast oczu — opowiadała śpiewnie Isobel.

— Kto taki?

— Dziad śmierć z długą, brudną białą brodą. — Isobel była w drażniąco dwuznacznym nastroju. Miała świadomość tego, co mówi, lecz mówiła to niezupełnie świadomie. — Dobierał się do mnie, ale ja byłam zbyt zmęczona. Znalazłam się rankiem na starych śmieciach, w otoczeniu tych samych gorących i zimnych rozbieganych ludzi. Co robić? Boję się wody. Nie mogę znieść myśli o przemocy, a pigułki nasenne nie działają. Tylko cię napędzają, unoszą i ściągają w dół, poją kawą i ani się obejrzysz, a znów jesteś na starych śmieciach.

— Kiedy połknęłaś tabletki nasenne?

— Och, bardzo dawno temu, kiedy ojciec kazał mi wyjść za Simona. Kochałam innego.

— Clarence'a?

— Był jedynym, którego kiedykolwiek kochałam. Clarence był dla mnie taki słodki.

Ściana mgły pokonała linię fal i prawie nas ogarnęła. Bałwany hałasowały za nią niczym gość, którego nie wpuszczono do środka. Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać. Spojrzałem na twarz Isobel, która patrzyła na mnie z dołu: na bladą zjawę twarzy z dwoma ciemnymi otworami oczu i otworem ust. Była wyniszczona chorobą i niemłoda, lecz w mglistą noc wyglądała jak dziewczynka, a nie kobieta. Chora dziewczynka, która się zgubiła i spotkała śmierć na bezdrożach.

Oparła głowę na moim ramieniu.

— Utknęłam — westchnęła. — Cały dzień zbieram się, żeby wejść do wody. Co robić? Nie zniosę wiecznego siedzenia w czterech ścianach.

— Według Kościoła, w którym się wychowałeś, samobójstwo jest grzechem.

— Popełniałam już gorsze.

Czekałem. Mgła otoczyła nas ze wszystkich stron: żywioł złożony z powietrza, wody i rybiego chłodu. Tworzył coś w rodzaju otchłani poza światem, w której wszystko można powiedzieć.

— Popełniłam najgorszy grzech ze wszystkich — ciągnęła Isobel. — Oni byli razem w blasku światła, a ja sama w ciemności. Potem w moich oczach światło pękło jak szkło, ale widziałam dosyć, by strzelić. Trafiłam ją w krocze i zabiłam.

— Mówisz o tym, co zdarzyło się w twojej szatni? Skinęła słabo głową. Bardziej poczułem ruch, niż go zobaczyłem.

— Nakryłam ją z Simonem. Wyczołgała się stamtąd i skończyła na plaży. Przyszły fale i ją zabrały. Żałowałam, że nie zabrały mnie.

— A co stało się tej nocy z Simonem?

— Nic. Uciekł. Żeby robić to ponownie następnego dnia i znowu, i znowu, i znowu. Patrzył z przerażeniem, jak stoję w drzwiach z bronią w ręku. To jego naprawdę chciałam zabić, ale wybiegł na zewnątrz.

— Skąd wzięłaś broń?

— To był pistolet sportowy Simona. Trzymał go w swojej szafce. Sam nauczył mnie z niego strzelać, na tej plaży. I co teraz o mnie myślisz?

Nie musiałem odpowiadać. Gdzieś z góry odezwał się głos. Nawoływał Isobel po imieniu.

— Kto to? Nie pozwól mu mnie zabrać. — Przekręciła się na kolanach i złapała mnie za rękę. Jej dłoń była zimna jak ryba.

Po betonowych schodach zbliżały się kroki i światło. Wstałem i ruszyłem w tamtą stronę. Blask skierował się na mnie. Dostrzegłem za nim niewyraźną sylwetkę Graffa. Z jego drugiej dłoni sterczała długa, cienka lufa pistoletu. Ja też miałem w ręku broń.

— Mierzę w ciebie, Graff. Rzuć pistolet przed siebie.

Usłyszałem głucho stuknięcie metalu o piasek. Schyliłem się i podniosłem broń. Był to stary niemiecki walther kalibru .22 ze zrobioną na zamówienie rękojeścią wykładaną drewnem orzechowym, za mały do mojej ręki. Był nabity. Nie miałem zaufania do delikatnego spustu, toteż zabezpieczyłem go i wsunąłem za pas.

— Latarkę też wezmę.

Graff ją oddał. Skierowałem światło na jego twarz i przez chwilę zobaczyłem wykrzywione usta, strach czający się w oczach.

— Słyszałem głos mojej żony. Gdzie ona jest?

Omiotłem światłem piasek i ruchomą mgłę. Isobel umknęła przed blaskiem. Jej wielki mroczny cień przesuwiał się na tle szarego powietrza. Wydawało się, że ucieka przed

monstrualną furia, która ją goni i naśladuje jej ruchy.

Graff zawołał ją po imieniu i pobiegł za nią. Ruszyłem za nimi; zobaczyłem, że Isobel przewraca się, wstaje i znów się przewraca. Graff pomógł jej wstać. Zaczęli iść w moją stronę, powoli i niezgrabnie. Isobel powłóczyła nogami, zwiejszy głowę i odwróciwszy ją od światła. Graff trzymał ją w talii i prowadził.

Wyjąłem sportowy pistolet zza pasa i pokazałem jej.

— Czy to z tego pistoletu zastrzełaś Gabrielle Torres?
Isobel zerknęła i w milczeniu skinęła głową.

— Do niczego się nie przyznawaj — warknął Graff.

— Ona już to zrobiła — zauważyłem.

— Moja żona nie jest w pełni odpowiedzialna za swoje słowa. Jej zeznanie nie jest pełnoprawnym dowodem.

— Ale broń owszem. Policyjni technicy mają pociski, które zostały z niego wystrzelone. Pistolet i kule razem staną się niezbitym dowodem. Skąd wzięłaś tę broń, Graff?

— Carl Walther zrobił ją dla mnie przed laty w Niemczech.

— Mówię o ostatniej dobie. Skąd ją wzięłaś teraz?

— Mam ją bez przerwy od ponad dwudziestu lat — odparł ostrożnie.

— Akurat. Stern miał ten pistolet, zanim został zastrzelony. Zabiłaś Sterna, żeby odebrać swoją broń?

— To bzdura.

— Kazałaś go zabić?

— Nie.

— Ktoś sprzątnął Sterna, żeby zdobyć ten pistolet. Musisz wiedzieć, kto to zrobił, i nie ma sensu tego przede mną ukrywać. Wszystko i tak wyjdzie na jaw. Nawet twoje pieniądze nie zdołają temu zapobiec.

— Chcesz mojej forsy? Możesz ją dostać. — Głos Graffa ociekał pogardą — dla mnie i być może dla niego samego.

— Nie jestem do kupienia jak Marfeld — odparłem. — Dowódca twoich łotrów próbował mnie kupić. Siedzi teraz w pace w Las Vegas i tłumaczy, skąd w bunkrze na pustkowiach wzięły się spalone zwłoki.

— Wiem o tym — rzekł Graff. — Ale ja mówię o grubej forsie. O stu tysiącach dolarów w gotówce. Teraz, natychmiast.

— Skąd wziąłbyś o tej porze tyle gotówki?

— Od Clarence'a Bassetta. Trzyma ją w sejfie w gabinecie. Wpłaciłem mu ją wieczorem. To była cena, którą wyznaczył za pistolet. Odbierz mu ją, a będzie należała do ciebie.

ROZDZIAŁ 32

W gabinecie Bassetta paliło się światło. Zapukałem tak mocno, że odbiłem sobie kostki. Był ubrany w koszulkę. Jego twarz miała kolor gliny, pod oczami ujrzałem sine kręgi. Patrzył wzrokiem Łazarza i z trudem mnie rozpoznał.

— Archer? Coś zważyło ci się na głowę?

— Ty mi się zważyłeś na głowę, Clarence.

— Och, nie wierzę. — Zauważył dwoje ludzi, którzy za mną stali. — Znalazł ją pan, panie Graff. Bardzo się cieszę.

— Czyżby? — mruknął ponuro Graff. — Isobel wyznała wszystko temu człowiekowi. Oddawaj pieniądze.

Wyraz twarzy Bassetta uległ zmianie. Produktem końcowym tego procesu był nerwowy uśmiech, który przypominał stężały pysk zdechłego konia.

— Czyli ja mam zwrócić forszę i po sprawie? Nie padnie ani jedno słowo więcej?

— Padnie jeszcze wiele słów. Zwróć mu forszę, Clarence. Bassett stał nieruchomo w drzwiach, blokując mi drogę.

W jego bladych oczach odbijały się wyobrażenia możliwych posunięć, po czym ginęły.

— Nie ma jej tutaj.
— Otwórz sejf, zobaczmy.
— Nie macie nakazu.

— Bo nie jest potrzebny. Nie będziesz utrudniał, prawda?
Bassett uszczyptał się w skórę szyi nad kołnierzykiem rozpiętej koszuli, naciągając ją i puszczając.

— Muszę przyznać, że mnie zaskoczyliście. Nie będę utrudniał, nie mam nic do ukrycia.

Odwrócił się raptownie, przemierzył pokój i zdjął ze ściany zdjęcie trojga skoczków. W ścianie znajdował się okrągły sejf. Trzymałem Bassetta na muszce, gdy obracał chromową gałkę. Pistolet, z którego zabił Leonarda, przypuszczalnie leżał na dnie morza, ale w sejfie mógł być drugi. Jednak w sejfie znajdowały się tylko pieniądze: pliki banknotów owinięte w brązowy papier.

— Weź ją — rzekł Graff. — Jest twoja.

— Ta forsa zrobiłaby ze mnie obiboka. Poza tym nie stać mnie na zapłacenie podatku.

— Chyba żartujesz. Na pewno potrzeba ci pieniędzy. Przecież nie pracujesz za darmo, prawda?

— Potrzebuję pieniędzy, i to bardzo. Ale tych nie mogę przyjąć. One nie należałyby do mnie, tylko ja do nich. Wymagałyby ode mnie pewnych posunięć, a ja musiałbym je wykonywać. Musiałbym siedzieć na wieku skrzyni twoich brudów tak jak Marfeld i czekać, aż zginią i spróchnieją.

— Całą sprawę można łatwo zatuszować — powiedział Graff.

Skierował na Bassetta spojrzenie bazyliuszka. Ten rozplaszczył się na ścianie. Ogarnął go strach przed śmiercią i dodał mu sił. Bassett wytrącił mi broń z dłoni, upadł na kolana i chwycił za rękojeść. Wyrwałem mu ją, zanim zdołał zacisnąć dłoń, podniosłem go za kołnierz i posadziłem na krześle za biurkiem.

Isobel Graff opadła na drugie. Odrzuciła głowę w tył, jej nieuczesane włosy rozsypały się na oparciu. Bassett unikał patrzenia na nią. Siedział zgarbiony, drżąc i oddychając ciężko.

— Nie zrobiłem nic, czego bym się wstydził. Ratowałem starą przyjaciółkę od skutków tego, co uczyniła. Jej mąż uznał, że zasłużyłem na nagrodę.

— To najpochlebniejsza charakterystyka szantażu, jaką w życiu słyszałem. Choć szantaż nie wyczerpuje opisu tego, co zrobiłeś. Chcesz mi powiedzieć, że załatwiłeś Leonarda i Sterna, żeby chronić Isobel?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Próbując zrobić Isobel w zabójstwo Hester Campbell, też ją chroniłeś?

— Niczego takiego nie zrobiłem.

— Clarence niczego takiego nie zrobił — powtórzyła jak echo Isobel.

Odwrociłem się do niej.

— Byłaś wczoraj po południu w domu Hester w Beverly Hills?

Skinęła głową.

— Po co tam poszłaś?

— Clarence powiedział mi, że ona jest najnowszą laleczką Simona. Tylko on mówi mi, co się dzieje, tylko jego obchodzi, co się ze mną dzieje. Powiedział, że jeśli przyłapię ich razem, będę mogła zmusić Simona do rozwodu. Ale ona już nie żyła. Wszłam do domu, a ona już była martwa. — Isobel powiedziała to z niechęcią, jakby Hester Campbell umyślnie ją wystawiła.

— Skąd wiedziałaś, gdzie ona mieszka?

— Clarence mi powiedział. — Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Bassetta. — Wczoraj rano, kiedy Simon pływał się w basenie.

— Ależ to nonsens — rzekł Bassett. — Pani Graff wyobraziła sobie to wszystko. Ja nawet nie wiedziałem, gdzie mieszkała Hester Campbell, sam możesz poświadczyć.

— Chciałeś mi pokazać, że nie wiesz, ale wiedziałeś. Kazałeś ją wytropić i groziłeś jej. Nie mogłeś pozwolić, żeby George Wall dotarł do niej, kiedy jeszcze żyła. Ale chciałeś, żeby w końcu do niej dotarł. Dlatego mnie wykorzystałeś. Potrzebowałeś kogoś, żeby go do niej doprowadził i żeby łatwej było go zrobić. Na wypadek gdyby ten plan nie wypadł, posłałeś do domu Hester panią Graff; w ten sposób załatwiałeś sobie podwójne ubezpieczenie. Ten drugi plan się powiódł, przynajmniej jeśli chodzi o Graffa i jego błyskotliwych pomagierów. Zapewnili ci wszechstronną pomoc w tuszowaniu tego morderstwa.

— Ja nie miałem z tym nic wspólnego — odezwał się zza moich pleców Graff. — Nie odpowiadam za głupotę Frosta i Marfelda. Działali bez konsultacji ze mną.

Graff stał osobno, tuż przy drzwiach, jakby chciał się odgrodzić od tego, co się dzieje.

— To byli twoi ludzie i jesteś odpowiedzialny za ich czy ny — zauważyłem. — Brali udział w tuszowaniu morderstwa. Powinieneś zostać skuty razem z nimi.

Starcie między mną i Graffem dodało odwagi Bassettowi.

— Strzelasz na ślepo. Lubiłem Hester Campbell, wiesz o tym. Nie miałem nic przeciwko niej. Nie miałem powodu, żeby ją krzywdzić.

— Nie wątpię, że na swój osobliwy sposób ją lubiłeś. Pewnie byłeś w niej zakochany. Ale ona nie była zakochana w tobie. Gotowa była cię wykorzystać. We wrześniu wybiegła stąd z najcenniejszą rzeczą, jaką miałeś.

— Jestem biedny. Nie mam nic cennego.

— Chodzi mi o ten pistolet. — Pokazałem walthera,

uważając, żeby był poza zasięgiem rąk Bassetta. — Nie wiem, jak w ogóle wpadł w twoje ręce. Ale chyba domyślam się, jak zdobyłeś go po raz drugi. Ta broń sporo krążyła w ciągu ostatnich czterech miesięcy, od kiedy Hester wykrađa ci ją z sejfu. Dała ją swojemu przyjacielowi Lance'owi Leonardowi. On sam nie wiedział, jak zabrać się do szantażu, więc wciągnął do współpracy Sterna, który miał w tych sprawach rozległe doświadczenie. Miał też kontakty, które stawały go poza zasięgiem cyngli Graffa. Ale ciebie to nie dotyczyło.

— Jedno ci muszę przyznać, Clarence. Trzeba było mieć ikrę, żeby dobrać się do Sterna, nawet jeśli ja go wcześniej zmiekczyłem. Więcej ikry, niż mieli Graff i jego prywatna armia.

— Ja go nie zabiłem — wtrącił Bassett. — Wiesz, że go nie zabiłem. Widziałeś, jak stąd wychodził.

— Ale ty za nim poszedłeś, prawda? I wróciłeś dopiero po dłuższej chwili. Miałeś dość czasu, by wpakować Sternowi kulkę na parking, wrzucić go do samochodu i zawieźć na skarpe, gdzie poderżnąłeś mu gardło, a zwłoki zepchnąłeś do wody. To był spory wysiłek jak na faceta w twoim wieku. Musiało ci diabelnie zależeć na odzyskaniu tego pistoleciku. Tak bardzo tęskniłeś do stu kawałków?

Bassett spojrział na sejf w ścianie.

— Pieniądze nie miały z tym nic wspólnego. — Po raz pierwszy do czegoś się przyznał. — Nie wiedziałem, że ma tę broń, dopóki nie spróbował mnie z niej zastrzelić. Ogłuszyłem go łyżką do opon. Mogłem albo zabić, albo zginać. Zabiłem go w obronie własnej.

— Ale nie poderżnąłeś mu gardła w obronie własnej.

— To był łotr i kryminalista, babrzący się w sprawach, których nie rozumiał. Zlikwidowałem go tak, jak likwiduje

się niebezpieczną bestię. — Bassett był dumny, że zabił Sterna. Duma była z jego twarzy. I ogłupiała go. — Gangster i handlarz narkotyków. Czy ktoś taki jest ważniejszy ode mnie? Jestem kulturalnym człowiekiem, pochodzę z dobrej rodziny.

— A zatem poderżnąłeś Sternowi gardło. Lance'owi Leonardowi strzeliłeś prosto w oko. Pogrzebaczem rozwaliłeś czaszkę Hester Campbell. Są lepsze sposoby pokazania swojej kultury.

— Oni na to zasłużyli.

— Przyznajesz, że zabiłeś tych troje?

— Do niczego się nie przyznaję. Nie masz prawa mnie terroryzować. Niczego nie możesz mi udowodnić.

— Ale policja to zrobi. Sprawdzą, gdzie i kiedy byłeś, znajdą świadków, którzy cię pogrążą, i pistolet, z którego zastrzeliłeś Leonarda.

— Czyżby? — Nawet w takiej sytuacji Bassetta stać było na sarkazm.

— Nie łudź się. Pokażesz im, gdzie go wyrzuciłeś. Już zacząłeś się wygadywać. Daleko ci do twardego zawodowca, Clarence, i nie powinieneś go udawać. Wczoraj, kiedy było po wszystkim i cała trójka nie żyła, musiałeś się znieczulić gorzałą. Nie mogłeś znieść myśli o tym, czego się dopuściłeś. Jak sądzisz, ile wytrzymasz w celi bez butelki?

— Ty mnie nienawidzisz — warknął Bassett. — Nienawidzisz mnie i mną pogardzasz, prawda?

— Nie odpowiem na to pytanie. Ty za to odpowiedz na moje, bo tylko ty znasz odpowiedź. Jaki mężczyzna postużyłby się chorą kobietą w taki sposób? Jaki mężczyzna mógłby przerwać życie młodej dziewczyny takiej jak Gabrielle, żeby zgarnąć nagrodę za jej śmierć?

Bassett odrzucił oskarżenie nagłym ruchem przypominającym wzdrygnięcie. Cała górna część jego ciała drgnęła

konwulsyjnie.

— To wszystko nie tak — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— A więc wyprowadź mnie z błędu.

— Po co? I tak nigdy nie zrozumiesz.

— Rozumiem więcej, niż ci się zdaje. Wiem, że szpiegowaleś Graffa, kiedy jego żona przebywała w sanatorium. Zauważyłeś, że wykorzystuje cabaña do schadzek z Gabrielle. Z pewnością wiedziałeś, że trzyma pistolet w szafce. Wszystko, co wiedziałeś lub czego się domyślałeś, przekazywałeś Isobel. Podejrzewam, że pomogłeś jej wymknąć się z sanatorium i dostarczyłeś jej klucze. Wszystko to składa się na sterowane morderstwo. Tyle wiem. Nie rozumiem natomiast, co miałeś przeciwko Gabrielle. Czy sam do niej startowałeś i przegrałeś z Graffem? A może ona po prostu była młoda, a ty się starzałeś i nie mogłeś patrzeć, jak cieszy się życiem na tym świecie?

— Nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią — wymamrotał Bassett. Obrócił się na krześle, jak gdyby jakaś ogromna dłoń chwyciła go za kark. Spojrzał pierwszy raz na Isobel, przelotnie i z poczuciem winy.

Isobel siedziała wyprostowana i nieruchoma jak rzeźba. Jak posąg ślepej, schizofrenicznej sprawiedliwości, odpłacający Bassettowi kamiennym spojrzeniem.

— Zrobiłeś to, Clarence.

— Nie, nie planowałem tego w ten sposób. Nie myślałem o szantażu. Nie chciałem, żeby zginęła.

— A czyjej śmierci chciałeś?

— Simona — odpowiedziała Isobel. — To on miał zginąć. Ale ja wszystko zepsułam, prawda, Clarence? To przeze mnie nam się nie udało.

— Uspokój się, Belle. — Bassett pierwszy raz zwrócił się bezpośrednio do niej. — Nie mów nic więcej.

— Chciałaś zastrzelić męża, Isobel?

— Tak. Clarence i ja zamierzaliśmy się pobrać.

Graff wydał parsknięcie, na poły gniewne, a na poły drwiące. Isobel odwróciła się do niego.

— Nie waż się ze mnie kpić. Zamknąłeś mnie w zakładzie i okradłeś. Traktowałeś mnie jak swoją własność. Żałuję, że cię nie zabiłam — dodała podniesionym głosem.

— Żebyś mogła żyć długo i szczęśliwie ze swoim zramolałym łowcą fortun?

— Mogliśmy być szczęśliwi — odparła Isobel. — Prawda, Clarence? Kochasz mnie, prawda? Kochałeś mnie przez tyle lat.

— Przez tyle lat — rzekł Bassett, ale jego głos był wyprany z uczucia, a spojrzenie martwe. — A jeśli ty mnie kochasz, nie mów nic więcej, Belle. — Ton jego głosu, szorstki i nieprzyjazny, przeczył słowom.

Isobel poczuła, że została zganiona. Jej nastrój gwałtownie się zmienił.

— Znam cię — powiedziała chrapliwie. — Chcesz rzucić na mnie winę za wszystko. Chcesz, żeby zamknęli mnie w sali z napisem „wieczność” i wyrzucili klucz. Ale ty też nie jesteś bez winy. Powiedziałeś, że nigdy mnie za nic nie skażą. Mówiłeś, że jeśli zabiję Simona w sytuacji in flagranti, mogą mnie najwyżej zamknąć na jakiś czas. Czy nie powiedziałeś tak, Clarence?

Bassett nie chciał odpowiedzieć ani na nią spojrzeć. Nienawiść zdeformowała jego rysy jak ciasna gumowa maska. Isobel odwróciła się do mnie.

— Widzisz więc, że to jego chciałam zabić. Używał tej dziewczyny jak zwierzęcia, małego zwierzęcia rozkładającego nogi przed nim. Ja nie zabiłabym takiego ślicznego zwierzątka.

Zrobiła pauzę i kontynuowała z osobliwym zdumieniem:

— Ale zabiłam ją. Zastrzeliłam ją i zerwałam nić. To przyszło do mnie w ciemności za drzwiami. Obraz grzechu, w którym ona była źródłem zła. I to ona była tą, do której dobiegał się lubieżny starzec. Zerwałam więc nić. Clarence był na mnie zły. Nie widział, jakie wstrętne rzeczy robiła.

— Nie był z tobą?

— Później już był. Próbowалаm zetrzeć krew, bo ona zakrwawiła moją piękną, czystą podłogę. Próbowалаm ją umyć, kiedy wszedł Clarence. Musiał czekać na zewnątrz i zobaczył lalkę czołgającą się korytarzem. Wyczołgała się jak mały biały psiak i wyzionęła ducha. A Clarence był na mnie zły. Wygonił mnie.

— Ile razy do niej strzeliłaś?

— Tylko raz.

— W którą część ciała?

Isobel zwiesiła głowę w przerażającym zawstydzeniu.

— Nie chcę tego publicznie mówić. Już słyszałaś.

— Gabrielle Torres otrzymała dwa postrzały, pierwszy w górną część uda, a drugi w plecy. Pierwsza rana nie była śmiertelna, nie była nawet poważna. Drugi strzał przebił jej serce. To właśnie drugi strzał pozbawił ją życia.

— Ja strzeliłam tylko raz.

— Nie posłałaś za nią na plażę i nie strzeliłaś jej w plecy?

— Nie. — Isobel spojrzała na Bassetta. — Powiedz mi, Clarence. Wiesz, że nie mogłam tego zrobić.

Bassett bez słowa wlepił w nią wzrok. Jego wytrzeszczone oczy wyglądały jak małe, blade balony nadmuchane ciśnieniem panującym w jego czaszce.

— Dlaczego on ma to wiedzieć?

— Bo zabrał pistolet. Upuściłam go na podłogę cabaña. On go podniósł i wyszedł za nią.

Wewnętrzne ciśnienie wypchnęło słowa z ust Bassetta.

— Nie słuchaj jej. Ona jest obłąkana, ma halucynacje. Nie było mnie tutaj...

— Byłeś, Clarence — powiedziała cicho Isobel.

W tej samej chwili nachyliła się nad biurkiem i mocno dzieliła go w twarz. Bassett przyjął to po stoicku. To ona się rozplakała.

— Miałeś broń, kiedy za nią wyszedłeś — mówiła przez łzy. — Potem wróciłeś i powiedziałeś mi, że nie żyje i że to ja ją zabiłam. Ale dochowasz tajemnicy, bo mnie kochasz.

Bassett przeniósł wzrok z Isobel na mnie. Strużka krwi odchodziła od kącika jego ust niczym czerwona szczelina na żywej masce. Ślepy robak języka wysunął się i musnął krew.

— Napiłbym się czegoś, staruszku. Będę mówił, jeśli tylko dasz mi się napić.

— Za chwilę, Clarence. Zastrześliłeś ją?

— Musiałem. — Bassett zniżył głos do ledwie słyszalnego szeptu, jak gdyby jakiś anioł założył podsłuch w pokoju.

— Kłamca, fałszywy przyjaciel! — zawołała Isobel. — Skazałeś mnie na życie w piekle.

— Ocaliłem cię od gorszego piekła, Belle. Ona chciała pójść do domu, do ojca. Wszystko by wypała.

— A więc zrobiłeś to wszystko dla mnie, wstrętny kłamczuchu! Młody Lochinvar poświęcił się dla słodkiej Heliopoulos, dziewczynki ze Złotego Zachodu! — Emocje dopadły wreszcie Isobel. Już nie płakała. W jej głosie brzmiała furia.

— Zrobił to dla siebie — oznajmiłem. — Nie zabiłaś męża, więc Bassettowi umknęła fortuna. Zwietrzył jednak szansę na nagrodę pocieszenia: wystarczyło przekonać twojego męża, że zamordowałaś Gabrielle. Scena była idealnie przygotowana do tego, żeby cię zrobić. Nawet ciebie samą zdołał przekonać.

Bassett znów wzdrygnął się, jakby odrzucał oskarżenie. Jego usta wykrzywiły się z jednej strony.

— Wcale tak nie było. Nigdy nie myślałem o pieniąd-
dach.

— A co znaleźliśmy w twoim sejfie?

— To były jedyne pieniądze, jakie dostałem i o jakie mi
chodziło. Potrzebowałem ich, żeby wyjechać do Meksyku i
tam żyć. Nawet nie pomyślałem o szantażu, dopóki Hester
nie ukradła broni i nie zdradziła mnie przed tymi kryminalis-
tami. Swoją chciwością i niedyskrecją sami mnie zmusili,
żebym ich zabił, czy tego nie widzicie? Prędeż czy później
śledztwo zostałoby wznowione i prawda wyszłaby na jaw.

Spojrzałem na Graffa, oczekując potwierdzenia tych
słów, lecz ten wyszedł. Za drzwiami panowała ciemność.

— Nikt cię nie zmuszał, żebyś zabił Gabrielle — powie-
działem do Bassetta. — Czemu nie darowałeś jej życia?

— Po prostu nie mogłem. Czołgała się po plaży w stronę
domu. Ja wszystko rozpocząłem i ja musiałem skończyć.
Nigdy nie mogłem patrzeć na zranione zwierzę, nawet na
muchę albo pająka.

— Zabiłeś więc z litości?

— Ty wciąż nie chcesz zrozumieć. Otaczała nas ciem-
ność, byliśmy tylko we dwoje. Fale wylewały się na brzeg, a
ona jęczała i wlokła się po piasku. Naga i zakrwawiona,
dziewczyna, którą znałem jeszcze jako niewinne dziecko.
To była tak nieprawdopodobnie zatrważająca sytuacja. Nie
rozumiesz, że musiałem ją jakoś przerwać? Musiałem coś
zrobić, żeby ona przestała się czołgać.

— Wczoraj też musiałeś zabić Hester Campbell?

— Z nią było tak samo. Pozowała na niewiniątko i wkra-
dła się jak robak w moje łaski. Wołała na mnie wujek Cla-
rence, udawała, że mnie lubi, a chodziło jej wyłącznie o
pistolet, który trzymałem w sejfie. Dawałem jej pieniądze,
traktowałem jak córkę, a ona mnie zdradziła. To tragiczne,
kiedy z młodych dziewcząt wyrastają wulgarne, podstępne
wszetecznicze.

— Starsz się więc, żeby nie dorastały, czy tak?

— Lepiej, żeby nie żyły.

Spojrzałem Bassettowi w twarz. Nie miała w sobie nic szczególnego. Była całkiem zwyczajna, nieładna i stara; długie zęby i wytrzeszczone oczy nadawały jej rys karykaturalny. Ludzie nie dopatrują się w takim obliczu zła. Była to jednak twarz zła, którą mglista namiętność ciągnęła ku ciemnym uczynom budzącym w nim samym odrazę.

Bassett popatrzył na mnie tak, jakbym znajdował się gdzieś daleko i przekazywał mu myśli na odległość. Spojrzał na swoje splecione ręce. Dłonie odsunęły się od siebie, rozciągnęły i zamknęły na wąskich udach. Wydawało się, że ręce są od niego oddzielone, jakby odcięte w wyniku nieznannej katastrofy od jego zamiarów i pragnień.

Podniosłem słuchawkę telefonu i połączyłem się z posterunkiem policji hrabstwa. Gliniarze mają rutynowe sposoby postępowania w takich sytuacjach. Chciałem oddać sprawę w czyjeś ręce.

Bassett nachylił się w moją stronę, gdy odkładałem słuchawkę.

— Słuchaj, staruszk — rzekł grzecznie. — Obiecałeś mi drinka. Potrzebuję go, i to bardzo.

Podszedłem do barku po drugiej stronie biurka i wyjąłem butelkę. Jednak Bassettowi dany był znacznie silniejszy środek znieczulający. Przez otwarte drzwi wkroczył Tony Torres. Człapał, niosąc w dłoni swojego ciężkiego colta. Jego oczy miały kolor przydymionej czerni. Błysk z lufy rewolweru był blady i krótki, lecz wydobył się z niej bardzo głośny huk. Głowa Bassetta odskoczyła w bok i pozostała w tej pozycji, oparta na ramieniu.

Isobel spojrzała na niego z tępym zaskoczeniem. Wstała i zacisnęła palce na wycięciu dżinsowej bluzki. Rozerwała ją i przystawiła pierś do lufy.

— Mnie też zabij.

Tony pokręcił poważnie głową.

— Pan Graff powiedział, że to wina pana Bassetta.

Wepchnął rewolwer do futerału. Graff wsunął się za nim niepewnie. Stąpając delikatnie jak przedsiębiorca pogrzebowy, doszedł do biurka. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Bassetta. Ciało osunęło się i spadło na podłogę. Dźwięk, który temu towarzyszył, przypominał daleki zawodzący krzyk dziecka płaczącego z tęsknoty za matką.

Graff odskoczył przestraszony, jak gdyby swoim dotknięciem wypędził z Bassetta życie. I w pewnym sensie tak właśnie było.

— Po co wciągnąłeś w to Tony'ego? — zapytałem.

— Tak będzie najlepiej. Na dłuższą metę wyjdzie na to samo. Oddałem Bassettowi przysługę.

— Ale nie Tony'emu.

— Spokojna głowa — rzekł Tony. — W marcu miną dwa lata od śmierci Gabrielle. Żyłem tylko po to, żeby dorwać tego, który to zrobił. Jeśli nigdy nie wrócę do Fresno, mówi się trudno. — Otarł pot z czoła wierzchem dłoni i strząsnął go. — Nie mają państwo nic przeciwko temu, że wyjdę na zewnątrz? — spytał grzecznie. — Gorąco tutaj. Będę niedaleko.

— W porządku, Tony — odparłem.

Graff odprowadził go wzrokiem i spojrzał na mnie pewnie.

— Zauważyłem, że nie próbował go pan powstrzymać. Ma pan broń, mógł pan zapobiec zabójstwu.

— Doprawdy?

— Teraz możemy się przynajmniej postarać, żeby to, co najgorsze, nie przedostało się do prasy.

— Masz na myśli fakt, że uwiodłeś nastolatkę i uciekłeś, gdy została postrzelona?

Graff uciszył mnie gestem i rozejrzał się nerwowo, ale Tony był zbyt daleko, by słyszeć.

— Nie myślę wyłącznie o sobie.

Zerknął znacząco na żonę, która siedziała na podłodze w najdalszym kącie pomieszczenia. Kolana miała podciągnięte pod brodę i zamknięte oczy. Była cicha i nieruchoma tak samo jak Bassett.

— Trochę późno na troskę o Isobel.

— Myli się pan. Ona ma ogromną moc wracania do zdrowia. Widywałem ją już w gorszym stanie. Ale nie zmusi jej pan, by stanęła przed sądem, nie jest pan tak nieludzki.

— Nie będzie musiała. Sąd dla osoby chorej psychicznie może obradować w szpitalu. To panu wytoczę publiczny proces.

— Dlaczego mam cierpieć jeszcze więcej? Padłem ofiarą Jagona. Nie wie pan, ile zniosłem w tym małżeństwie. Mam osobowość twórczą, potrzebuję w życiu odrobiny słodyczy i delikatności. Kochałem się z młodą kobietą, to moja jedyna zbrodnia.

— Zapaliłeś zapalke, która wznieciła pożar. Zapalenie zapalke może być zbrodnią, jeśli cały budynek stanie od niej w płomieniach.

— Ależ ja nie zrobiłem niczego złego. Trochę obłapienia na boku, jakie to ma znaczenie? Nie zrujnuje mnie pan dla takiej błahostki. Czy to w porządku robić ze mnie kozła ofiarnego, niszczyć moją karierę? To ma być sprawiedliwość?

W jego tyradzie brakowało przekonania. Graff zbyt długo obracał się wśród aktorów. Był obywatelem miasta złudzeń, mieszkał wśród dekoracji.

— Nie pleć mi o sprawiedliwości, Graff. Prawie od dwóch lat brałeś udział w tuszowaniu morderstwa.

— Przez te dwa lata znosiłem straszliwą udrękę. Dość

wycierpiałem i dość zapłaciłem. Kosztowało mnie to ogromne sumy.

— Wątpię. Sterna opłaciłeś swoim nazwiskiem, a pieniędzmi studia zamknąłeś usta Leonardowi i Hester Campbell. Niezła sztuczka, odliczyć sobie szantaż od podatku.

Odgadłem tramie. Graff nie próbował się wypierać. Spojrzał na cenny pistolet w moich dłoniach. Był to jedyny materialny dowód, za którego sprawą jego nazwisko miało wypłynąć w czasie procesu.

— Oddaj mi moją broń — warknął niecierpliwie.

— Żebyś mógł mnie załatwić?

Z daleka dobiegło wycie syreny na autostradzie.

— Szybciej. Policja zaraz tu będzie. Wyjmij naboje i oddaj mi pistolet. Weź sobie pieniądze z sejfu.

— Nic z tego, Graff, ten pistolet mi się przyda. Dzięki niemu Tony usłyszy tylko zarzut usprawiedliwionego zabójstwa.

Graff popatrzył na mnie jak na durnia. Nie wiem, jak ja na niego spojrzałem, ale spuścił wzrok i się odwrócił. Zamknąłem sejf, przekręciłem gałkę i odwiesiłem zdjęcie trojga młodych skoczków. Dziewczeta i chłopak zastygli na zawsze w locie między morzem a błękitną pustką nieba.

Odgłos syreny dochodził z dachu, jak gdyby uganiał się tam jakiś natarczywy zwierz. Zanim szeryf wkroczył do gabinetu, położyłem walthera na podłodze obok zwisającej dłoni Bassetta. Eksperci od balistyki zrobią resztę.